

Pałac Sapienhów • Projekty na papierze • O Grobie Nieznanego Żołnierza
Na jakich fortepianach grał Chopin • Magiel warszawski • Święta na ekranie

ISSN 0039-1689 INDEKS 22622X

STOLICA

NR 11-12 (2402-2403) LISTOPAD-GRUDZIEŃ 2025 • 19,98 zł w tym 8% VAT



Polityk strzegomski z Galerii Sztuki Średniowiecznej,
Muzeum Narodowe w Warszawie

W tych
niepokojnych czasach
życzymy sobie spokojnych,
zdrowych i magicznych
Świąt Bożego Narodzenia,
a w Nowym Roku 2026 –
zgody i szczęścia



ISSN 0039-1689

Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie



Drodzy Mieszkańcy Mazowsza,
z okazji Świąt Bożego Narodzenia
składamy Wam życzenia zdrowia i radości.
Niech ten wyjątkowy czas upłynie
w ciepłej i rodzinnej atmosferze,
a nadchodzący 2026 rok
przyniesie szczęście i pomyślność.

Przewodniczący
Sejmiku Województwa
Mazowieckiego
Ludwik Rakowski

Marszałek
Województwa
Mazowieckiego
Adam Struzik

4 Kronika

WARSZAWA

- 6 Z pokolenia na pokolenie – z dr hab. Hanną Schreiber rozmawia Jerzy S. Majewski
- 14 Okna na Las kabacki i ekologiczna Białotęka Dworska – Tadeusz Michalski
- 20 Pałac Sapiehów przy ulicy Zakroczymskiej – Adrian Sobieszczański
- 26 Pamięci naszych obrońców – Włodzimierz Dembiński

ODPOCZNIJ NA MAZOWSZU

- 36 Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie? Siedziby szlachty na Mazowszu w XIV-XVI wieku – Piotr Lasek

HISTORIA

- 48 Witaj jutrzeńko swobody, Zbawienia za tobą słońce! – Anna Kuligowska-Korzeniewska
- 52 Warszawscy „fabricatoris” – Wojciech Lipczyński
- 57 Stefan Żeromski – w 100-lecie śmierci – Piotr Łopuszański
- 62 Mińska 65 – największa w Polsce powojenna Drukarnia Naukowo-Techniczna wpisana do rejestru zabytków – Małgorzata Kubicka

KULTURA

- 66 Z dorożki do samochodu wyścigowego – Michał Bruliński
- 71 By dodawać życia do lat – z Magdaleną Dąbrowiecką rozmawia Marcin Mierzejewski
- 76 Notatnik warszawski
- 80 STOLICA CZYTA – Spacer szlakiem warszawskiej przyrody – ze Stanisławem Łubieńskim rozmawia Mateusz Kaczyński
- 83 Wskrzyszona Smocza – Mateusz Kaczyński
- 84 Świąteczna Warszawa – scenografia czy *dramatis personae* – Rafał Dajbor
- 89 Warszawscy wózkarze – Jarosław Górski
- 92 Ogłosili podatek od nazwiska, czyli magiel po warszawsku – Tatiana Hardej
- 96 Święta, święta – Przemysław Śmiech
- 97 Święta w latach pięćdziesiątych – Jacek Fedorowicz
- 98 Pożegnanie FSO – Krzysztof Olszak



STOLICA
nr 11-12 (2402-2403)
listopad-grudzień 2025

Nasza okładka:

Polityk strzegomski
z Galerii Sztuki Średniowiecznej,
Muzeum Narodowe w Warszawie



Elektroniczna wersja STOLICY: www.egazety.pl, www.warszawa-stolica.pl. Partnerzy: Narodowe Archiwum Cyfrowe, www.nac.gov.pl, fotopolska.eu.



STOLICA

Poprzednie numery **Warszawskiego Magazynu Ilustrowanego STOLICA** można nabyć m.in. w **Domu Spotkań z Historią** przy ul. Karowej 20, numery z poprzednich lat – w księgarni w **Muzeum Niepodległości** w pałacu Przebendowskich / Radziwiłłów przy al. „Solidarności” 62

Wydawca: EKBIN
ISSN 0039-1689

www.warszawa-stolica.pl, redakcja@warszawa-stolica.pl
tel. 22 741 01 30

Zespół:

Ewa Kielak-Ciemińska (redaktor naczelna)
ewa.stolica@gmail.com

Jerzy S. Majewski

Katarzyna Komar-Michalczyk (sekretarz redakcji)

info@warszawa-stolica.pl

Stale współpracują: Grzegorz A. Buczek, Elżbieta Ciborska, Rafał Dajbor, Paweł Dunin-Wąsowicz, Jacek Fedorowicz, Tatiana Hardej, Mateusz Kaczyński, Krystyna Koziorowska (korekta), Michał Krasucki, prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska, Tomasz Markiewicz, Ryszard Mączewski, Tadeusz Michalski, Tomasz

Miłkowski, Marcin Mierzejewski, Artur Mościcki, Sebastian Pawlina, Michał Pilich, Norbert Piwowarczyk, dr hab. Mateusz Rodak, Rafał Skąpski, Adrian Sobieszczański, Przemysław Śmiech, dr hab. Michał Wardzyński, prof. UW

Zdjęcia: Magdalena Hajnosz, Paweł Ciemiński, Norbert Piwowarczyk, Muzeum Powstania Warszawskiego, Muzeum Warszawy, NAC, Fotopolska, Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, archiwum STOLICY

Opracowanie graficzne: Anna Skowrońska, Ideapress sp. z o.o.

Teksty do druku przyjmujemy tylko w formie elektronicznej.

© Copyright STOLICA / Wszelkie prawa zastrzeżone; wykorzystywanie tekstów, ich fragmentów i zdjęć, zarówno w druku, jak i w internecie bez zgody redakcji jest niedozwolone.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, wprowadzania śródtytułów i zmiany tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść i formę reklam.

Zamówienia na prenumeratę STOLICY w wersji papierowej można składać bezpośrednio w Redakcji pod adresem: redakcja@warszawa-stolica.pl, a w wersji elektronicznej na gazety i e-kiosk



**Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego**

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

♦ Biuro Ochrony Środowiska m.st. Warszawy podpisało umowy na zakup karmy dla kotów wolno żyjących na terenie stolicy. Zawarte umowy będą obowiązywać do 30 września 2027 r. Wykonawcą dostaw jest firma ANBI Sp. z o.o., z siedzibą przy ul. Chełmżyńskiej 13. Karma będzie przekazywana w ośmiu cyklach – pierwszy rozpoczął się już 24 listopada. W jego trakcie społeczni opiekunowie kotów wolno żyjących, zarejestrowani w urzędach dzielnicowych, otrzymają łącznie około 27 ton karmy mokrej i suchej.

♦ W konkursie *Warszawa Dostępna* nagrodę główną otrzymało Warszawskie ZOO – za dostępny dla osób z niepełnośprawnosćmi, edukacyjny i ekologiczny plac zabaw. Równorzędne wyróżnienia przyznano Zarządowi Dróg Miejskich za projekt *Plac na Rozdrożu dostępny dla wszystkich* oraz Warszawskiemu Centrum Opieki Medycznej Kopernik za inicjatywę *AAC w Koperniku*. W kategorii Projekty na rzecz dostępności w Warszawie nagrody głównej nie przyznano. Równorzędne wyróżnienia otrzymały Centrum Nauki Kopernik za projekt *Wielozmysły Kopernika – usłysz, dotknij, zobacz* oraz Muzeum POLIN za inicjatywę *Świat dawnych sztetti dostępny dla wszystkich*.

♦ Warszawianką Roku 2025 została Agnieszka Sikora – dziennikarka, pomysłodawczyni i założycielka Fundacji po DRUGIE, która wspiera młodych pełnoletnich w kryzysie bezdomności – oferuje im bezpieczne schronienie i pomaga wejść bezpiecznie w dorosłość. Więcej informacji na temat działalności Agnieszki Sikory znajduje się na stronie internetowej Fundacji po DRUGIE.



Warszawa jak za dawnych czasów

Do połowy lutego będzie można oglądać z zewnątrz sklep Wokulskiego – część dekoracji do pełnometrażowej adaptacji *Lalki* Bolesława Prusa. Na Krakowskim Przedmieściu zdjęcia już się zakończyły, ale olbrzymie zainteresowanie wizją XIX-wiecznej Warszawy sprawiło, że sklep pozostanie jeszcze w okolicy pomnika Mikołaja Kopernika. Podczas kręcenia filmu sklep wypełniały autentyczne, zabytkowe meble i przedmioty. Twórcy dokładnie odtworzyli realia epoki, szczegóły wnętrza i piękne, autentyczne lub ściśle odwzorowane kostiumy. Izabelę Łęcką gra Kamila Urzędowska, Stanisława Wokulskiego – Marcin Dorociński, a Ignacego Rzeckiego – Marek Kondrat. Na ekranie widzowie zobaczą także Andrzeja Seweryna, Agatę Kuleszę, Krysztynę Jandę, Maję Komorowską, Borysa Szycę, Maję Ostaszewską, Mateusza Damięckiego, Cezarego Żaka i wielu innych znakomitych aktorów.

Pierwszy klaps padł w lipcu w Pałacyku Sobańskich w Alejach Ujazdowskich, gdzie urządzono mieszkanie Łęckich. Potem ekipa filmowa gościła Łazienkach, na Starym Mieście i oczywiście na Krakowskim Przedmieściu. ●

Lubimy księgarnie

Ogłoszono wyniki dorocznego konkursu Ulubione Księgarnie Warszawy 2025. W kategorii księgarni ogólnosortymentowych tytuł Ulubionej Księgarni Warszawy 2025 otrzymała Najlepsza Księgarnia przy ul. Augusta Cieszkowskiego 1/3, a wyróżnienie zdobyła Księgarnia Korekty z ul. Nowogrodzkiej 8. W kategorii kluboksięgarni zwyciężyła Uśpiona Księgarnia

mieszcząca się przy ul. Stalowej 1/4, natomiast wyróżnienie trafiło do Wrzenia Świata przy ul. Gałczyńskiego 7. Za najlepszą księgarnię specjalistyczną uznano Księgarnię Sklep Podróżnika z ul. Kaliskiej 8/10, a wyróżnienie przyznano Księgarni Ekonomicznej Kazimierz Leśki przy ul. Grójeckiej 67. W kategorii antykwariatów zwyciężył Antykwariat Praski



Centrum Nauki Kopernik ma już 15 lat

Pomysł na budowę centrum nauki nad Wisłą w pobliżu Mostu Świętokrzyskiego vis-à-vis Portu Praskiego zrodził się ponad 20 lat temu, za prezydentury Lecha Każyńskiego. Wtedy też ogłoszono wyniki konkursu na projekt architektoniczny i przygotowywano projekt budowlany. 5 listopada 2010 r. na Powiślu zostało otwarte Centrum Nauki Kopernik. Instytucja od lat jest jedną z najpopularniejszych atrakcji turystycznych Warszawy. W czasie 15 lat działalności centrum odwiedziło niemal 16 mln osób. Kopernik wciąż się zmienia. Dziś wystawy nie przypominają już tych z 2010 r. Wymieniono lub zmodernizowano większość eksponatów, pojawiły się aktualne i ważne społecznie tematy dotyczące zmian klimatu, rozwoju sztucznej inteligencji i nowych technologii.



W CNK działają także dwa teatry. W Teatrze Wysokich Napięć w roli głównej występuje prąd elektryczny, a w Teatrze Robotycznym aktorami są humanoidne roboty. Zwiedzanie Kopernika można połączyć z wizytą w Planetarium, gdzie odbywają się pokazy astronomiczne, muzyczne i laserowe, koncerty, wykłady, projekcje filmowe. W 2023 r. CNK zyskało nowy gmach – Pracownię Przewrotu Kopernikańskiego – pionierskie miejsce prac badawczo-rozwojowych, w którym prowadzone są badania nad uczeniem się. Powstają tu także nowe wystawy, eksponaty, pomoce edukacyjne i scenariusze zajęć. W ciągu 15 lat w warsztacie Centrum zbudowano 1775 eksponatów, które trafiły na wystawy, także wystawy mobilne oraz do partnerskich małych centrów nauki. Programy edukacyjne Kopernika dotarły do ponad tysiąca miejscowości i 1,3 mln osób, a pokazy naukowe gościły w 20 krajach. Centrum bierze aktywny udział w działaniach międzynarodowych stowarzyszeń działających na rzecz globalnego rozwoju centrów nauki. ●

UMSt. Warszawy; CNK



z ul. Kawęczyńskiej 22, wyróżnienie otrzymał TheBooks mieszczący się przy ul. Puławskiej 134a.

Nagrody pieniężne o łącznej wartości 120 tys. zł otrzymali zarówno laureaci, jak i wyróżnieni.

Po raz pierwszy tytuły przyznano w 2020 r. Fundatorem i organizatorem nagrody jest m.st. Warszawa. Partnerzy konkursu to: Polska Izba Książki, Biblioteka Analiz oraz Stowarzyszenie Księgarzy Polskich Okręg w Warszawie. ●

◆ Rozpoczyna się kompleksowa modernizacja kamienicy przy Stalowej 54 na Pradze-Północ. Odtworzony zostanie oryginalny wygląd elewacji, wróćą detale architektoniczne, powstanie 11 mieszkań komunalnych. Remont przejdzie klatka schodowa, dach i podwórko. Koszt remontu to ponad 12 mln zł. Kamienica przy ul. Stalowej 54 została wybudowana w latach 1898–1899. Jej ostatnią przedwojenną właścicielką była Chaja Taube. W 1945 r. budynek przejęły władze miasta i przez lata znajdowały się w nim mieszkania komunalne.

◆ Ratusz rozpoczął kampanię „Przemoc karmi się milczeniem” w ramach akcji „16 dni przeciwdziałania przemocy ze względu na płeć” i zapowiada, że akcja widoczna jest na ulicach miasta od 25 listopada do 10 grudnia. Przypomina, że na zło trzeba reagować. W stolicy odnotowano wzrost liczby osób doznających przemocy domowej. W 2024 r. zwiększyła się o ponad 20 proc. w stosunku do 2023 r. Liczba osób stosujących przemoc również wzrosła – w zeszłym roku wynosiła 5427. Szkoda, że akcja przeciwdziałania przemocy trwa tylko 16 dni, powinna być ciągła.

◆ W stolicy, tak jak w całej Polsce rodzi się coraz mniej dzieci. W ubiegłym roku w Warszawie zameldowano niespełna 12 tys. dzieci, czyli niemal o 1/3 mniej niż w 2018 r., kiedy liczba urodzeń wyniosła blisko 19 tys. Obecnie do miejskich przedszkoli i oddziałów przedszkolnych w szkołach podstawowych uczęszcza niespełna 43 tys. dzieci, a zatrudnionych jest ponad 9 tys. osób – kadry pedagogicznej, administracyjnej i obsługi (stan na 17 listopada). W miejskich przedszkolach jest 3 tys. wolnych miejsc. ●



Z pokolenia na pokolenie

Z dr hab. Hanną Schreiber –
przewodniczącą Zespołu
ds. niematerialnego dziedzictwa
kulturowego Warszawy
przy prezydencie miasta
oraz kierowniczką Katedry
UNESCO ds. niematerialnego
dziedzictwa kulturowego
na Uniwersytecie
Warszawskim – rozmawia
Jerzy S. Majewski

Łatwo zdefiniować, co stanowi o materialnym dziedzictwie. Trudniej uchwycić to, co jest dziedzictwem niematerialnym. Czym zatem ono jest?

Zgodnie z dość rozbudowaną definicją z Konwencji UNESCO z 2003 r. w sprawie ochrony dziedzictwa niematerialnego są nim przekazy, zwyczaje, umiejętności, praktyki społeczne, a także związane z nimi przedmioty, artefakty i przestrzenie kulturowe, które są przekazywane z pokolenia na pokolenie i dla określonych grup, wspólnot i jednostek stanowią o ich tożsamości i poczuciu przynależności.

Ten termin chyba nie dla wszystkich był oczywisty?

Nie był, bo w 2003 r. był zupełnie nowy, również w języku angielskim (*intangible cultural heritage*) i francuskim (*le patrimoine culturel immatériel*). Także u nas w 2011 r., kiedy Polska zdecydowała się ratyfikować Konwencję UNESCO temu poświęconą, a więc zobowiązała się także do jej wdrożenia, pojęcie dziedzictwa niematerialnego budziło kontrowersje. Zastanawiano się wówczas, czy w tłumaczeniu Konwencji na język polski nie użyć innego terminu, np. tradycja, dziedzictwo duchowe, kultura ludowa – dyskusje na ten temat prowadzone

były w środowisku akademickim – jednak te terminy były już obciążone historycznie i nie oddawały „nowego ducha” Konwencji, nie pozwalały na „nowe otwarcie”. Dziedzictwo niematerialne jest przede wszystkim żywe, dynamiczne, może podlegać zmianom i nie zawęża się tylko do tradycji praktykowanych na terenach wiejskich. Już w samej definicji widać, że obejmuje zarówno aspekt materialny – przedmioty, artefakty, przestrzenie kulturowe, jak i niematerialny – praktyki, zwyczaje, umiejętności, wiedzę. To pierwsza tak holistyczna definicja dziedzictwa.

O dziedzictwie niematerialnym mówimy dopiero wtedy, gdy jest przekazywane z pokolenia na pokolenie. Kiedy to ma miejsce?

Nie chodzi o coś, co zostało przekazane tylko z jednego pokolenia na drugie, mówimy o co najmniej trzech pokoleniach, które biorą aktywny udział w podtrzymywaniu danej tradycji i praktyki. Takie kryterium pozwala określić, jaka praktyka tym żywym dziedzictwem nie jest. Nie jest nim np. zwyczaj bardzo świeży, który wytworzył się kilka, kilkanaście lat temu. Na przykład pochody orszaku Trzech Króli w Warszawie, które zaczęły się w 2009 r. Przyciągają tłumy, budzą zainteresowanie i sympatię, ale na razie nie można ich uznać za dziedzictwo niematerialne przekazywane z pokolenia na pokolenie. Są nowym zwyczajem, świętem, które łączy ludzi, ale nie zawiera w sobie jeszcze elementu przekazu międzypokoleniowego.

Czyli coś, co trwa od 40 czy 50 lat, może już być traktowane jako element dziedzictwa niematerialnego?

Tak. Ale też tylko wtedy, gdy dana grupa uważa, że jest to element ważny dla jej tożsamości. To oznacza, że my nie wytwarzamy dziedzictwa niematerialnego odgórnie, w sposób arbitralny „z zewnątrz”, nie oceniamy go, dopóki sama grupa nie stwierdzi, że jest to istotny element praktyki dla jej tożsamości, stanowiący jej żywe dziedzictwo i że się z daną praktyką utożsamia. Jest to bardzo ważny element definicji. Innymi słowy to nie eksperci „dekretują”, co jest dziedzictwem, ale sama grupa, wspólnota lub jednostka, określane w języku Konwencji UNESCO „depozytariuszami żywego dziedzictwa”.

Co w takim razie, zgodnie z przyjętą definicją, nie będzie traktowane jako dziedzictwo, zaś w powszechnym odczuciu może być tak uważane?

Zgodnie z przyjętą definicją do kategorii dziedzictwa – w sensie Konwencji UNESCO z 2003 r. – nie zaliczają się zjawiska i praktyki tworzone przede wszystkim z myślą o odbiorcy zewnętrznym, takie jak działania promocyjne czy widowiska o charakterze artystycznym. W polskim kontekście przykładem mogą być popularne sceniczne pokazy tańców ludowych – choćby w wykonaniu Zespołu „Mazowsze”. Zespół posiada długą i ważną historię

instytucjonalną, jednak jego repertuar stanowi tradycję sfolkloryzowaną – opartą na tradycji tańców ludowych, lecz stylizowaną, wyreżyserowaną i prezentowaną w ramach scenicznego spektaklu, a więc funkcjonującą poza lokalnym, wspólnotowym środowiskiem, w którym pierwotnie żyły dane praktyki.

Pięć lat temu, w lutym 2020 r., został powołany Zespół ds. niematerialnego dziedzictwa kulturowego Warszawy przy prezydencie miasta. Dlaczego władze miasta zdecydowały się na jego utworzenie? Na czym polegają działania Zespołu na rzecz zachowania tożsamości miasta?

Powołanie zespołu było jednym z pomysłów obejmującego wówczas urząd dyrektora Biura Kultury dr. Artura Józwicka, jednocześnie bardzo nowatorskim. Nasze działania zainspirowały także inne miasta w Polsce. Podobny zespół powstał w roku 2023 w Krakowie. Mamy nadzieję, że następne z czasem powstaną, obserwujemy zainteresowanie tym tematem i podejmowane działania identyfikujące żywe miejskie dziedzictwo także w Gdańsku i Poznaniu. Z okazji 20-lecia Konwencji UNESCO zorganizowaliśmy w 2023 r. w Muzeum Warszawskiej Pragi międzynarodową konferencję i warsztaty dla samorządów pod tytułem „Niematerialna Warszawa”, poświęcone dzieleniu się doświadczeniami i wzajemnym inspirowaniu do tego, by realnie pracować z dziedzictwem niematerialnym w miastach. Rok później, z inicjatywy UNESCO, gościliśmy przedstawicieli miast i ministerstw kultury z 15 państw z regionu Europy Środkowej i Południowej, którzy przyjechali do Warszawy dyskutować i wymieniać się doświadczeniami na temat ochrony żywego dziedzictwa w miastach. To duże wyróżnienie i docenienie pracy naszego zespołu.

Jednak zadania naszego zespołu to oczywiście nie tylko identyfikacja elementów dziedzictwa niematerialnego. Dla nas było jasne od samego początku – i jest to wskazane w zarządzeniu powołującym nasz zespół – że identyfikacja jest tylko jednym z elementów. Proponujemy konkretne rekomendacje dla prezydenta i dla miasta, jak można ożywiać ten temat w świadomości mieszkańców, jak o nie dbać, jak o żywym dziedzictwie edukować, jak je promować i jak rekomendować zmiany w polityce kulturalnej tak dużego, stołecznego miasta, jakim jest Warszawa, byśmy mogli zobaczyć siebie oczami „żywego dziedzictwa”. Wydaje mi się, że w Warszawie za rzadko myśli się o mieście w ten sposób, a ono przecież cały czas żyje w przekazywanych opowieściach, w piosence warszawskiej, w lokalnych praktykach, silnych dzielnicowych tożsamościach, grupach sąsiedzkich czy osiedlowych.

Problemem Warszawy jest brak ciągłości spowodowany z jednej strony zniszczeniem miasta w czasie II wojny światowej, z drugiej ogromną wymianą mieszkańców. ➔

Tak, i dlatego na przykład Kraków – z uwagi na zupełnie inną swoją historię – nie ma problemu z takim myśleniem o sobie jako o mieście materialnego i niematerialnego dziedzictwa. Dodatkowo tradycja wykonywania szopek krakowskich została wpisana na Reprezentatywną Listę UNESCO Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego Ludzkości, która działa na mocy Konwencji z 2003 r., jako pierwsza z Polski w 2018 r.

Dlatego też, gdy tworzyliśmy nasz zespół w Warszawie, w której mamy problem z ciągłością przekazu międzypokoleniowego – a jest to przecież istotne kryterium definiujące, czym jest dziedzictwo niematerialne – nasze zadanie wydawało się z początku karkołomne. Próba zidentyfikowania tego, co jest przykładem praktyk i tradycji stanowiących o tożsamości warszawiaków, była dla nas zadaniem podstawowym. Dlatego szybko powstał raport z naszych badań, ograniczonych co prawda, bo prowadzonych w czasie pandemii, pt. *Niematerialna Warszawa*. Tradycje, zwyczaje i praktyki we współmieście, dostępny po polsku i angielsku, a za nim publikacja popularyzatorska *Niematerialna Warszawa*. Żywe dziedzictwo naszego miasta. Obie publikacje są dostępne online na stronach miasta. Zorganizowaliśmy także szkolenia dla urzędników, pracowników bibliotek i domów kultury czy nauczycieli szkół warszawskich – te ostatnie we współpracy z Warszawskim Centrum Innowacji Edukacyjno-Społecznych i Szkoleń.

Ale te praktyki dość szybko udało się zidentyfikować. Podaj, proszę, przykłady praktyk i tradycji, które są częścią wielkomiejskiej tożsamości Warszawy.

Nie jestem przekonana, czy my mówimy tylko o dziedzictwie wielkomiejskim w Warszawie. Dlatego że Warszawa, rozrastając się, wchłaniała obszary wiejskie. Miał miejsce stały napływ ludności wiejskiej do stolicy. Współtworzył on miejską tkankę i tradycje. Nie jest to zatem do końca dziedzictwo czysto wielkomiejskie. Myślę, że mówimy o wielu procesach, które się przenikają, a granica miasto-wieś jest płynna, dlatego mówimy nie tylko o „miejskim dziedzictwie”, ale też o „dziedzictwie w mieście”. Natomiast w Warszawie mamy do wykonania pracę dotyczącą upowszechnienia myślenia o naszym mieście w kategoriach żywego dziedzictwa – a nie tylko odbudowanej Starówki, która została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Naturalnego UNESCO w 1980 r.

Celebrowanie Godziny „W” czy kwesta powązkowska – to nie są tradycje wielkomiejskie?

A może uznajmy, że to po prostu tradycje miejskie? Celebrowanie Godziny „W”, mające miejsce w różnym kształcie od roku 1946, jest pierwszym zjawiskiem, o którym myślimy jako szczególnie ważnym dla dzisiejszej tożsamości Warszawy. Gdy zadajemy pytanie o historię Warszawy, to punktem zwrotnym w jej dziejach jest

przecież niemal całkowite zniszczenie miasta w czasie Powstania Warszawskiego. Pamięć o Godzinie „W” jest też dzisiaj dla warszawiaków opowieścią o tym, z czego to miasto powstało. Powstało z martwych. Nie bez powodu Warszawę nazywamy „feniksem zmartwychwstałym z popiołów.

Czy Godzina „W” nie powinna zatem znaleźć się na Krajowej liście dziedzictwa niematerialnego?

Mieliśmy na ten temat długą dyskusję w Zespole. Uznajemy Godzinę „W” za niezwykle ważny element dziedzictwa niematerialnego stolicy – piszemy o niej w naszych raportach i podejmowaliśmy wokół niej różne działania, m.in. tworząc film w ramach cyklu *Niematerialna Warszawa*, w którym pokazujemy ją jako istotną praktykę pamięci. Nasz film, dostępny na YouTube Domu Spotkań z Historią, opowiada o tym, jak przeżywamy kolejne rocznice wybuchu Powstania Warszawskiego: o wspólnym zatrzymywaniu się, oddawaniu hołdu tragicznej przeszłości miasta i jego mieszkańców, o przekazywaniu żywej pamięci o tym wydarzeniu. Te praktyki są wyczuwalne w tkance miasta, choć nie da się ich uchwycić w sposób dosłowny – działają poprzez pamięć, emocje i poczucie utożsamienia się z miastem.

Jednocześnie nie każde dziedzictwo niematerialne musi zostać sformalizowane przez wpis na listę. Taka formalizacja często rodzi ryzyko politycznego wykorzystania tradycji. Zdajemy sobie sprawę, że praktyki głęboko związane z lokalną tożsamością, a przy tym niosące traumatyczne dziedzictwo – jak śmierć miasta w roku 1944 – są szczególnie podatne na instrumentalizację. I, niestety, znamy takie próby także z najnowszej historii Warszawy, nie tylko w odniesieniu do Godziny „W”.

Dlatego właśnie świadomie nie występowaliśmy o jej wpis. Ta tradycja jest niezwykle silna i żywa – i nie potrzebuje wokół siebie jeszcze więcej polityki.

Na takie wsparcie wpisu Zespół zdecydował się jednak w przypadku kwesty powązkowskiej, budzącej zupełnie inne emocje. Przypomnijmy, że kwestę tę przed półwiekiem zapoczątkował Jerzy Waldorff na Starych Powązkach.

Rzeczywiście, nasz Zespół wsparł Społeczny Komitet Opieki nad Starymi Powązkami zarówno w przygotowaniu wniosku, jak i w realizacji filmu o tradycji kwestowania na Starych Powązkach jako dziedzictwie niematerialnym stolicy. Kwesta powązkowska została wpisana na Krajową listę dziedzictwa niematerialnego w 2024 r. To drugi warszawski wpis – obok zgłoszonej przez ojców paulinów warszawskiej pielgrzymki pieszej na Jasną Górę – i zarazem jedna z nielicznych tradycji miejskich wśród 118 wpisów zdominowanych przez elementy kultury ludowej.

Kwesta powązkowska jest wyjątkowym przykładem tradycji, która łączy wiele różnych aspektów myślenia



Jerzy Waldorff na cmentarzu Powązkowskim

o dziedzictwie i jednocześnie pokazuje konieczność holistycznego spojrzenia na ochronę dziedzictwa. Po co kwestujemy na Powązkach? Aby zebrać środki na konserwację zabytkowych nagrobków – miejsc pochówku osób ważnych dla polskiej historii i kultury. Zbieramy pieniądze po to, by zachować dziedzictwo materialne.

To zatem praktyka, która sama w sobie stanowi dziedzictwo niematerialne, a jednocześnie służy ochronie dziedzictwa materialnego.

Dokładnie tak. Tradycja kwestowania ma swoje rytuały, stałych uczestników i niepowtarzalny charakter. Od ponad 50 lat na Powązkach pojawiają się te same znane osobistości, często w tym samym miejscu – jak choćby Maja Komorowska. Kwestarki i kwestarze mają swoje zwyczaje: potrząsanie puszką, charakterystyczne zawołania czy powtarzane od lat opowieści związane z konkretnymi grobami. W kwestowanie angażują się całe rodziny – ktoś przyszedł na pierwszą kwestę z babcią, dziś kwestują już wnuki tej osoby. Są warszawskie rodziny, które nie wyobrażają sobie spędzenia tego dnia inaczej niż na Powązkach, nawet jeśli nie mają tam grobów bliskich. W kwestowaniu uczestniczymy

także biernie – poprzez wrzucanie datków i rozmowy z kwestarzami. W okolicach Dnia Wszystkich Świętych i Zaduszek wszyscy odwiedzający Powązki stają się współdepozytariuszami tej tradycji.

Dodajmy, że jest to tradycja, która łączy ponad wszelkimi podziałami politycznymi.

I ekonomicznymi, i społecznymi, i religijnymi. Kwesta na Powązkach stała się inspiracją dla podobnych działań na innych cmentarzach wyznaniowych w Warszawie i wielu miastach w Polsce, np. na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, a także poza Polską – choćby na Łyczakowie we Lwowie czy na wileńskiej Rossie.

Kolejny przykład dziedzictwa niematerialnego Warszawy to pańska skórka. Zresztą też związana z warszawskimi cmentarzami i Dniem Wszystkich Świętych.

To rzeczywiście ciekawy przykład warszawskiego dziedzictwa niematerialnego – zwłaszcza dlatego, że dotyczy kulinariów, które stanowią istotną część polskiej tradycji, choć stosunkowo rzadko trafiają na Krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. Dopiero niedawno wpisano na nią jako pierwszy kulinarny wpis „kulturę toruńskiego piernika”.



Pańska skórka – niegdyś smakołyk najuboższych, dziś kultowy rarytas ze straganu

Pańska skórka, pierwotnie sprzedawana w aptekach przedwojennej Warszawy jako specyfik o właściwościach łagodzących ból gardła, była nazywana panieńską skórą, ponieważ miała kojarzyć się z kolorem cery dziewczęcej, różowo-białym. Z czasem jej znaczenie społeczne zmieniło się i stała się rozpoznawalnym elementem praktyk towarzyszących obchodom Dnia Wszystkich Świętych w Warszawie. Kupujemy ją głównie w okolicach cmentarza 1 listopada – tak jak w Krakowie charakterystycznym przysmakiem jest miodek turecki, tak w Warszawie funkcję tę pełni właśnie pańska skórka, praktycznie nieznana poza Mazowszem.

Co istotne z perspektywy dziedzictwa niematerialnego, umiejętność jej wytwarzania jest przekazywana właśnie z pokolenia na pokolenie, często w rodzinach, i opiera się na doświadczeniu oraz praktyce, sama znajomość przepisu nie wystarcza. Choć receptury krążą w internecie, nie oddają one rzeczywistej złożoności procesu – technika produkcji wymaga precyzji, odpowiedniego wyczucia temperatury i konsystencji i jest rezultatem wieloletniego praktykowania. To właśnie ta intergeneracyjna transmisja wiedzy i umiejętności nadaje pańskiej skórze potencjał, by była postrzegana jako element lokalnego dziedzictwa niematerialnego.

Jeszcze inne przejawy naszego dziedzictwa niematerialnego – Wielka Warszawska, koncerty chopinowskie w Łazienkach wokół pomnika Fryderyka Chopina.

Wspaniałe przykłady, które są właśnie tematem przygotowywanych przez nas kolejnych filmów z cyklu *Niematerialna Warszawa*. Koncerty chopinowskie w Łazienkach Królewskich gromadzą kolejne pokolenia warszawiaków od 1959 r. dzięki inicjatywie Stołecznej Estrady. To piękna, bardzo warszawska tradycja związana z naszym najwybitniejszym kompozytorem, a przy tym niezwykle inkluzywna – każdy może stać się jej częścią. Także Wielka Warszawska jest wydarzeniem, na które warszawiacy wybierają się całymi rodzinami. Na torze spotykają się w tym dniu przedstawiciele wszystkich grup społecznych miasta.

Dodajmy, że nie chodzi tylko o sam wyścig, także o to, co dzieje się wokół tego wydarzenia.

Dokładnie tak. Istotna jest cała społeczna i kulturowa otoczka towarzysząca temu spotkaniu warszawiaków na torze. To emocje związane z obstawianiem gonitw, obserwowaniem wyścigów i samych koni – to rytuały, które temu towarzyszą, oraz relacje, jakie tworzą się między widzami na trybunach. Jest też element swoistej rewii mody – odbywają się konkursy na najpiękniej wystylizowany kapelusz czy strój. Sam tor jest miejscem wyjątkowym nie tylko pod względem architektonicznym, ale także kulturowym i przyrodniczym: to ogromny zielony obszar stanowiący przestrzeń praktyk społecznych. Znakomitą książkę o tym miejscu pt. *Warszawska enklawa. Świat społeczny wyścigów konnych na Służewcu* napisała Basia Bossak-Herbst, z którą współpracujemy obecnie przy filmie o Wielkiej Warszawskiej.

Niektóre przykłady miejskiego dziedzictwa niematerialnego Warszawy bywają zaskakujące nawet dla jej mieszkańców. Przykładem może być tango warszawskie. O tym zjawisku wspaniale opowiada jeden z członków Zespołu – Jan Młynarski.

Termin „tango warszawskie” to pewna prowokacja intelektualna, jaką zaproponował Janek Młynarski w kontekście dyskusji o polskim tangu i o niezwykle istotnym wkładzie warszawskich kompozytorów, muzyków i tekściarzy w jego rozwój. Większość tang powstałych w międzywojennej Polsce była efektem pracy ludzi i studiów nagranych właśnie z Warszawy. W pierwszym filmie naszego cyklu *Niematerialna Warszawa* Janek stawia tezę, że istnieje coś takiego jak warszawskie tango – nie jako odrębny gatunek muzyczny, lecz jako charakterystyczny styl wykonawczy, łączący elementy salonu, dancingu i ulicy. A rytm tej ulicy to również muzyka podwórkowa tworzona przez liczne znakomite zespoły, które chodziły po mieście i grały, zarabiając dzięki datkom rzucanym im z okien. Przedwojenna Warszawa była nią przesycona – i to właśnie tanga można było usłyszeć jako pierwsze w ruinach miasta tuż po wyzwoleniu.

Dodajmy, że strukturę tej przedwojennej Warszawy tworzyły kamienice z podwórkami studniami, które były świetnymi rezonatorami dźwięku.

Takie podwórka przetrwały do dziś, m.in. na Pradze, Woli czy w Południowym i Północnym Śródmieściu. Gdy mówimy o przestrzeniach kulturowych kluczowych dla podtrzymywania dziedzictwa niematerialnego, widzimy właśnie warszawskie ulice i podwórka jako miejsca, w których ta muzyka wybrzmiewała. Tu słyszeli ją przechodnie, tu tańczono, śpiewano, bawiono się i wrzucano pieniądze ulicznym muzykom.

Szczególnie bliskie sercu Jana Młynarskiego jest zachowanie pamięci o Orkiestrze z Chmielnej – najsłynniejszej i najdłużej grającej od przedwojnia, przez okupację i PRL, aż do lat 2000. Ostatni członkowie zespołu niedawno odeszli, a nasz Zespół chce ocalić tę pamięć w świadomości warszawiaków. Dzięki złożonemu przez nas wnioskowi wiosną na ulicy Chmielnej zostanie odsłonięta tablica upamiętniająca działalność orkiestry.

Na szczęście tradycja ulicznego grania warszawskiej muzyki jest podtrzymywana przez różne współczesne zespoły. Co roku 1 sierpnia, podczas obchodów Godziny „W”, Warszawa ponownie rozbrzmiewa tą muzyką. To niezwykle charakterystyczne dla naszego miasta – ta muzyka nie umiera. Znajduje nowe przestrzenie, nowe formy i nowych wykonawców. Mamy teraz także znakomitą *Antologię piosenki warszawskiej* z komentarzami Bartka Chacińskiego, Jacka Hawryluka i Janka Młynarskiego, która, jak pisze Muzeum Warszawy, jest

muzyczną kroniką dziejów stolicy, jego mieszkańek i mieszkańców, przemian obyczajowych i społecznych. Mamy z czego czerpać.

Zespół pochylił się także nad losem warszawskich rzemieślników. Tradycje rzemiosła znajdują się u samych korzeni historii polskich miast – pierwsze cechy działały w Warszawie już w średniowieczu. Dziś jednak na naszych oczach wiele tych zawodów zanika. Na czym więc polega rola zespołu w ochronie tradycji rzemieślniczej, skoro nie dysponuje on środkami finansowymi, lokalami ani nie tworzy rozwiązań prawnych?

Nigdy nie powinniśmy uznać, że jest za późno, aby ratować rzemiosło. Zaangażowaliśmy się we współpracę z Cechem Rzemiosł Skórzanych – jednym z najstarszych cechów warszawskich, którego historia sięga roku 1386. Towarzyszyła temu piękna historia pana Tadeusza Januszkiewicza, szewca z Chmielnej, który w ubiegłym roku zakończył działalność po ponad 54 latach pracy w jednym miejscu. Przechodził na emeryturę w wieku 97 lat. Chcieliśmy uhonorować jego niezwykłą drogę zawodową, ale szybko okazało się, że miasto nie ma narzędzi do wyróżniania takich osób – a przecież są one tak samo ważne dla tkanki miejskiej jak artyści.

Poprosiliśmy więc o list gratulacyjny od prezydenta m.st. Warszawy, który został przygotowany. Zdecydowaliśmy też, że koniecznie trzeba utrwalić historię pana Tadeusza. Jeszcze przed zamknięciem zakładu weszliśmy tam z ekipą filmową i nagraliśmy jego opowieść. Premiera filmu *Opowieść szewca z Chmielnej* odbyła się w Domu Spotkań z Historią jesienią 2024 r. z udziałem bohatera, jego rodziny, klientów i wielu warszawiaków. Było to wyjątkowo wzruszające wydarzenie. Kilka miesięcy później pan Tadeusz odszedł – mieliśmy szczęście zdążyć zachować jego historię.

Wielcy mistrzowie rzemiosła odchodzą, a wraz z nimi ich umiejętności. Pytanie o następców to jedno z kluczowych wyzwań ochrony dziedzictwa niematerialnego. Jedyną skuteczną metodą pozostaje budowanie świadomości młodego pokolenia, edukacja i tworzenie mechanizmów wspierających przekaz międzypokoleniowy. Bardzo zależy nam, aby miasto podjęło bardziej systemowe działania w tym obszarze.

Ale to trudne, bo nie ma już szkół uczących tradycyjnego rzemiosła.

To prawda – dlatego musimy inaczej myśleć o istniejących zakładach. Każdy z nich może być małą „szkołą” czy inkubatorem, w którym jeden czy dwóch uczniów przejmie wiedzę mistrza. Nic się jednak nie zmienia, jeśli nie zaczniemy szukać odpowiednich instrumentów wsparcia. Udało się z naszej inicjatywy zmienić Zarządzenie w sprawie zasad najmu lokali użytkowych, które



Orkiestra z Chmielnej, lata 70.

pozwala obecnie stosować preferencyjne czynsze dla wynajmu lokali pod działalność rzemieślniczą, zwłaszcza unikatową, tzw. ginące zawody. Taką decyzję ma obecnie możliwość podjąć zarząd dzielnicy.

Kolejnym problemem, który widzę, jest używany w Warszawie współczesny język „akceleracji biznesowej”, często obcy rzemieślnikom, a z kolei język „depozytariuszy tradycji” bywa niezrozumiały dla młodych. Trzeba budować pomosty między tymi światami, bo w przeciwnym razie miasto utraci miejsca, które tworzyły jego charakter i atmosferę. Możemy mieć wiele nowych start-upów, ale ich życie jest krótkie. Rzemiosło opiera się na ciągłości – a ciągłość i innowacja nie muszą się wykluczać. Wyzwania międzypokoleniowości, różnice języka i technologii to dziś, oprócz kwestii finansowych, realna bariera. Musimy się zastanowić, jak z nią pracować, jeśli chcemy, by warszawskie rzemiosło przetrwało.

Dlaczego badanie i pielęgnowanie tego, co nazywamy dziedzictwem niematerialnym, jest tak ważne? Czy odgrywa jakąś szczególną rolę obecnie, w sytuacji bardzo naprężonej sytuacji międzynarodowej oraz widocznego w wielu krajach odwrótu od demokracji? To kluczowa sprawa. Badanie i pielęgnowanie dziedzictwa niematerialnego ma właśnie dziś szczególne znaczenie. Po pierwsze, stanowi ono ostoję demokratycznej partycypacji: nie istnieje bez zgody, świadomości i współpracy ludzi, których dotyczy. Ma silny potencjał więziotwórczy i dialogotwórczy. W świecie, w którym, jak pokazują badania, obserwujemy globalny

odwrot od demokracji i narastającą falę autokratyzacji, idee wpisane w Konwencję UNESCO z 2003 r. nabierają wyjątkowej aktualności. Jest to najbardziej „demokratyczna” z konwencji UNESCO – wymaga nieustającej współpracy instytucji państwowych z wspólnotami, grupami i jednostkami. Zasada „nic o nas bez nas” jest jej fundamentem. Nie można podejmować działań dotyczących tradycji i praktyk ważnych dla tożsamości danych grup bez ich zgody i współudziału.

W tym sensie dziedzictwo niematerialne może pełnić rolę przestrzeni demokratycznego zarządzania tożsamością, szczególnie istotną w okresie nasilających się działań dezinformacyjnych i polaryzacyjnych, które są elementem współczesnych wojen hybrydowych. Im słabsze więzi społeczne, im większa podatność na dezinformację – tym trudniej reagować na propagandę zewnętrzną. Dziedzictwo niematerialne wzmacnia poczucie zakorzenienia i wspólnotowości, które budują społeczną odporność na kryzysy. To diagnoza podzielana w wielu krajach. Socjolog Ulrich Beck użył kiedyś określenia, że funkcjonujemy jako „społeczeństwo ryzyka” – co jest związane m.in. z powszechną obecnością różnych nieprzewidywanych wydarzeń, katastrof, ataków terrorystycznych, a dziś rewolucją sztucznej inteligencji. Dziś powszechnie mówi się, że żyjemy w „świecie niepewności”. Poszukujemy zatem stabilnych punktów odniesienia. Często znajdujemy je w prostych, powtarzalnych praktykach rodzinnych i lokalnych tradycjach: na przykład odwiedzaniu grobów bliskich, wspólnym lepieniu pierogów według przekazywanego rodzinnie przepisu czy obchodzeniu dorocznych świąt. Tego typu rytuały,

choć codzienne i pozornie niewielkie, wzmacniają poczucie ciągłości i bezpieczeństwa.

Czy pielęgnowanie dziedzictwa niematerialnego może stać się pożywką dla nacjonalizmów?

Oczywiście. Wiele praktyk tradycyjnych może zawierać elementy nacjonalistyczne, wzmacniać stereotypy czy generować konflikty międzygrupowe. Dziedzictwo nie jest wyłącznie pozytywne – może także skłaniać do wykluczenia lub budować antagonizmy. I właśnie tu ujawnia się ważny aspekt Konwencji UNESCO z 2003 r., która wyraźnie wskazuje, że za dziedzictwo niematerialne można uznać jedynie te praktyki, które są zgodne z prawami człowieka i zasadą wzajemnego szacunku. O ile w Polsce rzadko mamy do czynienia z praktykami jawnie sprzecznymi z prawami człowieka, o tyle wymóg wzajemnego szacunku – rozumianego także jako szacunek między różnymi grupami etnicznymi, religijnymi czy tożsamościowymi – nie zawsze bywa spełniony. Kryterium to pozwala jednak oddzielić praktyki, które mogłyby wzmacniać konflikty lub polaryzację społeczną.

Czy zatem „sterujemy” tym dziedzictwem?

W pewnym sensie je filtrujemy. Ocena praktyk przez pryzmat wzajemnego szacunku jest w dzisiejszym świecie naprawdę potrzebna.

Prace warszawskiego Zespołu są pionierskie w skali Polski, ale podczas przygotowań do międzynarodowej konferencji dziedzictwa niematerialnego w 2023 r. okazało się, że jest to także pierwsza tego typu struktura na świecie.

To rzeczywiście było dla nas samych zaskakujące. Można by przypuszczać, że w tak mocno zurbanizowanym świecie to właśnie miasta będą naturalnym środowiskiem do systemowego zajmowania się dziedzictwem niematerialnym. Tymczasem Konwencja UNESCO z 2003 r. przez ponad dwie dekady koncentrowała się głównie na implementacji na poziomie centralnym, krajowym. W ten sposób wytworzyła się luka między centralnymi instytucjami a lokalnymi wspólnotami – a przecież to szczebel samorządowy jest najbliższy społeczności i ma największy potencjał w zakresie realnego wspierania lokalnych zwyczajów i tradycji. Pionierskość naszego Zespołu, działającego jako organ doradczo-ekspercki przy urzędzie miasta w temacie żywego dziedzictwa, wpisuje się w jakimś sensie więc w ten warszawski etos – tak jak pionierska była powojenna odbudowa Starówki.

Jedną z najbardziej widocznych cech współczesnej Warszawy jest dynamika zmian. Miasto stało się tygłem, w którym spotykają się mieszkańcy z różnych regionów Polski i świata. Czy nowi mieszkańcy tworzą

własne zwyczaje? Czy Zespół jest w stanie je identyfikować? Przykładem mogą być Wietnamczycy, którzy przez ponad 30 lat stali się w Warszawie wielopokoleniową, dobrze zakorzenioną, choć zachowującą swoją kulturę i tradycje mniejszością.

Kluczem jest tu język. Jesteśmy Zespołem ds. niematerialnego dziedzictwa Warszawy, a nie „warszawskiego dziedzictwa niematerialnego”. Szukamy tego, co z żywym dziedzictwem dzieje się w Warszawie, a nie wyłącznie tego, co ma lokalny rodowód. W naszym mieście żyją różne wspólnoty – w tym m.in. Wietnamczycy i Ukraińcy – i ich praktyki współtworzą krajobraz dziedzictwa niematerialnego obecnego w przestrzeni Warszawy. Nie są „warszawskie” w pochodzeniu, ale są „w Warszawie”, przefiltrowane przez lokalny kontekst. To kolejny krok i zadanie dla nas: identyfikowanie tego, co jest dla tych grup ważne i jak ich tradycje funkcjonują w naszej wspólnej miejskiej rzeczywistości. Oni również współtworzą dziedzictwo niematerialne stolicy.

Tradycja wielokulturowej Warszawy jest długa – miasto nigdy nie było homogeniczne, takie stało się dopiero w czasach powojennych. Wielokulturowość powinna dziś stanowić fundament tożsamości Warszawy. Obecność różnych mniejszości, nawet tymczasowa, zasługuje na nasz szacunek, i tam gdzie to możliwe na wsparcie – również dlatego, że jest to dla nich element odporności i sposób radzenia sobie z traumą.

Na zakończenie. Redaktorka naczelna STOLICY Ewa Kielak-Ciemniewska zwraca uwagę, że bardzo szczególnym zjawiskiem, charakterystycznym dla powojennej i współczesnej Warszawy, jest zainteresowanie miastem, varsavianistyką. Łączy ona kolejne pokolenia i wydaje się fenomenem wyrosłym w dobie odbudowy miasta po jego zagładzie w czasie II wojny światowej. Czy można mówić o varsavianistyce jako elemencie tożsamości miasta i jego dziedzictwie niematerialnym? To szalenie ciekawe pytanie, ponieważ w centrum tego zjawiska ustawia czasopismo wraz z ogromnym środowiskiem kilku generacji warszawiaków, jakie skupiło się wokół STOLICY w ciągu blisko 80 lat od jej powstania.

Varsavianistyka jest bez wątpienia ważnym dziedzictwem intelektualnym i badawczym miasta. Pojawia się jednak pytanie, czy stanowi praktykę społeczną, tworzącą wyraźnie zdefiniowaną wspólnotę z międzypokoleniowym przekazem – rodzinnym lub zawodowym. Myślę, że warto spojrzeć szerzej: na tradycje varsavianistyczne i środowisko zaangażowane w upowszechnianie wiedzy o Warszawie. To raczej dobra praktyka wspierająca ochronę zarówno dziedzictwa materialnego, jak i niematerialnego miasta, niż klasyczna praktyka wpisująca się w definicję dziedzictwa niematerialnego. 🍷

Okna na Las Kabacki i ekologiczna Białotłęka Dworska

Tadeusz Michalski

Kontynuujemy publikację tekstów
o Warszawie marzeń powojennych urbanistów
i architektów. Tym razem pokazujemy
zapomniane projekty powstałe w końcówce
lat 60. i na początku 70. XX w.
Nigdy nie zostały zrealizowane

młody Oskar Hansen



Dużo się planowało w Polsce Ludowej. Plany, pięciolatki, projekty. Marzenia o postępie, nierealne przechwałki władz, utopijne mrzonki, ale i racjonalne, światłe i pryncypalne w założeniach projekty specjalistów, które byłyby możliwe do zrealizowania tylko w nierynkowych realiach systemu centralnie sterowanego.

W pierwszych latach po wojnie pobudzeni entuzjazmem odbudowy modernišci kreślili plany przemiany zniszczonego miasta wedle radykalnie nowoczesnych idei Le Corbusiera. Na papierze powstała dzielnica odpowiednio od siebie oddalonych wieżowców, która miała zastąpić kamieniczne śródmieście na zachód od Marszałkowskiej. Autostrady i wiadukty, po których pędzą auta, i osiedla utylitarnych bloków mieszkalnych wśród zieleni. Po wprowadzeniu socrealizmu powstawały zuchwałe – jak okrzyki szturmowe na wiecach – rysunki monumentalnych placów i alej. Kandelabry, kolumny i sztandary. Po odwilży, odsunięciu jednych i samokrytyce innych, powrócił gładki modernizm, początkowo rozsądny i hamowany legendarną oszczędnością towarzysza Gomułki. Rozmach powrócił w latach 70. Z tej epoki pochodzą dwa ciekawe, niezrealizowane projekty architektoniczno-urbanistyczne dla Warszawy. Jeden marzycielski i utopijny, drugi przemyślany i racjonalny.

Hansenowski Ursynów

Marek Budzyński, autor projektu Ursynowa Północnego, nie był pierwszym, który podjął się refleksji nad zabudową ursynowskiej skarpy w sposób nowatorski. Pierwszy był Oskar Hansen – największy z naszych marzycieli.

Choć zasłynął jako ten młody, co nakrzyczał na Le Corbusiera, stronnik Team Ten – grupy młodych architektów, która pochowała CIAM (Congrès international d'architecture moderne – Międzynarodowy Kongres Architektury Nowoczesnej), to jego utopijne idee wyrastały z imaginariu słynnego Szwajcara, w szczególności z jego młodzieńczego radykalizmu. Powtarzał styl bezkompromisowego innowatora, obrazoburczego rewolucjonisty i romantyzującego utopisty. Teza Le Corbusiera, którą przyjmował także Hansen, mówiła, że nowe warunki, możliwości techniczne i potrzeby wymagają zupełnie nowych rozwiązań przestrzenno-architektonicznych, że „dzisiaj wobec tempa przemian nie możemy pozwolić sobie na stosowanie kryteriów przeszłości, musimy przełamywać wyobrażnię ograniczoną pamięcią rzeczy widzianych”. Hansen tak jak Corbu uważał XIX-wieczne miasto przemysłowe za „niehumanitarne”, nieprzystające do XX-wiecznych potrzeb i możliwości, niespotykanych nigdy wcześniej w historii ludzkości.

W 1968 r. Hansen z zespołem, na zlecenie Instytutu Urbanistyki i Architektury, wykonał projekt koncepcyjny pasma zabudowy mieszkaniowo-usługowej



Oskar Hansen w 1986

Ursynów – Lasy Kabackie. Projekt oparł na swojej koncepcji Linearnego Systemu Ciągłego, autorskiego systemu osadniczego. LSC był modelem miasta liniowego, nawiązującym do prac Arturo Soria y Mata i Le Corbusiera, ale także miasta-ogrodu Ebeneзера Howarda – pod względem poszukiwań syntezy zalet życia miejskiego z wiejskim. Koncepcja opierała się na budowie trzech równoległych pasm: mieszkaniowo-usługowego, upraw rolnych oraz lasów i przemysłu. Te trzy pasma miałyby być spięte bezkolizyjnie komunikacją poprzeczną. Hansen opublikował ideę LSC w „Architekturze” w 1970 r., zaproponował użycie systemu w skali krajowej, a nawet europejskiej. Jako wycinek detaliczny zaprezentował projekt LSC Ursynów – Lasy Kabackie.

Pasma zaprojektowane dla 160 tys. ludzi wije się na szczycie skarpy wiślanej. Od zachodu i południa ograniczone jest łąkami i lasami. Dzielnica liniowa składa się z dwóch meandrujących pasm mieszkalnych i wewnętrznego pasma komunikacyjno-usługowego. Studium klimatyczne w graficzny sposób objaśnia, jak przy formowaniu pasma uwzględniono ruchy powietrza – „napływ ➔

kompensacyjny powietrza z terenów leśnych”.

Hansen był radykalny. I w tym radykalizmie samotny. „Zaprojektowaliśmy Ursynów wzdłuż rzeki, zgodnie z przebiegiem skarpy – opowiadał później Joannie Mytkowskiej. – I byłoby tak, że okna otwierałyby się na Las Kabacki, a nie na bloki. Po prostu z jednej strony mogłaby pani korzystać z metra, a z drugiej widziałaby pani, jak chodzą sarny. Ale zrobiono inaczej”.

To, co dla Hansena było idea systemu, dla Marka Budzyńskiego stawało się już konkretną przestrzenią codzienności. Budzyński znał koncepcję Hansena, ale zrobił dzielnicę inaczej.

„To nie była przekora – mówił Budzyński Filipowi Springerowi ([w:] *Zaczyn. O Zofii i Oskarze Hansenach*). – Ja uważałem, że jego idee są całkowicie słuszne. Tyle że narzędzia, którymi on chciał je zrealizować, były złe. Moim zdaniem Hansen za szybko dokonywał syntezy. I wiele problemów próbował rozwiązać na poziomie estetyki, a nie funkcjonalności”.

Hansen był autorytetem dla młodych projektantów Ursynowa Północnego, tylko nie umiał normalnie mówić – jak twierdził Budzyński.



Makieta Linearnego Systemu Ciągłego

„Hansenowskie wizje były nieludzkie, nie dało się z nim rozmawiać, bo traktował wszystko bezdyskusyjnie, autorytarnie i po pańsku. Było w tej wywrotowej wizji przebudowania całej cywilizacji coś totalitarne-go” – mówi Lidia Pańków ([w:] *Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego*).

Zasadnicza różnica między koncepcjami Hansena i Budzyńskiego zawierała się w podejściu do kształtowania zabudowy, budowy wnętrza urbanistycznych i funkcji społecznej, jaką spełniają wnętrza. Doktryna modernistycznej nowej przestrzeni zakładała całkowite odejście od wnętrza ulic i placów – młodzieżowy zespół Budzyńskiego chciał ich powrotu, oni byli już awangardą polskiego postmodernizmu.

„Chcieliśmy zmiękczyć linearność koncepcji Hansenów i dodać do niej to wszystko, do czego przywykliśmy, żyjąc w centrycznych miastach – ulice, sklepy w partach, kawiarnie, plac przed kościołem” – zdradził Budzyński Filipowi Springerowi.

Białołęka Dworska

Wąskie ulice bez chodników, samochody na nich i na poboczach, wszechobecny chaos – znamy wizerunek dzisiejszej Białołęki. Dzielnica – symbol bezplanowych przedmieść. Osiedla „łanowe”, ogrodzenia, rzędy duplikowanych domów i braki wszystkiego, co przestrzeń miasta może zaoferować mieszkańcom ponad dom do mieszkania. Mogło być inaczej.

Rejon parcelowanych na przełomie lat 20. i 30. dóbr hrabiego Tadeusza Reya przeznaczono pod zabudowę według modnej wówczas koncepcji miasta-ogrodu. Nazwano go

Plan osiedla Białołęka Dworska





Halina Skibniewska

Białoleką Dworską. Wytyczono plan, którego pamiątką są rozchodzące się promieniście ulice Wykrot, Insurekcji, Wałuszewska i Dynamiczna. Przeważnie drewniane domy rodzącego się miasta-ogrodu nie przetrwały wojny.

Teren został włączony w granice miasta w 1951 r., zaplanowano tam zabudowę mieszkaniową, infrastrukturę towarzyszącą oraz znaczną powierzchnię parków i lasów, co w pewnej mierze było kontynuacją przedwojennej koncepcji miasta-ogrodu. Główną projektantką planu nowej dzielnicy została arch. Halina Skibniewska.

Była gwiazdą architektury PRL-u i jedną z niewielu kobiet, którym powierzano tak duże projekty. Warszawa zapamiętała ją jako twórczynię architektury autorskiej ściśle powiązanej z przyrodą, wręcz jako polską prekursorkę budownictwa ekologicznego. Przy projektowaniu osiedli mieszkaniowych kierowała się naukowym podejściem do kreowania przestrzeni życia człowieka zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz budynków. Dwa warszawskie osiedla jej projektu – Sady Żoliborskie i Szwależerów – to przykłady architektury osiedlowej o przemyślanej przestrzeni, przytulnych wnętrzach urbanistycznych, odpowiedniej skali oraz elegancji, modernistycznej architekturze dopasowanej do istniejącej i projektowanej przyrody. Przy kreśleniu terenów zielonych zawsze działała w duecie ze słynną architektką krajobrazu Aliną Scholtz.

Od początku kariery łączyła wiedzę techniczną z głębokim namysłem nad społeczną funkcją architektury – przekonaniem, że przestrzeń mieszkalna powinna

kształtować relacje międzyludzkie, sprzyjać wspólnocie i pozwalać na kontakt z przyrodą. Tę wrażliwość wyniosła z doskonałej szkoły praktycznej, jaką odebrała u boku architektów związanych przed wojną z żoliborską WSM. Studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, które rozpoczęła w 1938 r., przerwała wojna. Podczas okupacji kontynuowała edukację na tajnym Wydziale i w żoliborskiej Pracowni Architektoniczno-Urbanistycznej. Tam nawiązała znajomości, które zaważyły na jej dalszym życiu zawodowym i prywatnym. Wśród elity PAU, poza małżeństwami Syrkusów i Brukalskich, Bohdanem Lachertem czy socjologiem miasta Stanisławem Ossowskim, znalazł się Zygmunt Skibniewski – późniejszy mąż Haliny. Dyplom na warszawskim Wydziale zrobiła w 1948 r. już jako doświadczona projektantka.

Osobą, która wywarła wyjątkowy wpływ na jej twórczość, był prof. Romuald Gutta, najpierw nauczyciel, potem szef i współpracownik, zawsze autorytet. Niepowtarzalna architektura Gutta szła w parze z autorską filozofią tworzenia, wedle której projektowane budynki miały wynikać z kontekstu przestrzennego i kulturowego. Profesor koncepcje wyprowadzał z programu, funkcji, ze szczególnego szacunku dla terenu, ze znajomości tworzącego budowlanego i roślinnego – według Gutta odbiór budynku zarówno na poziomie formy, jak i treści nigdy nie dzieje się w oderwaniu od otoczenia. W centrum wszelkich rozważań projektowych powinien znaleźć się człowiek – architektura ma być kulisami dla jego życia.

Oskar i Zofia Hansenowie dystansowali się od Skibniewskiej, dla nich jej osiedla były zbyt ekskluzywne i nie odpowiadały ówczesnym potrzebom mieszkaniowym. Rzeczywiście do mieszkań zarówno w Sadach, jak i na osiedlu Szwoleżerów dostęp mieli głównie działacze partyjni. Zarzuca się Skibniewskiej, że mogła realizować swoje projekty dzięki wysokiej pozycji państwowej męża i własnym koneksjom politycznym – była posłanką na sejm PRL pięciu kadencji, wicemarszałkinią – czterech. Być może po części tak było, ale to nie zmienia faktu, że była świetną architektką, a jej osiedla wciąż pozostają jednymi z najlepszych i najbardziej pożądanych w Warszawie.

Pracę nad projektem osiedla Białółka Dworska zaczęła w 1975 r. Miał być dziełem życia, zwieńczeniem jej badań nad osiedlem społecznym i powiązaniem architektury z przyrodą. Białółka miała być eksperymentalnym osiedlem-ogrodem. Projekt wyprzedzał epokę: łączył idee samowystarczalności, partycypacji mieszkańców, ochrony środowiska i integracji osób z niepełnosprawnościami. Dziś uznaje się go za jedno z pierwszych w Polsce studiów nad zrównoważonym rozwojem w urbanistyce.

Skibniewska dostała zlecenie w ramach rządowego programu badawczo-projektowego PR-5. Miało powstać pięć modelowych osiedli mieszkaniowych nowej generacji. Za pomocą nowych architektoniczno-urbanistycznych rozwiązań, czerpiących z doświadczeń i wiedzy z dziedziny nauk społecznych, ergonomii i ekologii, miały one odpowiedzieć na problem monotonii blokowisk i depersonalizacji ich mieszkańców.



Osiedle Słowackiego w Lublinie zrealizowane przez Hansena według idei LSC

Zaprosiła do współpracy naukowców: przyrodników, socjologów i urbanistów. Specjaliści z SGGW przeprowadzili szczegółową analizę krajobrazu przyrodniczego Białółki. Skibniewska już przy Sadach i Szwoleżerów zaślęła walką o zachowanie jak największej ilości drzew, krzewów i cieków wodnych, tak żeby architekturę wpasować w przyrodę, a nie odwrotnie. Płynący przez środek białółckiego terenu strumień i towarzysząca mu piaszczysta wydma musiały pozostać nietknięte jako warunek zachowania lokalnego ekosystemu, a co za tym idzie komfortu życia na przyszłym osiedlu.

„Białółka znajduje się w urozmaiconej dolinie aluwialnej, leżącej między pasmami wydm, obdarzona urokiem mazowieckiego pejzażu – pisała z czułością

Sady Żoliborskie dziś



architektka. – Dominują w niej grupy olchy czarnej, wiązów i wierzby wzdłuż śladów dawnego koryta cieku Jabłonna oraz rozrzucone wśród lasków brzozowych i sosnowych pojedyncze okazy dębów i jesionów”.

Plan Skibniewskiej przewidywał budowę osiedla dla ok. 20–25 tys. mieszkańców, o układzie otwartym, wpisanym w istniejący układ hydrograficzny i zieleni. Główną zasadą kompozycji miała być ciągłość przyrody i zabudowy – między zespołami mieszkaniowymi miały się rozciągać pasma zieleni, pola i ogrody działkowe, a układ dróg podporządkowany był naturalnym spadkom terenu i kierunkom cieków wodnych. Kliny łąk i pól rolnych po bokach pasa przemysłowego projektowanego wzdłuż Kanału Żerańskiego miały być częścią większego założenia – wokół Warszawy zaplanowano 10 klinów napowietrzających, mających zapewnić stolicy cyrkulację powietrza.

Architektka zaproponowała zróżnicowaną, „parkową” zabudowę niską i średniowysoką, rozmieszczoną w małych zespołach złożonych z segmentów tworzących kameralne wnętrza.

Każda jednostka miała własne centrum sąsiedzkie – klub, sklep, przedszkole – oraz bezpośredni dostęp do terenów rekreacyjnych i ogrodów. W skali całego założenia zaplanowano pasmo usług centralnych – szkoły, obiekty kultury, sportu i miejsca pracy, dzięki czemu dzielnica miała stanowić samowystarczalny organizm miejski.

Białołęka Dworska Skibniewskiej była prekursorską próbą zastosowania zasad ekologii w planowaniu przestrzennym. Jednym z kluczowych założeń była integracja życia społecznego i środowiska – mieszkańcy mogliby uprawiać przydomowe ogrody i uczestniczyć w utrzymaniu zieleni. Projekt zakładał też włączenie osób z niepełnosprawnościami w strukturę osiedla przez przystosowane miejsca pracy (m.in. spółdzielczość inwalidzka) i bezbarierowe przestrzenie wspólne.

Skibniewska używała pojęć „miasto kroczące”, „scenariusze życia” i „tożsamość miasta”, opisując proces stopniowego narastania zabudowy, każda faza miała być samowystarczalna i gotowa do użytkowania, przy jednoczesnym zachowaniu otwartości na rozwój w czasie. W rozumieniu autorki

Białołęka Dworska miała być ekosystemem społecznym, w którym człowiek współistnieje z przyrodą, a architektura staje się narzędziem kształtowania postaw odpowiedzialnych i „tubylczych”. Takie podejście – unikalne na tle ówczesnej polskiej urbanistyki – czyniło z projektu eksperyment zarówno przestrzenny, jak i społeczny.

Projekt powstawał ponad 10 lat i nigdy nie doczekał się realizacji. W latach 80. przyszedł kryzys gospodarczy



Białołęka dziś – kamienie za siatką

i polityczny, PRL chylił się ku upadkowi, a razem z nim szeroko zakrojone, firmowane przez państwo projekty urbanistyczne.

Po 1989 r. na Białołęce doszło do podziałów działek i niekontrolowanej suburbanizacji na ogromną skalę. Dzięki lokalnej liberalizacji kontroli zabudowy, wedle „doktryny swobody budowlanej” i nieograniczonej innymi wartościami „świętości” własności prywatnej gruntu, w latach 90. Białołęka stała się najszybciej rozwijającą się dzielnicą w Warszawie. Prawo do „pobudowania się” na swoim wygrało z „komunistycznym” planem klina napowietrzającego Warszawę. Wygrało z jakimkolwiek planem. Resztę znamy. 🍷

BIBLIOGRAFIA

- T. Fudala, *Mieszkanie z instrukcją obsługi. Osiedle Sady Żoliborskie Haliny Skibniewskiej*, [w:] *Mister Warszawy. Architektura mieszkaniowa I. 60 XX wieku*.
O. Hansen, *LSC Linearny System Ciągły* [w:] „Architektura” 1970 nr 4-5, s. 125.
J. Kusiak, *Chaos Warszawa. Porządki przestrzenne polskiego kapitalizmu*.
L. Pańków, *Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego*.
F. Springer, *Zaczyn. O Zofii i Oskarze Hansenach*.
F. Springer, *Złe urodzone. Reportaże o architekturze PRL-u*.
Alina Scholtz, *Projektantka warszawskiej zieleni*, red. A. Wrońska, E. Solarek.

Pałac Sapienhów przy ulicy Zakroczymskiej

Adrian Sobieszczański

Pałac Jana Fryderyka Sapienhy przy Zakroczymskiej to przykład stołecznej XVIII-wiecznej magnackiej rezydencji łączącej splendor jednego z najważniejszych rodów I Rzeczypospolitej z kunsztem wybitnego architekta epoki saskiej. Chociaż dzisiaj, zniszczony w czasie ostatniej wojny i pieczołowicie po jej zakończeniu odbudowany, wymaga uwagi i zdecydowanej opieki, pozostaje nadal jedną z najlepiej przeprowadzonych rekonstrukcji w realiach odbudowującego się Nowego Miasta.

W 1725 r. posesję zlokalizowaną między Zakroczymską i dzisiejszą ulicą Przyrynek nabył od pisarza dworu królewskiego Sebastiana Rybczyńskiego i jego żony Anny Sadkowskiej kasztelan trocki, przedstawiciel ambitnego rodu Jan Fryderyk Sapienha. Teren po północnej stronie w pobliżu dzisiejszej ulicy Wójtowskiej Rybczyński odsprzedał koniuszemu litewskiemu Jakubowi Henrykowi Flemingowi oraz jego żonie Tekli z Radziwiłłów, będącej rodzoną siostrą Konstancji Sapienhy – żony Jana Fryderyka.

Absolwent jezuickich kolegiów w Lublinie, Brześciu i Warszawie, świetnie wykształcony Sapienha swoją edukację pogłębiał podczas europejskich podróży.



Panorama Warszawy, na której w prawym dolnym rogu widnieje wizerunek pałacu Sapienhów, za: *Wspólne dziedzictwo polsko-saskie. Polonica w zbiorach rysunków architektonicznych z XVIII w. w Dreźnie*, red. naukowa P. Migasiewicz, J. Sito, Warszawa 2025



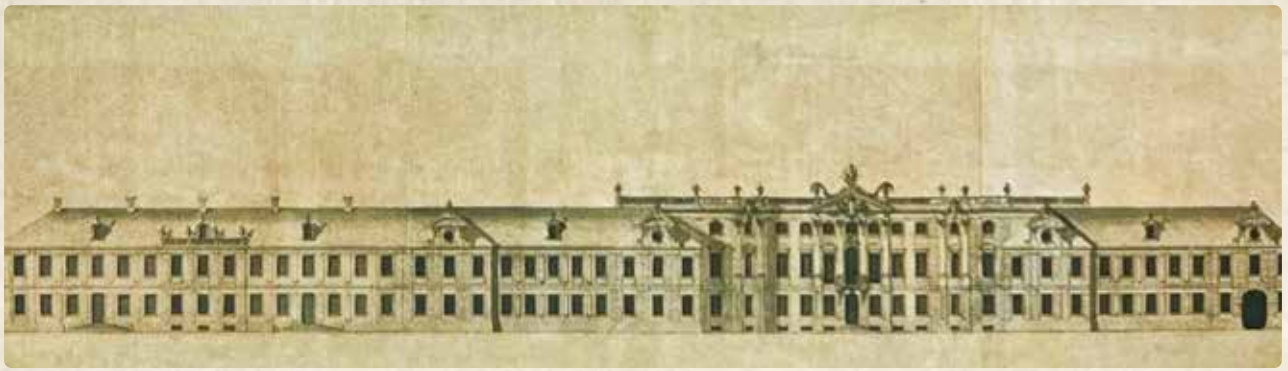
Widok pałacu od ulicy Zakroczymskiej według winiety z panoramy Warszawy F.C. Schmidta z 1740 r., za: I. Malinowska, *Pałac Sapiehów*, Warszawa 1972;

Odziedziczony po ojcu majątek powiększył dzięki posagowi żony, wspomnianej Konstancji, córki księcia Karola Radziwiłła i siostry Michała Kazimierza Radziwiłła zwanego „Rybeńko”. Cieszący się przychylnością dworu i zaufaniem kolejno Augusta II Mocnego i Augusta III Sasa był Sapieha także niezwykle popularny wśród szlachty polskiej. Od Augusta II otrzymał urząd kasztelana trockiego oraz Order Orła Białego. Za czasów rządów Augusta III Sapieha objął stanowisko kanclerza wielkiego litewskiego, którą to godność piastował od 1735 r. Jan Fryderyk Sapieha uznawany był za odważnego i pilnego ministra, a przy tym wybitnego oratora. Z biblioteki, którą odziedziczył po ojcu, Sapieha uczynił jeden z największych ówczesnych księgozbiorów, utrzymując przy tym osobiste kontakty z fundatorami pierwszej publicznej biblioteki w Warszawie – Andrzejem Stanisławem oraz Józefem Andrzejem Załuskimi.

Chociaż ulubioną posiadłością magnata pozostawał rodowy Kodeń, odczuwał on potrzebę wybudowania warszawskiej rezydencji. Decyzja była konsekwencją jego działalności politycznej oraz bliskich kontaktów z dworem monarszym. Do pracy przy warszawskiej rezydencji Sapieha zaangażował zdolnego architekta Saksońskiego Urzędu Budowlanego (Sächsische Bauamt in Warschau) Johanna Sigmunda Deybla. Być może architekta – saskiego oficera korpusu saperów – podsunął Sapieszemu sam król, żywo zainteresowany architekturą. Pierwszy etap budowy pałacu nawiązującego

do pałaców warszawskich z przełomu XVII i XVIII w., powstających pod wpływem francuskich kompozycji *entre cour et Cardin*, przypadł na lata 1727–1735. Deybel zaprojektował pałac na rzucie podkowy, którego korpus centralny od ulicy poprzedzony został reprezentacyjnym dziedzińcem, *cour d'honneur*. Na tyłach pałacu, w kierunku Wisły rozciągał się niezbyt obszerny, ale regularny ogród. W rzeczywistości pałac z prostopadłymi do korpusu oficynami ujmował niezbyt obszerny pięcioboczny dziedziniec, który od ulicy Zakroczymskiej oddzielało ażurowe ogrodzenie z bocznymi wjazdami.

Fasadę trzykondygnacyjnego korpusu głównego pałacu zwieńczono attyką ozdobioną rzędami wazonów. Z jego dekoracją kontrastowały przystawione do ryzalitów, chociaż nie na całej ich szerokości, jednopiętrowe, czworoboczne oficyny nakryte czterospadowymi dachami, których kalenice zostały umieszczone na wysokości attyki korpusu głównego. Horyzontalizm fasady podkreślił architekt cokołowym charakterem przyziemia wydzielonym szerokim pasem gzymsu, na którym spoczęły dwie wyższe kondygnacje. Wertykalizm ryzalitów oraz skrzydeł bocznych podkreślił zaś Deybel charakterystycznymi dla swojej twórczości boniowanymi lizenami, które optycznie korespondowały ze słupami ogrodzenia pałacu. Układ reprezentacyjnych pomieszczeń wewnątrz pałacu znalazł swoje odbicie w dekoracji fasady. Wysokie otwory okienne pierwszego piętra doświetlały reprezentacyjne pomieszczenia pałacu,



Projekt fasady, Johann Sigmund Deybel, ok. 1727 r.,
Gabinet Rycin BUW, za: J. Sito, *Wielkie warsztaty
rzeźbiarskie Warszawy doby saskiej. Modele kariery
– formacja artystyczna – organizacja produkcji*,
Warszawa 2013



a ponad nimi wzdłuż całej fasady ciągnął się rząd małych okien półpiętra, tzw. mezzanina. Piony podwójnych okien umieszczonej na piętrze dwukondygnacyjnej sali ujął architekt korynckimi pilastrami. Opilastrowany ryzalit zwieńczony trójkątnym frontonem nawiązywał do klasycznego portyku, w którego tympanonie umieszczono kartusz z herbem Sapienhów – Lisem, całość zwieńczono zaś popiersiem bogini Minerwy w hełmie i zbroi wśród panopliów. Analogiczny fronton od strony ogrodowej zwieńczyło popiersie boga Marsa. Środkowe okno odmiennie niż dwa pozostałe zostało zwieńczone dekoracją rzeźbiarską w formie putt podtrzymujących klejnot Orderu Orła Białego, będącego dumą właściciela. Okno to wychodziło na balkon wsparty na wolutowych wspornikach. Uzupełnieniem dekoracji rzeźbiarskiej były dwa popiersia na konsolach umieszczone między oknami pierwszego piętra (usunięte już w latach 1737–1740).

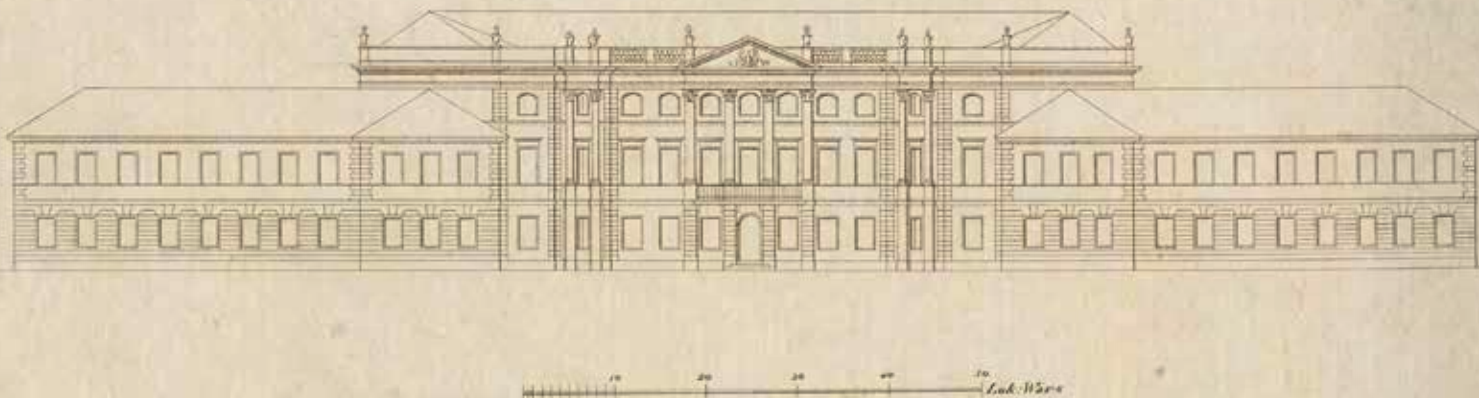
Prace rzeźbiarskie przy pałacu Sapienki były prowadzone w latach 1729–1733. Jak podaje Jakub Sito,

wykonawcą dekoracji rzeźbiarskich był Johann Georg Plersch, z którym Deybel pracował już przy Pałacu Błękitnym. Cechą budowli była oryginalność w ukształtowaniu bryły, co wyrażało się w zastosowaniu skośnych ścian ryzalitów. Nie zwieńczono ich frontonami, ale w zamian otrzymały rokokowe kartusze herbowe pod koronami. Mimo nowatorskiego podejścia architekta w architekturze pałacu widać było silne związki z warszawską tradycją wyrażającą się w upowszechnionych przez Tylmana van Gameren pseudoportykach, attyce i niskich dachach.

Wnętrza pałacu nosiły znamiona wielu cech tradycyjnych i charakterystycznych dla polskich barokowych i późnobarokowych pałaców oraz dworów szlacheckich. Powielaly schemat wydłużonego prostokąta przeciętego na osi ogromną sienią z wejściami na przestrzał od frontu i ogrodu. Symetryczne apartamenty po

Ulica Zakroczyńska i pałac Sapienhów na planie Lindleyów





Leonard Schmidtner, Koszary Sapieżyńskie w roku 1823

obu stronach sieni przelotowej składały się z czterech pomieszczeń: salonu, sypialni, pokoju w charakterze antykamery oraz gabinetu. Pomieszczenia południowe zajmował zapewne sam kasztelan. Robiący karierę u boku Sasów, w swoich apartamentach oprócz portretów antenatów miał też portret politycznego przeciwnika Sasów Stanisława Leszczyńskiego oraz jego zięcia Ludwika XV. Celom reprezentacyjnym pałacu Sapiehów służyło *bel-étage*, czyli piętro pałacu, na które prowadziły paradne schody, a którego centralną część zajmowała wspomniana sala doświetlona zarówno od strony zachodniej, jak i wschodniej *porte-fenêtrami*. Najpiękniejsze pokoje pierwszego piętra po prawej stronie głównej sali zajmowała żona kasztelana Konstancja, on sam zaś pokoje po stronie północnej. W związku z tym, że skrzydła boczne zajmowała kordgarda oraz pomieszczenia gospodarcze, przypuszcza się, że mezzanino przeznaczone było dla służby oraz oficjalistów.

Wnętrza pałacu na przestrzeni lat ulegały licznym przemianom. Zapewne w ostatniej ćwierci XVIII stulecia zmieniono układ sieni, przeprowadzając przez pomieszczenie poprzeczny korytarz przy głównym wejściu, zaś przy wyjściach do ogrodu z obu stron sytuując dwa pomieszczenia – przedpokój apartamentu północnego oraz izbę szwajcara, czyli portiernię dla dozorczy (w ozdobnej liberii). W drugiej połowie XVIII w. zmianie uległ też ogród, na którego terenie przed budynkiem stajni i wozowni powstał dziedziniec wielki, zaś na pozostałej części, aż do ulicy Wójtowskiej, zarozmierzono klomb obsadzony drzewami i krzewami, z kolistą altaną po stronie południowej.

Wraz z otrzymaniem pieczęci kanclerskiej spadły na Sapiehę liczne obowiązki towarzyskie wymagające powiększenia nowomiejskiego pałacu. W celu rozbudowy stołecznej rezydencji zaplanowano zakup działki sąsiadującej z prawym skrzydłem pałacu. Kierujący pracami Deybel projekt rozbudowy przekazał kanclerzowi w 1739 r. Po dokupieniu działki wybudowano przyuliczną oficynę oraz równoległą do niej budynek gospodarczy, tworząc tym samym niewielki dziedziniec kuchenny. Na podwórze prowadziła brama zlokalizowana w przyziemiu ryzalitu południowej oficyny. W kolejnym etapie prac analogiczna oficyna przyuliczna została wybudowana po stronie północnej.

W ten sposób budynek uzyskał dwie jedenastoosiowe oficyny przyuliczne, których jedynym elementem dekoracyjnym były umieszczone w wyodrębnionych dachach ryzalitów duże, doświetlające poddasza lukarny zwieńczone zaokrąglonymi frontonami. Jesienią 1742 r. za pośrednictwem Johanna Sigmunda Deybla Sapieha rozpoczął starania o zakup gruntów przyległych do ulicy Wójtowskiej w celu wybudowania wzdłuż Zakroczymskiej dużej oficyny północnej. Na działce zakupionej od Andrzeja Mokronoskiego według projektu architekta wybudowano piętrową oficynę o dwóch wejściach. Nowa oficyna północna, choć wraz istniejącym pałacem stanowiła całość, została świadomie wyodrębniona, co autorka monografii pałacu Irena Malinowska nieśmiało łączy przewidzianą dla niej funkcją. Odrzucając wynajem oficyny, sugeruje raczej, że mogło to być związane z chęcią umieszczenia w niej kodeńskich zbiorów, w tym obszernego księgozbioru.

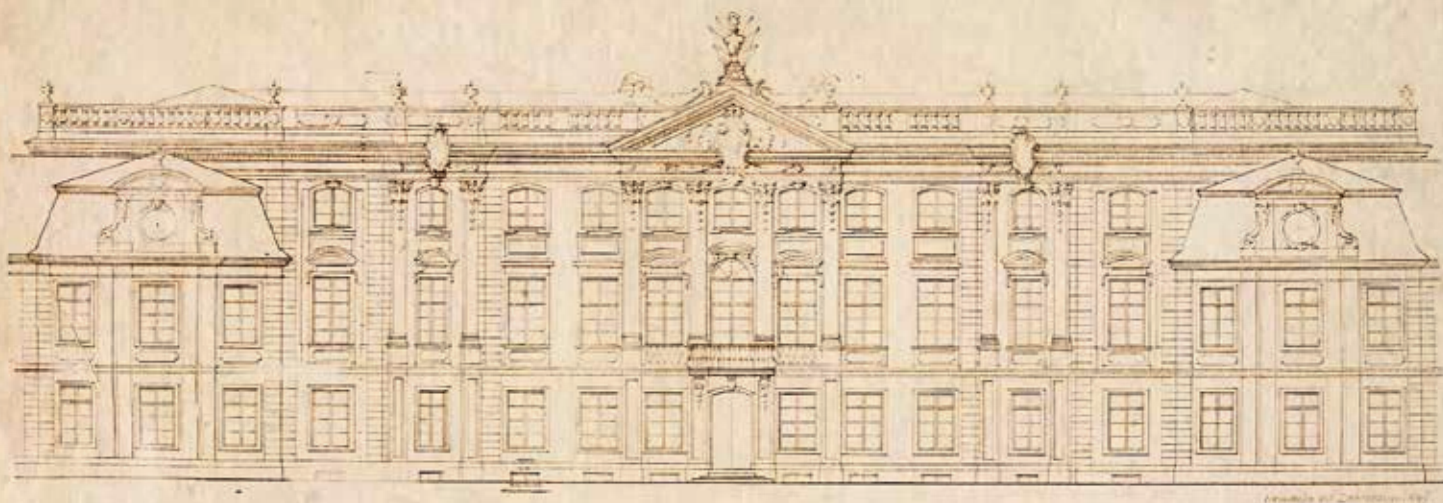
Jan Fryderyk Sapieha zmarł w 1752 r. w wieku 70 lat po zjedzeniu dużej ilości pożywek z mlekiem. Przed śmiercią zapisem testamentowym właścicielem pałacu w Warszawie uczynił stryjecznego bratanka Jana Sapiehę. Jak się później okazało – ostatniego właściciela pałacu wywodzącego się z kodeńskiej linii Sapiehów. Przedostatnimi właścicielami pałacu byli Aleksander Michał Sapieha i Magdalena Agnieszka z Lubomirskich Sapieżyna. Aleksander Sapieha, jeden z najzamożniejszych magnatów I Rzeczypospolitej, który do historii przeszedł jako marszałek litewski konfederacji targowickiej, zmarł w pałacu w 1793 r., pozostawiając majątek jednemu synowi Franciszkowi. Pałac podzielił losy Rzeczypospolitej, z której upadkiem rozpoczęła się stopniowa degradacja niegdyś bogatej magnackiej rezydencji. Wówczas też po raz pierwszy pałac stał się szpitalem wojskowym aż do 1810 r., kiedy został wynajęty na koszary na okres sześciu lat, po upływie których miał być wykupiony przez rząd za sumę 80 tys. zł. Zgodnie z warunkami umowy pałac został kupiony 13 czerwca 1817 r.

Projekt przebudowy pałacu wyszedł spod reki Wilhelma Henryka Mintera. Plan architekta zakładał umieszczenie w jego murach batalionu pułku piechoty wraz z oficerami. Prace prowadzone przez Mintera objęły wnętrza oraz zewnętrzny wygląd budynku. Z fasady usunięto niepotrzebne dekoracje, pozostawiając jedynie te, które Minter uznał za wartościowe. Do tych ostatnich należały korynckie kapitele pilastrów, które według architekta przez lata nie straciły swojej wartości. Z fasady pałacu zniknęły natomiast dekoracje frontonu w postaci popiersia Minerwy ujętego sztandarami i proporcami na drzewcach, zaś w tympanonie pojawił się orzeł państwowy. Kartusze na ścianach ryzalitów zastąpiły klasycystyczne panoplia. Zgodnie z projektem Mintera usunięto też lukarny z dachów ryzalitów, a skrajne ryzality przyulicznych oficyn zlikwidowano, wprowadzając w ich przyziemiu nudne, powszechne w ówczesnym budownictwie publicznym, szczególnie koszarowym, poziome boniowanie. W okresie konstytucyjnego



Współczesny detal pałacu





Maria Zachwatowicz, projekt odbudowy pałacu z 1951 r., Muzeum Warszawy

Królestwa Polskiego w Koszarach Sapieżyńskich stacjonowały cztery kompanie 1 Batalionu 4 Pułku Piechoty, przy czym na parterze korpusu głównego umieszczono odwach oraz administrację wojskową. Na piętrze zlokalizowane były pokoje wyższych oficerów, zaś w mezaninie pokoje oficerów niższych. Oficyna północna została przeznaczona dla 1 i 2 kompani, południowa dla 3 i 4. Dla żonatych oficerów przeznaczono mieszkania w oficynie przy dziedzińcu kuchennym, warsztaty zajęły zaś pomieszczenia dawnej wozowni. To właśnie z Koszar Sapieżyńskich 4 Pułk Piechoty Liniowej wyruszył w słynną noc 29 listopada 1830 r., maszerując pod Arsenał ulicami Franciszkańską i Wałową, aby w ostatniej chwili przeciąć drogę żołnierzom Wołyńskiego Pułku Piechoty, tzw. Wołyńcom, co okryło nieśmiertelnością Czwartaków. O wydarzeniach nocy listopadowej przypominała tablica wmurowana w ścianę oficyny południowej 29 listopada 1930 r., na której widniał napis *Dawne koszary Pułku Czwartego Piechoty Liniowej, który w bojach o niepodległość w roku 1830-31 okrył się wiekopomną chwałą*. W czasie wojny polsko-rosyjskiej w 1831 r. w koszarach urządzono szpital dla 800 chorych. Po zlikwidowaniu autonomii Królestwa Polskiego Koszary Sapieżyńskie zajmowały jednostki armii Imperium Rosyjskiego. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości

w pałacu umieszczono filię Głównego Wojskowego Szpitala Ujazdowskiego.

Okres wojny przyniósł niemal całkowite zniszczenie pałacu, zachowały się zaledwie fragmenty oryginalnych ścian. Projekt odbudowy pałacu Sapiehów sporządziła Maria Zachwatowicz, opierająca swój plan na projekcie Deybla, dostosowując przy tym wnętrza do potrzeb nowych użytkowników. Powrót do pierwotnej formy pałacu nakreślonego przez saskiego architekta dał możliwość powrotu na ulice Nowego Miasta jednej z najpiękniejszych XVIII-wiecznych warszawskich rezydencji magnackich. Oprócz przywrócenia bryły pałacu zdecydowano się także na odtworzenie dekoracji rzeźbiarskiej, którą według rysunków Deybla wykonali studenci Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Odtworzony z wielkim pietyzmem detal rzeźbiarski został też powtórzony na wschodniej elewacji ogrodowej korpusu głównego. Ciekawy zabieg zastosowano przy odtwarzaniu popiersi wieńczących attykę wielkiej oficyny od strony ul. Zakroczymskiej. W związku z nieczytelnością rysunku Deybla wyobrażenia głów męskich zostały zastąpione kobiecymi popiersiami, do których pozowały córki Marii i Jana Zachwatowiczów – Krystyna i Katarzyna. 🍷

BIBLIOGRAFIA

K. Ajewski, *Inwentarze warszawskiego pałacu Jana Fryderyka Sapiehy z lat 1735-1736*, „Rocznik Warszawski”, 2012 nr 37, s. 257-280; M. Kwiatkowski, *Architektura mieszkaniowa Warszawy*, Warszawa 1989; I. Malinowska, *Pałac Sapiehów*, Warszawa 1972; R. Mączyński, *Ulice Nowego Miasta*, Warszawa 1998; F.M. Sobieszczański, *Warszawa. Wybór publikacji*, Warszawa 1967; J. Putkowska, *Jak mieszkał magnat w Warszawie za Sasów. Architektura rezydencjonalna Warszawy w pierwszej połowie XVIII w.*, Warszawa 2021; *Szkice nowomiejskie*, red. O. Puciata, Warszawa 1961; J. Sito, *Wielkie warsztaty rzeźbiarskie Warszawy doby saskiej. Modele kariery – formacja artystyczna – organizacja produkcji*, Warszawa 2013



Pamięci naszych obrońców

Włodzimierz Dembiński

Sto lat temu, 2 XI 1925 roku, w Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie zostały złożone zwłoki anonimowego żołnierza przeniesione z cmentarza Orląt Lwowskich.



Grób Nieznanego Żołnierza

N. Wiczak-Witaczynski, NAC

Wielka wojna, albo używając współczesnej nomenklatury I wojna światowa, rozpoczęła się 28 lipca 1914 r. i trwała do 11 listopada 1918 r. W czasie walk na frontach poległo około 8,5 mln żołnierzy. Rozwój techniki wojskowej wraz z wprowadzeniem nowoczesnego uzbrojenia przy jednoczesnym zachowaniu dotychczasowej taktyki działania spowodowały gigantyczne straty. To było ponad 2 mln ofiar więcej niż podczas 23 lat trwania wojen napoleońskich. Liczba poległych żołnierzy dla współczesnych społeczeństw była przerażająca. Kolejnym szokiem dla dotkniętych śmiercią bliskich był fakt, że wielu poległych nie można było godnie pochować. Jak oddać hołd tym, których szczątków nigdy nie odnaleziono lub ich identyfikacja była niemożliwa?

We Francji Fryderyk Simon, ojciec trzech synów, którzy polegli podczas wojny, wystąpił z projektem stworzenia Grobu Nieznanego Żołnierza. Przemawiając jesienią 1918 r. jako prezes towarzystwa patriotycznego nad grobem jednego z poległych, powiedział:

Dlaczego Francja nie otworzy bram Panteonu dla jednego ze swych nieznanych żołnierzy, poległych po bohatersku za Ojczyznę... Złożenie prochów zwykłego żołnierza w Panteonie, gdzie spoczywa tyłu geniuszy, będzie symbolem i zarazem hołdem oddanym całej armii francuskiej.

Wychodząc naprzeciw tej propozycji, parlament francuski podjął ustawę o oddaniu honorów Panteonu prochom jednego z nieznanych żołnierzy. Pogrzebowi Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym nadano wyjątkowo uroczystą oprawę jako wyraz triumfu, a nie żałoby. Bardzo podobny przebieg miały uroczystości w Londynie dokładnie tego samego dnia, 11 listopada 1920 r. Grobowiec został umieszczony w głównej nawie Katedry Westminsterskiej, która przez 10 wieków była świadkiem koronacji i zaślubin królów brytyjskich.

Uroczystości we Francji i Wielkiej Brytanii rzutowały na działania innych państw uczestniczących w wojnie. Następnym państwem, które zdecydowało się na oddanie hołdu swojemu Nieznanemu Żołnierzowi ➔



Grób Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym

były Stany Zjednoczone. I tak 11 listopada 1921 r. odbył się pogrzeb Nieznanego Żołnierza na Cmentarzu Narodowym w Arlington.

Tymczasem Polsce nie było jeszcze dane zaznać spokoju po tej straszliwej zawierusze wojennej. Hekatomba ofiar naszego narodu w tych tragicznych wydarzeniach w znacznym stopniu nie została nigdy ustalona. Wynikało to z bardzo prozaicznej przyczyny. Nie było państwa polskiego, a tym samym nie było wojska o tożsamości narodowej. Dramatyczność tej sytuacji niejednokrotnie wzmagał fakt, że Polak strzelał do Polaka po drugiej linii frontu. Poddany cesarza Austro-Węgier strzelał do swego rodaka zależnego od cara Rosji. Czy wobec tak fatalnych zdarzeń nie zasługiwali oni na honorowe upamiętnienie? Musieli jeszcze poczekać, albowiem pomimo zakończenia wojny w Europie odrodzone państwo polskie przez kolejne trzy lata walczyło o swoją niezależność.

Upamiętnienie Nieznanego Żołnierza w Polsce

Oddolne inicjatywy organizacji kombatanckich, prasowe inspiracje czy też społeczne działania Komitetu Uczczenia Poległych w latach 1914–1918 oraz Towarzystwa Polskiego Żałobnego Krzyża nawołujące do potrzeby oddania czci i zachowania pamięci w formie monumentu zaintrygowały prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego. W połowie 1923 r. polecił on ministrowi spraw wojskowych, gen. broni Stanisławowi Szeptyckiemu, utworzenie Komitetu Budowy Pomnika Nieznanego Żołnierza.

Powołany pod koniec 1923 r. komitet, w którym znaleźli się m.in. gen. broni Józef Haller, gen. dyw. Władysław Sikorski czy gen. dyw. Edward Śmigły-Rydz, zaprosił do współdziałania resorty rządowe i organizacje społeczne. Na jednym z pierwszych posiedzeń sformułował założenia ideowe, w myśl których przyszły

pomnik Nieznanego Żołnierza winien być monumentem chwały i triumfu żołnierza polskiego, a nie żałoby. Co więcej, winien być wzniesiony w samym centrum Warszawy na placu Saskim.

Tymczasem bardzo trudna sytuacja gospodarcza Polski nie stwarzała odpowiednich warunków do realizacji tego ambitnego przedsięwzięcia. I oto niepodziewanie 2 grudnia 1924 r. na plac Saski wjechała ciężarówka. Wyniesiono z niej płytę wykonaną z piaskowca i złożono u stóp pomnika księcia Józefa Poniatowskiego. Na płycie znajdował się wyryty krzyż, a poniżej napis:

Nieznanemu żołnierzowi poległemu za Ojczyznę.

Nieznany ofiarodawca przez cztery lata ukrywał swoją tożsamość. Dopiero po tym czasie okazało się, że było nim Zjednoczenie Polskich Stowarzyszeń Rzeczypospolitej. Ten szczególny akt serca i pamięci ze

strony ofiarodawcy został szybko zaakceptowany przez mieszkańców, którzy składali kwiaty, zapalali znicze, a także pisali listy do nieznanego żołnierza.

12 grudnia 1924 r. w wyniku zebrania blisko 60 organizacji społecznych, które chciały spowodować godne uczczenie pamięci Nieznanego Żołnierza, powołano nowy komitet. Brak środków finansowych ponownie sprawił, iż jego działania ograniczyły się do inspirowania rządu do podjęcia wiążących decyzji. Podczas posiedzenia Rady Ministrów 24 stycznia 1925 r., w odpowiedzi na wniosek ministra spraw wojskowych gen. dyw. Władysława Sikorskiego, zapadła decyzja o wzniesieniu Grobu Nieznanego Żołnierza pod arkadami kolumnady Pałacu Saskiego. Wykonanie tego zadania powierzono Ministerstwu Spraw Wojskowych. Zaszczyc architektonicznego opracowania wizerunku przyszłego Grobu Nieznanego Żołnierza przypadł artyście rzeźbiarzowi Stanisławowi Kazimierzowi Ostrowskiemu.



Płaskorzeźba flankująca Grób Nieznanego Żołnierza





Grób Nieznanego Żołnierza w trakcie budowy, 1925 r.

Wtedy też Biuro Historyczne Sztabu Generalnego WP otrzymało zadanie wskazania pobojuwisk z lat 1914–1920, gdzie odbyły się najkrwawsze walki o niepodległość. Sprawy związane z wyborem pola bitwy i ekshumacją prochów regulował rozkaz dzienny nr 33 Ministerstwa Spraw Wojskowych, zgodnie z którym pobojuwiska musiały charakteryzować się dużą liczbą poległych, zaszczytnością boju dla całości walczącego

wojska, a także nie mogły leżeć na terytorium wroga.

4 kwietnia 1925 r. w gmachu Ministerstwa Spraw Wojskowych najmłodszy wiekiem szeregowy dekorowany Orderem Virtuti Militari dokonał zaszczytnego losowania spośród wybranych pól. Był nim ogniomistrz Józef Buczkowski, instruktor Szkoły Podchorążych z 14 Pułku Artylerii Polowej. Wyciągnął kartkę, na której widniały pobojuwiska lwowskie z lat 1918–1919.

Ostatnia droga Nieznanego Żołnierza

Zarówno w Warszawie, jak i we Lwowie rozpoczęły się przygotowania do przeprowadzenia tej niezmiernie doniosłej, ale jakże skomplikowanej uroczystości. 29 października 1925 r. na cmentarzu Orląt Lwowskich kilka minut po godzinie 14 rozpoczęły się prace ekshumacyjne. Spośród 275 bezimiennych mogił odkopano trzy w różnych miejscach cmentarza. Niestety po otwarciu trumien żadne ze zwłok nie wskazywały, iżby był to nieznany żołnierz – obrońca Lwowa. W tej sytuacji odkopano kolejne trzy mogiły, które o godzinie 16.20 ustawiono obok siebie i przystąpiono do losowania.

Prezydent RP Stanisław Wojciechowski przed kolumnadą Pałacu Saskiego





Obchody Święta Niepodległości na placu marsz. J. Piłsudskiego, 1929 r.

Aktu tego dokonała jedna z dwóch matek, których synowie polegli w wojnie z lat 1918–1920, a ich zwłoki nigdy nie odnaleziono. Były to Bronisława Widtowa oraz Jadwiga Zarugiewiczowa, która dotknąwszy dłonią trumny, wskazała Nieznanego Żołnierza – młodego człowieka w mundurze strzeleckim i czapce maciejówce. Fakt ten upamiętnia tablica, którą dziś można zobaczyć na frontowej ścianie siedziby Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Wskazane zwłoki przełożono do trumny sosnowej, a następnie do trumny z czarnego dębu, umieszczonej wewnątrz metalowej. Trumnę kawalerowie Orderu Virtuti Militari przenieśli do kaplicy Orłąt. Przez dwa dni trwały uroczystości związane z oddaniem hołdu Nieznanemu Żołnierzowi we Lwowie. Miały niezwykle podniosły i uroczysty przebieg, wyrażały dumę i poczucie godności mieszkańców z niezwykłego zaszczytu, jakiego dostąpiło ich miasto i oni sami zarazem. Z Dworca Głównego rano 1 listopada 1925 r. ruszył specjalny pociąg do Warszawy.

Na odświętnie udekorowanych dworcach na całej trasie przejazdu witały go tłumy mieszkańców. Po trwającej niemal dobę podróży pociąg dotarł do Warszawy punktualnie o godzinie szóstej. Na Dworcu Głównym oczekiwali gen. dyw. Władysław Sikorski oraz przedstawiciele rządu i duchowieństwa, a także

społeczeństwo Warszawy. Po przeniesieniu trumny z pociągu na lawetę armatnią okryto ją szkarłatnym całunem atlasowym z wyhaftowanym Białym Orłem. Kondukt pogrzebowy ruszył Alejami Jerozolimskimi, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem, przez plac Zamkowy do katedry św. Jana.

Na jego czele szła orkiestra wojskowa, poczet sztandarowy i kompania honorowa 30 Pułku Piechoty. Sarkofag Nieznanego Żołnierza ciągnęły trzy pary siwych koni. Następnie symboliczna rodzina: dwie matki obecne wcześniej we Lwowie, dwie wdowy (Maria Bilewiczowa i Franciszka Stysiowa), dwie sieroty (14-letnia Stefania Chołowańcówna i 9-letni Jan Rudzki). Żadna z tych osób przybranej rodziny nie odnalazła grobu swych bliskich. W składzie symbolicznej rodziny znaleźli się również dwaj inwalidzi wojenni – Grzegorz Strzelecki i Adam Gryglewski. Wzdłuż ulic udekorowanych flagami narodowymi stały nieprzebrane tłumy mieszkańców.

Do katedry na uroczystość przybył Prezydent RP, marszałkowie sejmu i senatu, władze stolicy, generałowie i attaché wojskowi innych państw. Mszę świętą zakończył *Marsz żałobny* Fryderyka Chopina. Ponownie utworzony kondukt skierował się w stronę Pałacu Saskiego. Przed pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego wartę honorową pełnili żołnierze Wojska Polskiego w historycznych mundurach.



Pogrzeb Nieznanego Żołnierza w Warszawie



Zdjęcie rodzinne ze zbiorów K. Kota



Złożenie wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza przez organizacje kombatanckie

Kiedy laweta z trumną Nieznanego Żołnierza zatrzymała się tuż obok pałacu, przy pochylonych sztandarach ośmiu podoficerów, kawalerów *Virtuti Militari*, przeniosło ją na ramionach. O godzinie 13, po komendzie dowódcy uroczystości, trumna została opuszczona do grobowca. W całym mieście rozbrzmiały dzwony kościelne. Minister spraw wojskowych złożył do grobowca akt erekcyjny i 14 żalników z ziemią z pozostałych pobojowisk, a także srebrny wieniec od Prezydenta Rzeczypospolitej i jedwabny całun z wizerunkiem orła białego.

Chwilę potem rozległ się wystrzał armatni oznajmający minutę ciszy. Ruch na ulicach zamarł, ludzie zdjęli nakrycia głowy i nastąpiła chwila skupienia. Tylko w górze rozlegał się warkot silników przelatujących nad placem Saskim samolotów, a jedyny dźwięk, który można było usłyszeć w dole, to łopot chorągwi i flag poruszanych podmuchami wiatru. Po owej chwili rozległ się w Ogrodzie Saskim salut 21 salw artyleryjskich. Kiedy przebrzmiała ostatnia z nich, odegrano hymn narodowy, oddziały wojskowe zaprezentowały broń, a delegacja ze Lwowa złożyła na trumnie garść ziemi z lwowskiej mogiły. Po zakryciu grobowca płytą prezydent Wojciechowski zapalił jeden z pięciu zniczy symbolizujący ogień niegasnącej pamięci. Rozpoczęło się składanie wieńców.

Pomnik w kolumnadzie

A jak wyglądał sam grób? Jego trzonem były trzy środkowe arkady kolumnady Pałacu Saskiego. Środkowa została przeznaczona na głęboki na 1,5 m grobowiec. Jego wnętrze wyłożono stalowym pancerzem zamykanym stalową płytą z napisem:

Dnia 2 XI 1925 roku zostały złożone w tym miejscu zwłoki nieznanego żołnierza polskiego przeniesione z wybranego losem pobojowiska lwowskiego.

Otoczenie grobowca wyłożono czarnym, wypolerowanym granitem, z którym kontrastowała matowa płyta nagrobna. Celem takiego rozwiązania architektonicznego było skoncentrowanie całej uwagi na płycie, gdzie wyrzyto słowa:

TU LEŻY ŻOŁNIERZ POLSKI
POLEGŁY ZA OJCZYZNĘ

U wezgłowa znalazł się znicz wykonany w stylu klasycystycznym. Miał formę dwóch czarnych, smukłych aniołów, których złote skrzydła trzymały czaszę znicza. Na sklepieniu ponad płytą grobową znajdował się fresk z wieńcem laurowym i dekorującymi go wstążkami. Pod sklepieniem arkad, po obu stronach płyty, zawieszono dwa metalowe lampiony. Środkową część przestrzeni arkad przeznaczonej na grobowiec oddzielały od reszty granitowe słupki zwieńczone kulami i połączone żeliwnymi prętami. Skrajne ściany pałacu, ujmujące arkady, ozdobiły płaskorzeźby panopliowe przedstawiające sztandary otoczone husarskimi skrzydłami.

Elewację przednią stanowiły trzy arkady, w których osadzono kamienne tablice z płaskorzeźbami mieczy ujętych w stylizowane skrzydła husarskie (takie same płaskorzeźby znajdowały się od strony Ogrodu Saskiego). Dwa kolejne filary były tłem dla wykonanych z brązu



Zdjęcie zniszczonego Grobu Nieznanego Żołnierza ze zbiorów B. Motelskiego.

klasycystycznych urn ustawionych na marmurowych blokach. W święta państwowe urny płonęły wielkim gazowym płomieniem.

Trzy tylne arkady przesłaniały ozdobne kraty wkućte w filary. Środkową kratę wieńczył srebrny orzeł ze złotą koroną i szponami zaciśniętymi na tarczy. Krata po prawej stronie miała centralnie umieszczony Krzyż Walecznych, krata po lewej – Krzyż Virtuti Militari, od których odchodziły wiązki złotych promieni.

Na czterech filarach od strony grobowca zamieszczono cztery czarne, granitowe tablice z wyrytymi polami bitew. Pod tablicami znajdowały się niewielkie znicze na kamiennych płytach przypominające formą znicze główny. Znicze pod tablicami były zapalane w dniu rocznicy danej bitwy.

Odwiedzenie Grobu Nieznanego Żołnierza

Grób Nieznanego Żołnierza szybko stał się miejscem wizyt mieszkańców Warszawy i licznych wycieczek. Spontanicznie pojawił się niepisany zwyczaj oddawania szacunku Nieznanemu Żołnierzowi. W jego najbliższym otoczeniu nie palono papierosów, zachowywano

spokój, a rozmowy prowadzono przyciszonym głosem. Mijając Grób, mężczyźni uchylali nakrycie głowy. Za ten sam gest wykonany podczas niemieckiej okupacji groziła kara śmierci.

Aż do września 1939 r. delegacje zagraniczne przybywające do Polski składały wieńce na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza zgodnie z protokołem dyplomatycznym. Pierwsze uroczystości z udziałem Wojska Polskiego odbyły się 11 listopada 1925 r. Kolejne odbywały się z okazji święta żołnierza (15 sierpnia) i w rocznice odzyskania niepodległości (10 i 11 listopada).

Podczas agresji Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r. otoczenie placu Saskiego zostało w poważnym stopniu uszkodzone. Spłonęły kamienice w centrum miasta przy Wierzbowej i Ossolińskich. Zajęcie Warszawy przez Niemców nie spowodowało jednak naruszenia, dewastacji czy chociażby lekceważenia Grobu Nieznanego Żołnierza. Mimo iż miejsce było patrolowane przez Niemców, 15 sierpnia 1941 r. złożono na płycie wieńiec z szarfą z napisem „Nieznanemu Żołnierzowi Rząd RP”.

Upadek Powstania Warszawskiego niemal całą lewobrzeżną Warszawę obrócił w morze gruzów. Te

barbarzyńskie działania Niemców nie ominęły placu i Pałacu Saskiego. Już 6 grudnia 1944 r. w powietrze wyleciał pomnik księcia Poniatowskiego, a 12 dni później Pałac Brühla. Pod koniec miesiąca (28 i 29) saperzy zaczęli podkładać ładunki pod Pałac Saski. Sam proces wyburzania trwał trzy dni. Jednak nie wszystko poszło po myśli okupanta, albowiem trzy środkowe arkady, pod którymi znajdował się Grób Nieznanego Żołnierza, częściowo przetrwały. Mimo iż spadający gruz z zawalonego sufitu strząsał płytę nagrobną oraz uszkodził otaczające ją płyty, eksplozje powyginały kraty zamykające Grób od strony Ogrodu Saskiego, a jeden filar został rozbity, samo miejsce pochówku nie uległo zniszczeniu. Po wkroczeniu żołnierzy Wojska Polskiego na plac Saski 17 stycznia 1945 r. ich oczom ukazał się przerażający, ale jakże zarazem wzruszający obraz. Bezmiar ruin wokół i samotnie strzegący pamięci bezimiennego bohatera Grób Nieznanego Żołnierza. Wieczorem zapłonął przed nim symboliczny ogień pamięci... z kilku desek walających się wokół.

Ponad półtora roku trwało oczyszczanie z gruzu i niewybuchów terenu wokół Grobu Nieznanego Żołnierza. Jego ponowne odsłonięcie nastąpiło 8 maja 1946 r. w pierwszą rocznicę zakończenia wojny. Wraz z przeobrażaniem się ustrojów zmieniano tablice upamiętniające bohaterstwo żołnierza polskiego. Pierwsze tablice zawierające wykaz bitew z lat 1914–1920 zastąpiono płytami „Wojско Polskie w walce z faszyzmem i hitleryzmem”.

Na przestrzeni lat 1945–1990 organizacje kombatanckie weteranów z Polski i zagranicy wielokrotnie występowały do władz państwowych o należyte upamiętnienie bohaterstwa żołnierza polskiego oraz podziemnych organizacji wspierających go w walce o wolność i suwerenność Polski. W końcu po 1990 r. herosi walk doczekali się wspomnienia o swoim poświęceniu w postaci umieszczenia ich pola bitwy na nowo zaktualizowanych tablicach Grobu Nieznanego Żołnierza.

Od 1966 r. w każdą niedzielę o godzinie 12 przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie odbywa się uroczysta zmiana posterunku honorowego przez pododdziały reprezentacyjne Wojska Polskiego.

Z inicjatywy ówczesnego dowódcy Garnizonu Warszawa gen. bryg. Kazimierza Gilarzkiego przywilej ten został rozszerzony na inne jednostki stołecznego garnizonu. Od lutego 2010 r. w uroczystej zmianie posterunku honorowego uczestniczą również pododdziały Żandarmerii Wojskowej, Wojskowej Akademii Technicznej oraz stołecznego Pułku Ochrony. Ponadto od 2012 r. uprawnienia te zostały przyznane innym jednostkom wojskowym oraz służbom mundurowym, które przybywają do Warszawy i dokonują uroczystej zmiany. To dla nich duże wyróżnienie, albowiem tuż przed uroczystością przedstawiania jest ich tradycja, osiągnięcia oraz historia.



I pielgrzymka papieża Jana Pawła II do Polski – msza święta na pl. Zwycięstwa (dziś marsz. J. Piłsudskiego), 1979 r.

Aby zachować pamięć o dramatycznych wydarzeniach z grudnia 1944 r., w ramach odbudowy Pałacu Saskiego Grób Nieznanego Żołnierza zostanie ponownie wkomponowany w kolumnadę, ale z zachowaniem swej odrębnej formy i faktury znanej nam dziś. Trzymajmy zatem kciuki za realizację powyższego zamierzenia na pożytek miasta, historii i narodu. 🇵🇵

Włodzimierz Dembiński
kustosz Sali Tradycji Dowództwa Garnizonu
Warszawa

Szlachcic na zagrodzie równy województwie?

Siedziby szlachty na Mazowszu w XIV–XVI wieku

Piotr Lasek

Mazowiecka szlachta w powszechnej opinii uchodzi za waleczną, swarliwą, konserwatywną i... biedną. O ile dwóch pierwszych cech nie sposób mazowieckim posesjonatom odmówić, o tyle opinia o ich horyzontach umysłowych i stanie posiadania bywa krzywdząca.

Jednym z wyrazów aspiracji i statusu szlacheckich urodzonych były ich siedziby. Wyniki badań w dolnośląskiej Sobótce-Górcie czy małopolskiej Morawicy wskazują, że już w XII w. możnowładcy pokroju Piotra Włostowica czy palatyna Sieciecha wznosili w swych dobrach okazałe, murowane palatia nieustępujące rezydencjom władców piastowskich. Jednak prawdziwy rozkwit siedzib w dobrach rycerstwa nastąpił na ziemiach polskich o dwa stulecia później wraz ze wzrostem znaczenia ekonomicznego i społecznego posiadłości ziemskich. By dobrze zarządzać majątkiem, przedstawiciele stanu uprzywilejowanego musieli częściej przebywać w swych dobrach, posiadać tam centrum administracyjne, gospodarcze i prestiżowe – dwór, nierzadko ufortyfikowany, a w przypadku najbogatszych i najambitniejszych – zamek. Nie inaczej było na Mazowszu, które po zawierusze najazdów pruskich, jaćwieskich i litewskich wyszło wreszcie w XIV stuleciu na prostą i poczęło nadrabiać zaległości w stosunku do innych ziem polskich. Wraz ze stopniowym przekształcaniem się mazowieckiego rycerstwa ze stanu wojowników w osiadłą na swoim szlachtę, w należących do tutejszych posesjonatów dobrach powstawały mniej lub bardziej wystawne siedziby, określane w źródłach pisanych jako *curia* (dwór), *praedium*

(folwark), a czasami także jako „forteczka”, umocniony dwór (*fortalicium*) lub nawet zamek (*castrum*, *arx*). Niestety, przetaczające się przez Mazowsze zawieruchy wojenne (zwłaszcza II i III wojna północna) sprawiły, że większość dworów czy zamków została doszczętnie zniszczona. Część już nigdy nie podniosła się z ruiny, a jedynym po nich śladem są kopce czy nasypy ziemne lub wzmianki w źródłach pisanych. Inne przetrwały jedynie fragmentarycznie, przebudowane i wtopione w mury późniejszych budowli.

Między dworem a *fortalicium*

Ziemie mazowieckie wyszły z najazdów XIII stulecia w złym stanie. Ciągłe walki i napady zahamowały handel i rozwój miast, a grabieże i uprowadzanie ludności w niewolę podkopały ekonomikę wsi. Nic dziwnego, że nadrabianie strat przebiegało wolno, co dotyczy także majątków rycerstwa. Mazowiecki *nobilis* częstokroć mieszkał skromniej niż szlachecko urodzony z Małopolski czy Śląska, bo jego możliwości ekonomiczne były mniejsze. Z tego też powodu na Mazowszu długo utrzymywała się tradycja używania drewna jako podstawowego budulca domów, dworów, kościołów. Drewno było tańsze i łatwiej dostępne, a też dało się z niego wybudować coś bardziej okazałego niż okoliczne kmiecie



Zameczek neogotycki w Radziejowicach wzniesiony na gruzach wcześniejszej późnośredniowiecznej siedziby Radziejowskich herbu Junosza, fot. Leonard Sempoliński ze Zbiorów Fotografii i Rysunków Pomiarowych IS PAN



Radzanów, pozostałości zamku Radzanowskich, numeryczny model terenu, za: <https://www.geoportal.gov.pl/>

chaty. Inna rzecz, że i struktura stanu rycerskiego na Mazowszu była odmienna niż w innych ziemiach polskich. Elita feudalna była tu nieliczna i skupiała się przy dworze książęcym. Jej fortuny powstawały głównie drogą kariery dworsko-urzędniczej. Dużo mniejszy, niż np. w przypadku możnowładztwa małopolskiego, był też areal posiadłości mazowieckich elit (zazwyczaj nieco powyżej 500 łanów). Do tego należy dodać postępujące od XV w. rozdrobnienie majątkowe szlachty, a co za tym idzie jej dalsze ubożenie. Wreszcie na Mazowszu duży odsetek stanu szlacheckiego (sięgający nawet 20 proc.) stanowiła szlachta zagrodowa posiadająca ziemię (często był to jedynie fragment wsi, stąd mówi się też o szlachcie cząstkowej), ale uprawiająca ją „samodzielnie lub pospół z czeladzią swoją”.

W czym więc zamieszkiwał przeciętny szlachcic na Mazowszu? Zazwyczaj w drewnianym dworze. Po tego typu siedzibach nie zachowały się żadne ślady w terenie, znane są jedynie z przekazów pisanych. Nie były to też budowle o rozbudowanym układzie przestrzennym i funkcjonalnym. Od zagród chłopów musiały się jednak odróżniać – skalą oraz materiałem. Jak wykazała w swej pracy Anna Marciniak-Kajzer, w budownictwie dworskim późnego średniowiecza przeważały konstrukcje zrębowe wykonane z dębiny. Potwierdza to – późny wprawdzie, bo pochodzący z 1563 r. – przekaz dotyczący podziału dóbr między Jakubem, Piotrem, Andrzejem i Janem, synami zmarłego Andrzeja z Cieciszewa w ziemi czerskiej. Jan, najwyraźniej nieposiadający dotąd własnej siedziby, otrzymał od pozostałych braci siedlisko (*area*) we wsi Łyczyno, w tym siedlisku miały mu zostać wydzielone dwie działki kmiece, a ponadto miał jeszcze otrzymać 100 złotych oraz trzy kopy kłód dębowych na wzniesienie we wsi swego domostwa. Inna wzmianka wskazuje z kolei, kto mógł być budowniczym

takiego drewnianego dworu. W 1474 r. Adam z Gąsek zawarł umowę o prace budowlane przy swym dworze z Piotrem, młynarzem z Tarczyna. Zazwyczaj zespół zabudowań dworskich składał się z siedziby i otaczających ją budynków pomocniczych (mieszkalnych i gospodarczych), częstokroć towarzyszył mu też ogród. Bardzo pożądana była także obecność w pobliżu siedziby cieków wodnego, umożliwiającego nawodnienie sadzawki czy stawu rybnego. W 1476 r. w podziale dóbr między Mikołajem i Wojciechem z Sułkowa (dziś Sułkowo Polne w powiecie mławskim) Mikołaj otrzymuje siedlisko w Sułkowie, wszystkie domy i zabudowania ojcowskie z gumnem, z połową grodzia tamże, połową folwarku, połową gaju, sześcioma włókami osadniczymi oraz nowym rybnikiem i młynem. Omawiane zespoły dworskie, choć pozbawione większych walorów obronnych, były jednak zabezpieczone – płotem, parkanem czyli właśnie wspomnianą grodzą. Owe płoty lub parkany, jak celnie zauważył onegdaj Leszek Kajzer, „raczej ograniczały i zamykały granice dworskiego *sacrum*, niż zapewniały realne walory obronne”.

Byli jednak też i tacy posesjonaci, którym płot czy parkan najwyraźniej nie wystarczały do zapewnienia elementarnego bezpieczeństwa. Na ufortyfikowanie swej siedziby decydowali się oczywiście zamożniejsi przedstawiciele stanu szlacheckiego, bowiem nawet wzniesienie niewielkiej, drewniano-ziemnej „forteczki” wymagało sporego wysiłku finansowego i przede wszystkim organizacyjnego. Trzeba było wybrać odpowiednie miejsce posiadające walory obronne, zgromadzić budulec, wezwać chłopów do prac ziemnych oraz znaleźć specjalistę, który wykona najważniejsze prace budowlane. Wreszcie, przynajmniej w niektórych wypadkach, należało uzyskać zgodę władzy zwierzchniej. Przykładowo, w 1483 r. książę Bolesław V

Sarnowo, pozostałości siedziby Świnków, numeryczny model terenu, za: <https://www.geoportal.gov.pl/>



wydał dla Jana z Radzimina i jego potomków zezwolenie na wystawienie *fortalicium* w Radziminie. Jeszcze w 1506 r. podczaszy czerski Mikołaj Polak z Petrykoz koło Tarczyna, chcąc wznieść w swym *fortalicium* bramę z mostem zwodzonym nad fosą, musiał uzyskać na to przedsięwzięcie pozwolenie od księżnej regentki Anny. Wdowa po Konradzie III udzieliła Mikołajowi konsensu, lecz pod warunkiem, że ten po ukończeniu prac budowlanych złoży księżnej przysięgę wierności, podobnie jak to czynili starostowie zamków książęcych. Niestety, po *fortalicium* Mikołaja nie zachowały się we wsi żadne ślady.

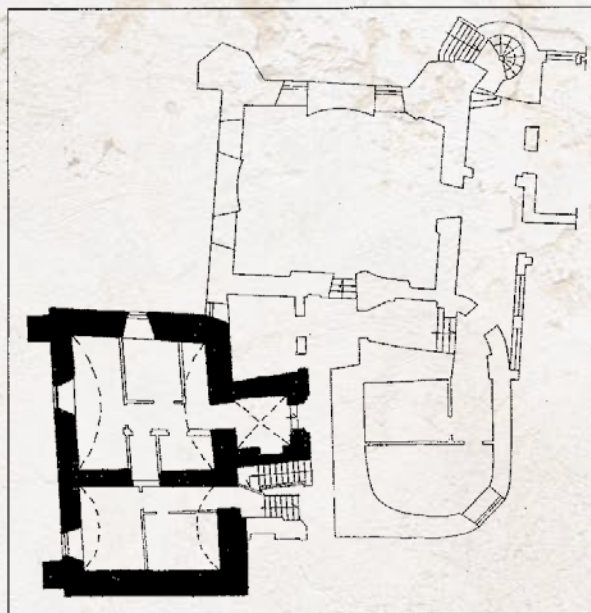
Posiadanie umocnionej siedziby mogło się przydać w razie zagrożenia, a ponadto dodawało prestiżu. Zwłaszcza jeśli do budowy użyto trwałego budulca – cegły. Prestiż nie był jednak najważniejszym powodem, dla którego podejmowano trud budowy ufortyfikowanej siedziby. Dużo ważniejsze były kwestie bezpieczeństwa – osobistego i zgromadzonego mienia. Kogo więc obawiali się mazowieccy posesjonaci? Nieprzypadkowo szczególne zagęszczenie siedzib obronnych notujemy na terenach przygranicznych, przede wszystkim na północy, na Mazowszu płockim – przy granicy mazowiecko-krzyżackiej. Impulsem do ich powstawania mogły być choćby wydarzenia z lat 1411–1413, kiedy to pograniczne ziemie mazowieckie były celem licznych krzyżackich napadów rabunkowych. Przykładowo, w 1411 r. Krzyżacy zrabowali Witowi z Bonisławia koło Mławy pszczoły i inne dobra wartości 16 kóp groszy, zaś Mikołajowi z Janowca Kościelnego dwa topory. W tym samym roku wójt krzyżacki z Działdowa zabrał plebanowi z Dąbrowy i jego kmieciowi dwa miecze wartości 1 kopy groszy. W 1413 r. tenże wójt z Działdowa najpierw zrabował Janowi z Dąbrowy odzienie z mieczem wartości 3 grzywien, a w następnym ataku obrabował go doszczętnie i utopił. Nie mniej niszczące były wydarzenia tzw. wojny głodowej w 1414 r., podczas której odwetowe ataki krzyżackie spadły na ziemię płocką.

Dramatyczne wydarzenia wojenne niewątpliwie zostawały na długo w pamięci mieszkańców, a pograniczni lotrzykowie czy nieprzyjacielskie zagony były istotnym zagrożeniem, przed którym musiano się bronić. Jednakże na co dzień głównym wrogiem mazowieckiego szlachcica nie był Krzyżak, lecz własny sąsiad. W 1415 r. Wawrzyniec zwany Vobis z Brzumina w ziemi czerskiej został pozwany przez Prędotę z Brzumina o to, iż wraz z czterema kompanami gonił go z „ostrą bronią”. W 1466 r. Gasztold z Przyborowic i Szczepan ze Smół wyprawili się w celu zdobycia *fortalicium* w Karniszynie (pow. żuromiński), czyniąc przy okazji szkody w dobrach biskupstwa płockiego. Na podstawie wyników badań archeologicznych wiemy, że początki tamtejszej budowli obronnej, wzniesionej na kępie wśród rozlewisk Luty i Wkry, sięgają XIII–XIV stulecia. W XV w. teren siedziby został nadsypany

i otoczony fosą oraz wałami, w obrębie których znajdowały się bliżej nieokreślone zabudowania murowane – dom (lub domy) zamkowe, niewykluczone, że także mury obronne. Dziś po siedzibie w Karniszynie pozostały jedynie nikłe relikty wałów na zachód od centrum wsi, za rzeką Lutą. Jej właściciele, Osuchowscy, musieli mieć nie najlepsze zdanie o sąsiadach (jak się okazało, słusznie), skoro zdecydowali się wznieść kosztowne, murowane umocnienia. Niekiedy błahe z pozoru niesnaski czy spory przybierały nieoczekiwany obrót, stając się przyczyną ciągnących się latami zatargów, nierzadko kończących się krwawo. W 1493 r. szlachta z rodu Pobogów, zwaśniona z sąsiadami z rodu Trzasków o prawo patronatu kościoła parafialnego w Janowcu Kościelnym na Pobożu (północna część ziemi zawkrzeńskiej), wywołała burdę, w wyniku której doszło do znieważenia zarówno tamtejszego kościoła, jak i cmentarza. Sprawa skończyła się w sądzie biskupim, wyrokiem którego oba zwaśnione rody zostały obłożone klątwą kościelną i zmuszone do zapłacenia kary pieniężnej. Niekiedy atakującymi kierowały pobudki natury osobistej. W 1466 r. całe Mazowsze i Królestwo Polskie żyło sprawą rycerza Jakuba Boglewskiego. Wedle relacji Długosza 6 stycznia 1466 r. rzeczony Jakub, kiedy odpoczywał w łożu, „w swojej wsi i fortalicji Łęczeszycze” (niedaleko Grójca) został podstępnie zaskoczony i zgłodzony przez kochanka swej żony Doroty Boglewskiej. Był nim archidiakon gnieźnieński i dziekan łęczycki Jan Pieniążek, który przy pomocy trzech napastników rozsiekał Jakuba „włóczniami, mieczami i siekierami”. Siedziba nieszczęsnego Jakuba Boglewskiego nie została jak dotąd zlokalizowana w terenie.

Jak wyglądały umocnione siedziby, którym mieszkańcy powierzali swe zdrowie i życie? Omawiane budowle wpisywały się zazwyczaj w trzy główne typy rycerskich siedzib obronnych: wieże lub dwory na kopcu wraz z mieszkalnym i gospodarczym zapleczem oraz większe założenia chronione wałami i fosami, niekiedy wreszcie niewielkie zamki. Jeśli chodzi o wieże na kopcach, dobrym przykładem jest tu *fortalicium* w Sarnowie koło Żuromina, po którym pozostał stożkowaty nasyp ziemny z relikami murów. Wieś, z nadania Kazimierza Wielkiego władającego w księstwie płockim w latach 1351–1370, otrzymali przedstawiciele mazowieckiej gałęzi rodu Świnków – Piotr wraz z synami. Nie wiadomo, który z przedstawicieli Świnków-Sarnowskich wzniósł we wschodniej części wsi, wśród łąk nad rzeczką Przylepnicą, obronną siedzibę, wzmiankowaną po raz pierwszy w 1468 r. Wedle podziału dóbr między Mikołajem Sarnowskim a jego synami z 1480 r. składała się ona z otoczonej fosą i stawami rybnymi wieży mieszkalnej na kopcu (opisanej jako „dom zwany Słup”), pod którą była piwnica ze skarbcem. Przed zamkiem był gospodarczy przygródek otoczony wodą, na który wiodł most z samborzą

(pomieszczenie nad bramą służące obronie i celom wartowniczym). W XVI w. wieżę zastąpił na kopcu murowany dwór, czyniąc z Sarnowa niemalże zamek. Drewniana wieża na kopcu istniała także w Miszewie Murowanym w pow. plockim. Pozostał po niej wysoki na ok. 10 m nasyp na planie owalnym, otoczony fosą, posadowiony na krawędzi doliny bezimiennego cieku wodnego, ok. 300 m na północny zachód od kościoła parafialnego. Budowla, datowana na XIV–XV w., była umocnioną siedzibą właścicieli wsi – Miszewskich herbu Lubicz. Być może wznosił ją Jaszczołd z Miszewa, ojciec Jakuba Jaszczołdowica, fundatora tamtejszego słynnego kościoła parafialnego pw. Wszystkich Świętych. Murowana wieża funkcjonowała natomiast na stromej skarpie rzecznej w Pilicy koło Starej Warki. Czas jej powstania, jak też inicjator budowy są nieznani, sama miejscowość istniała dowodnie już w XV stuleciu. Robert Kunkel interpretował tę budowlę jako rycerską wieżę mieszkalną, podczas gdy Jerzy Augustyniak widział w niej element systemu obronnego przeprawy przez Pilicę. Na tę ostatnią ewentualność mogą wskazywać źródła kartograficzne – (tzw. mapa von Heldensfelda z początku XIX w.). Między wsiami Starą Warką a Pilicą zaznaczono tam obiekt opisany jako *Wartthurm*. Z kolei murowany wieżowy dwór na kopcu istniał w późnym średniowieczu w Radziejowicach, gnieździe Radziejowskich herbu Junosza. Jego relikty znajdują się w tzw. zameczku neogotyckim, wzniesionym na gruzach wcześniejszej siedziby przez Jakuba Kubickiego. Inicjatorem budowy dworu murowanego był najpewniej Andrzej Radziejowski, stolnik i chorąży sochaczewski, starosta plocki, kasztelan sochaczewski, wreszcie zaś wojewoda plocki. Murowana była też najpewniej siedziba w Giżycach w pow. sochaczewskim. Po raz pierwszy wzmiankowana została w 1487 r. jako *curia et fortalicio*. Powstanie obronnej rezydencji łączy się z inicjatywą biskupa plockiego



Radziejowice, rzut wieżowej siedziby Radziejowskich na tle murów tzw. Zameczku, rys. wg M. Barbasiewicza i E. Pustoly-Kozłowskiej

Pawła Giżyckiego herbu Gozdawa, który ufundował też w Giżycach ceglany kościół pw. św. Piotra i Pawła (wzniesiony w latach ok 1439–1447). Na miejscu dworu stoi obecnie zespół pałacowo-parkowy rodziny Suskich z drugiej połowy XIX w.

Na tle owych wież czy dworów, a więc budowli o relatywnie skromnym programie architektonicznym, wyróżniają się większe założenia, mogące aspirować do miana zamków. Takie było najpewniej *fortalicium* w Radzanowie (ziemia zawkrzeńska). Usytuowane zostało na kępie otoczonej z trzech stron wodami Wkry. Do dziś zachowały się obwałowania o czworobocznym narysie z zaokrąglonymi narożami. Obiekt ten był dotychczas eksplorowany jedynie w niewielkim zakresie, a pierwszy przekaz pisany na jego temat pochodzi



Pilica, wieża („Wartthurm”) na mapie topograficznej Galicji Zachodniej z lat 1801–1804 (tzw. mapa von Heldensfelda)



Giżyce, kościół parafialny, Z. Kaczmarczyk, 1948, Zbiory Fotografii i Rysunków Pomiarowych IS PAN

dopiero z 1543 r. Możliwe jednak, że powstanie obronnej siedziby Radzanowskich herbu Prawdzic miało związek z lokacją w Radzanowie miasta na prawie chełmińskim (przywilej Siemowita IV dla Jakusza z Radzanowa Starego z 1393 r.). W roku 1611 Aleksander Gwagnin (Alessandro Guagnini) określił budowlę w Radzanowie jako „zamek murowany na górze między błotami”. Podobnym obiektem była zapewne siedziba Ciołków w Żelechowie (w średniowieczu w ziemi stężyckiej, poza granicami Mazowsza) – czworoboczne założenie

o rozmiarach ok. 50 × 50 m, chronione wałami ziemnymi wzmocnionymi wewnątrz kamiennymi konstrukcjami. Pierwsza wzmianka dotycząca zamku pochodzi z 22 stycznia 1515 r., kiedy to Andrzej Ciołek z Żelechowa darował swemu bratu przyrodniemu Feliksowi, staroście łukowskiemu, połowę miasta i fortalicii wraz z przedmieściem i kilkoma wsiami. Walory obronne owego *fortalicium* podnosiła szeroka, mokra fosa okalająca całe założenie. Zabudowa wewnątrz wałów była w większości drewniana, choć archeolodzy natrafili



Sierpc, plan miasta z ok. 1800 r. z zaznaczeniem miejsca po dawnym zamku, fot. Zink Pfeleiderer, 1937 r., archiwum Prowincjonalnego Konserwatora Zabytków Prus Wschodnich, Zbiory Fotografii i Rysunków Pomiarowych IS PAN

też na kamienne, masywne fundamenty, najpewniej pozostałości murowanego domu mieszkalnego. Do średniowiecznych budowli o bardziej złożonym programie użytkowym i obronnym należał też zamek w Leżenicach koło Głowaczowa w pow. kozienickim, wzmiankowany w 1489 r. przy okazji podziału dóbr dziedzicznych oraz zastawionych królewskich między potomstwem Sędziwoja Głowacza z Leżenic, wojewody sieradzkiego. Leżenice *cum castro* otrzymali wówczas bracia Hieronim i Mikołaj. Niestety, obiekt nie został jak dotąd poddany badaniom wykopaliskowym i niewiele wiemy o jego rozplanowaniu czy materiale budowlanym.

Zamki elity mazowieckiej XVI stulecia

Wraz z przechodzeniem kolejnych księstw mazowieckich (w 1462 r. ziemie rawska i gostynińska, w 1476 sochaczewska, w 1495 płocka, pozostałe ziemie: czerska, ciechanowska, liwska, łomżyńska, nurska, różańska, warszawska, wiska, wyszogrodzka, zakroczymska w 1529 utworzyły województwo mazowieckie) pod władzę królów Polski we wszystkich inkorporowanych terytoriach doszło do korzystnych dla większości szlachty zmian. Były to m.in. zrównanie w prawach szlachty mazowieckiej ze szlachtą koronną (ostatecznie stało się to na sejmie piotrkowskim w 1540 r.) i wzrost znaczenia samorządów ziemskich, a więc również wzrost znaczenia szlachty na zarząd krajem. Jednocześnie przed posesjonatami mazowieckimi otworzyły się możliwości nowych karier. Zygmunt I oraz królowa Bona, zainteresowani utrzymaniem odrębności Mazowsza,

faworyzowali na urzędach miejscowych możnych. Licznych współpracowników spośród szlachty mazowieckiej dobierała sobie zwłaszcza Bona. W związku z tym na Mazowszu wytworzyło się grono wpływowych rodzin mających dostęp do zaszczytnych urzędów centralnych i ziemskich, intratnych starostw, przebywające w bezpośrednim otoczeniu monarszym. Do tego doszły możliwości nieograniczonego cłami uczestnictwa w dochodowym handlu zbożem i produktami gospodarki leśnej. To wszystko sprawiło, że wzrosły możliwości inwestycyjne przedstawicieli elity szlachty mazowieckiej. Szły one w parze z nowymi ambicjami, bowiem pojawienie się na arenie politycznej

Korony siłą rzeczy skutkowało nowymi kontaktami, ale też, co oczywiste, także rywalizacją – ekonomiczną oraz prestiżową.

Nasz stan wiedzy o nowożytnych zamkach Mazowsza opiera się głównie na źródłach pisanych. Istotna jest tu relacja Aleksandra Gwagnina, który w swym dziele *Kronika Sarmacyey Europskiej* wymienił wśród mazowieckich zamków założenia prywatne w Szreńsku i Radzanowie. Szczególne znaczenie ma tu także dzieło Jędrzeja Święcickiego *Topografia, czyli opis Mazowsza*. Święcicki wymienił siedziby obronne w Leżenicach (*arx*, notabene znajdujący się już wówczas w ruinie), w Parysowie i Kozłowie koło Garwolina (*arx*), Szreńsku, Zieluniu, Bieżuniu, Chamsku (*castellum*, tzn. zameczek) oraz Karniszynie (*arx*) na Zawkrzu, wreszcie zaś zamek w Radziejowicach w ziemi sochaczewskiej. Spośród wymienionych siedzib obronnych większość miała niewątpliwie metrykę późnośredniowieczną: Biezuń, Karniszyn, Leżenice i Radziejowice. Pozostałe powstały, jak ujął to autor najstarszego opisu Mazowsza, „za pamięci ojców”, czyli w ciągu XVI stulecia. Wreszcie warto wspomnieć w kontekście omawianej problematyki informacje zawarte w dziele Szymona Starowolskiego *Polska albo opisanie położenia Królestwa Polskiego* oraz w *Dzienniku* Ulryka Werduma, spisany jednakże dopiero w latach 1670–1672.

Dotychczas najlepiej poznany z wymienionych obiektów jest zamek w Szreńsku, eksplorowany w latach 70. i 80. XX w. Inicjatorem budowy założenia był Feliks Szreński, wojewoda płocki, starosta malborski, wiski

i łomżyński. Budowla ta wzniesiona została z cegły, na fundamentach z kamienia polnego. Mury obwodowe założenia posadowiono na koronie wałów dawnego grodu, wzmocnionej dodatkowo kamieniami i drewnem. Wjazd prowadził od strony miasta, wejścia bronił budynek bramny na rzucie czworoboku, wysunięty przed lico murów. W jego narożach znajdowały się wzmacniające budowlę przypory. Od zewnątrz do bramy niewątpliwie prowadził most zwodzony. Całość zespołu zamkowego otoczona była murem obronnym wzmocnionym czterema cylindrycznymi basztami. W obrębie murów stały budynki mieszkalne i gospodarcze przylegające do obwodu obronnego, ułożone wokół sporego, brukowanego dziedzińca. W południowej części założenia znajdował się dwutraktowy budynek, w planie czworoboczny, naprzeciw niego zaś tzw. kamienica wielka, również na rzucie czworoboku. Na osi kurtyny wschodniej stała budowla, interpretowana jako kaplica zamkowa, na planie czworobocznym, z półkoliście zamkniętym prezbiterium wysuniętym poza obwód warowny. Między południowo-wschodnią wieżyczką a pałacem wznosiły się zabudowania gospodarcze. Całe założenie, rozmiarami nie przekraczające 0,6 ha, otoczone było bagniskami od wschodu i północy, wodami rzek Mławki i Szronki,



Szreńsk, płyta nagrobna Feliksa Szreńskiego w kościele parafialnym, stan z 2009 r.



Szreńsk, zamek Feliksa Szreńskiego, rekonstrukcja stanu pierwotnego, rys. J. Salm

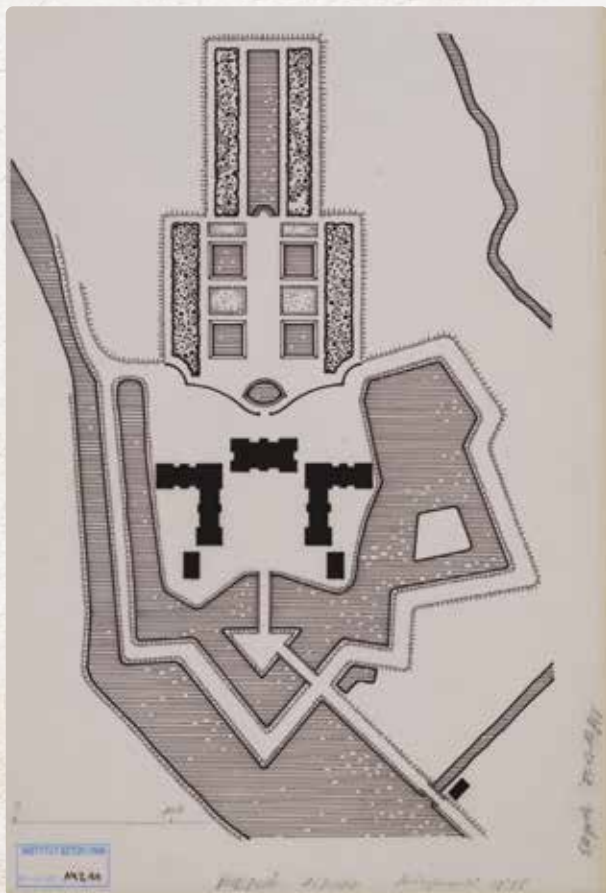
Szreńsk, pozostałości głównego domu zamkowego, stan z 2009 r.



oraz dodatkowo od strony miasta płytką i grząską fosą. Zamek Feliksa ostatecznie podupadł w XVIII w., do czego przyczyniła się próba obrony w murach zamkowych oddziału konfederatów barskich pod wodzą Józefa Sawy Calińskiego. Po II rozbiórze Polski Szreńsk dostał się Prusakom, a jego właścicielem został Karol Ludwik Knobloch. Przekształcił on zrujnowany zamek na swą rezydencję, burząc fortyfikacje i wykorzystując mury kamienicy wielkiej do wzniesienia gmachu swego pałacu. W tym stanie zabytek przetrwał do pożaru w 1948 r. Obecnie pozostaje w stanie smętnej ruiny, niemniej warto odwiedzić gniazdo rodowe Szreńskich, choćby ze względu na zachowany późnogotycki kościół z nagrobkiem Feliksa Szreńskiego w pełnej zbroi płytowej.

Tak okazała siedziba nie była na Mazowszu pierwszym przykładem. Istotnych danych na ten temat dostarczyły wyniki eksploracji terenowych Tomasza Olszackiego i Artura Różańskiego w Sierpcu. Wspomniani badacze zlokalizowali relikty siedziby właścicieli miasta – Sierpskich – znanej dotychczas jedynie z lakonicznych wzmianek pisanych oraz źródeł kartograficznych. Nowa, ceglana rezydencja, posadowiona nad rzeką Sierpienicą, powstała na przełomie XV i XVI w. z inicjatywy zmarłego w 1514 r.

Bieżuń, plan założenia pałacowego z widocznymi relikтами fortyfikacji bastionowej, rys. M. Trojanowski, 1985 r., Zbiory Fotografii i Rysunków Pomiarowych IS PAN



Prokopa Sierpskiego z Gulczewa i Sierpca, starosty i chorążego płockiego. Wedle badaczy obiektu zamek Prokopa składał się z dwóch kamienic (północnej i wschodniej) oraz wieży. Co więcej, Tomasz Olszacki i Artur Różański dokonali także wstępnych prospekcyj drewnianego budynku w lewobrzeżnej części Sierpca – tzw. Kasztelanki. Uważają oni, że obiekt ten został wzniesiony na fundamentach wieżowego dworu powstałego równocześnie z zespołem zamkowym, a zrealizowanym dla drugiego z posiadaczy Sierpca, brata Prokopa – Feliksa.

Istnienie w XVI w. innych murowanych zamków zdradzają wyniki kwerend źródłowych lub pozostałości samych obiektów (gruz ceglany, zasypane piwnice). Słabo poznany, lecz niewątpliwie przynajmniej częściowo murowany zamek wzniesli w Niedźborzu koło Mławy Narzymscy. Po opuszczeniu przez właścicieli materiał budowlany z tego obiektu został wtórnie użyty do wzniesienia klasztoru bernardyńskiego w Ratowie. W obecnej Zwoli Poduchownej koło Garwolina Jan Zwolski lokował w 1526 r. miasto nazwane Kalabona. W 1536 r. Zygmunt I Stary wydał w Wilnie konsens na wzniesienie tam *arx seu fortalitium*, którego relikty, w postaci czworobocznego nasypu otoczonego fosą i rozlewiskami Wilgi, zachowały się na południe od kościoła parafialnego, na terenie zwanym Podwórze. Wyorywano tam z ziemi kamienie i fragmenty cegieł, co świadczy o istnieniu w obrębie wspomnianego *arx* bliżej nieokreślonych struktur murowanych.

W Michałowie Górnym nad Pilicą mury pochodzące z trzeciej ćwierci XIX w. pałacu wzniesionego dla Antoniego Henryka Dal Trozzo kryją pozostałości zamku Michałowskich herbu Jasieńczyk. W 1671 r. Ulryk Werdum opisywał budowlę jako „piękny zamek”, spalony przez Prażmowskich w wyniku zatargu o miejscowość, prowadzonego z jej właścicielami. Werdum oglądał także zamek w Osuchowie, który scharakteryzował jako „częścią z kamienia, częścią z drzewa zbudowany i otoczony fosą, na której most zwodzony”. Anna Nierychlewska i Leszek Kajzer uważali tę budowlę raczej za murowany dwór obronny niż zamek. Wzniesiono go dla Osuchowskich herbu Gozdawa, zapewne w końcu XVI stulecia. Założenie zostało najpewniej rozebrane w trzeciej ćwierci XIX w. podczas budowy nowego pałacu dla Feliksa Wołowskiego. Nowożytny zamek funkcjonował także w Bieżuniu w powiecie żuromińskim. Do kreacji najstarszej siedziby doszło zapewne po 1406 r., kiedy to kasztelan płocki Jędrzej z Gulczewa herbu Prawdzic, protoplasta Sierpskich, lokował w Bieżuniu miasto na prawie chełmińskim. Założenie obronne, sytuowane na północ od miasta, w rozwidleniu Wkry, zostało następnie przekształcone przez Kretkowskich w bastionowy zamek, którego relikty w postaci wałów zachowały się do dzisiaj w obrębie zespołu pałacowo-parkowego Zamoy-skich. Zabytek ten został ostatnio ponownie poddany badaniom wykopaliskowym w związku z prowadzoną



Kozłów, pozostałości (kopiec ziemny) siedziby Parysów na mapie topograficznej Galicji Zachodniej z lat 1801–1804 (tzw. mapa von Heldensfelda)

rewitalizacją założenia z przeznaczeniem na Centrum Pracy Twórczej Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Inne typy siedzib – dwór, wieża, kamienica

W warunkach XVI-wiecznego Mazowsza jako *castrum* czy *arx* mogły być jednakże określane także murowane dwory, bronione wałami ziemnymi lub posadowione na kopcu otoczonym fosą. Takim właśnie dworem lub wieżą na kopcu była obronna siedziba Parysów w Kozłowie w powiecie garwolińskim, po której pozostał stożkowaty kopiec otoczony fosą, wysokości ok. 8 m, o powierzchni ok. 35 × 33 m. Na wierzchu kopca do lat 80. XIX w. istniała murowana budowla, jedynym śladem jej istnienia jest gruz ceglany, znajdujący we wkopach na obszarze *plateau*. Być może podobna siedziba funkcjonowała w nieodległym Parysowie, choć nie pozostał w terenie żaden ślad umożliwiający jej lokalizację.

Jednym z lepiej poznanych obiektów omawianego typu była „kamienica” w Nieborowie. Jej kreację łączyć należy z Nieborowskimi herbu Prawdzic i drugą połową XVI stulecia. Budowla, otoczona parkanem, ulokowana była na kopcu otoczonym fosą, wejścia broniła brama z samborzą. Piętrowy, podpiwniczony, ceglany budynek na rzucie czworoboku posiadał usytuowaną asymetrycznie sien. Wewnątrz, prócz pomieszczeń mieszkalnych, znajdowała się także kaplica i skarbiec. Kamienicy towarzyszył drugi, najpewniej drewniany budynek mieszkalny. W sąsiedztwie dworu, za ogrodzeniem, położone były zabudowania folwarczne. Omawiany zespół, w 1694 r. znajdujący się w złym stanie technicznym, został wkrótce

gruntownie przebudowany przez Tylmana z Gameren dla prymasa Michała Stefana Radziejewskiego. Na niskim wzniesieniu bądź też nasypie otoczonym fosą posadowiono także siedzibę Ossowieńskich herbu Prus w Ossównie w ziemi liwskiej. W latach 1547–1548 wzmiankowano tam istnienie folwarku i dworu. Była to ceglana, jednotraktowa budowla, posadowiona na rzucie czworoboku.

Nie zawsze jednak omawiane kamienice lokowano na kopcach. Tak było w przypadku siedziby Kryskich w Drobinie. Pierwotnie był to zapewne dwór wieżowy na rzucie czworoboku, mieszczący w piwnicach trzy lokalności. Wedle Leszka Kajzera mogła ona powstać z inicjatywy Pawła Kryskiego (zm. 1543 r.) lub jego brata Wojciecha (zm. 1562 r.), podkomorzego płockiego, dyplomaty i wybitnego humanisty. W drugiej połowie XVI w. (?) został rozbudowany o część wschodnią, tworząc obiekt na rzucie wydłużonego czworoboku, najpewniej 2–3-piętrowy. Niestety, nie znamy pierwotnego otoczenia budowli ani jej ewentualnych urządzeń obronnych, choć wyniki eksploracji archeologicznych mogą wskazywać, że budowlę otaczały przeszkody wodne – stawy lub fosy.

Kolejny słabo poznany mazowiecki dwór murowany zlokalizowany był w Łanietach koło Kutna. Jego mury kryją się w bryle tzw. zameczku romantycznego znajdującego się w obrębie zespołu parkowego przy pałacu z połowy XIX w. Dwór z drugiej połowy XVI – początku XVII w. był czworoboczną, ceglana budowlą (9 × 12 m), posiadającą w przyziemiu dwie sklepione kolebkowo izby. Powstanie dworu można łączyć z wojewodą rawskim Stanisławem Kucieńskim herbu Ogończyk (zm. 1542 r.) lub też jego synem Jerzym.

Murowany dwór obronny, siedziba Kiernoskich herbu Junosza, funkcjonował też najpewniej w Kiernozi. Budowla otoczona była nawodnioną fosą. Do jej kreacji doszło, wedle Anny Nierychlewskiej, w latach 30. XVI w., najpewniej z inicjatywy Adama, kasztelana gostyńskiego (zm. 1541 r.) lub jego brata Pawła, cześnika, a następnie również kasztelana gostyńskiego (zm. 1546 r.). Relikty założenia znajdują się w parku otaczającym pałac Łączyńskich z drugiej ćwierci XIX w.

Osobnym problemem badawczym są dwory podmiejskie Warszawy. Rozwijały się liczniej, zwłaszcza wzdłuż traktu czerskiego, wraz ze wzrostem znaczenia miasta w związku z pobytem dworu Bony, zaś od 1568 r. Zygmunta Augusta oraz ustanowieniem w Warszawie miejsca odbywania sejmów walnych Rzeczypospolitej. Najlepiej poznana z omawianej grupy obiektów jest siedziba kanonika i sekretarza królewskiego Kacpra Sadłochy. W 1570 r. wszedł on w posiadanie ogrodu położonego między klasztorem Bernardynów a drogą ku Wiśle (późniejsza ulica Gnojowa, obecnie Bednarska). Wkrótce po tym, a przed 1572 r. wzniósł tam wieżę mieszkalną. Jej mury są wciąż czytelne w piwnicach wschodniego skrzydła gmachu dawnego Towarzystwa Dobroczynności, stanowiącego obecnie siedzibę

Caritas Archidiecezji Warszawskiej. Przetrwało tam pomieszczenie (zapewne pierwotnie stanowiące parter siedziby Sadłochy), posadowione na rzucie zbliżonym do kwadratu, o centralnym filarze wspierającym cztery pola sklepienia krzyżowego, wzmocnionego gurtami. Wieża Sadłochy była otoczona rozległym ogrodem chronionym przez drewniany płot.

Prócz zamków, kamienic na kopcach oraz wież mieszkalnych spektrum murowanych siedzib Mazowsza XVI w. uzupełniają obiekty określane jako wille, stanowiące miejsce wypoczynku od zgiełku miejskiego i codziennych obowiązków. Jak wiadomo, tego typu realizacje powstawały w dobrach biskupich (Brok) lub arcybiskupich (Łowicz). Podobną budowlę, która wedle Jędrzeja Świąckiego swą „architekturą [...] i pięknem sławnych ogrodów rywalizuje z błogimi ustroniami włoskimi”, wzniósł w rodzinnych Starożrebach kanonik płocki i sekretarz królewski Wojciech Starożrebski herbu Dołęga (ok. 1517–1580) późniejszy biskup chełmski, następnie przemyski. W świetle wyników badań terenowych był to ceglany, dwukondygnacyjny, jednotraktowy dom o wymiarach 11 × 22 m, mający trzy „sklepy” w przyziemiu i trzy także izby na górnej kondygnacji.

Łanięta, tzw. zameczek romantyczny kryjący mury dworu Kucieńskich herbu Ogończyk





Pałac w Nieborowie przed 1939 r.

Podsumowanie

Powyższe, siłą rzeczy skrótowe zestawienie różnorodnych siedzib szlachty mazowieckiej w XV–XVI w. skłania przede wszystkim do stwierdzenia, że omawiane budowle wciąż potrzebują badań. Winny one iść w dwu kierunkach – z jednej strony archeologicznego rozpoznania poszczególnych realizacji, zwłaszcza tych określanych nazwami *castrum*, *arx*, *castellum*. Z drugiej zaś potrzebne są dalsze prospekcje terenowe

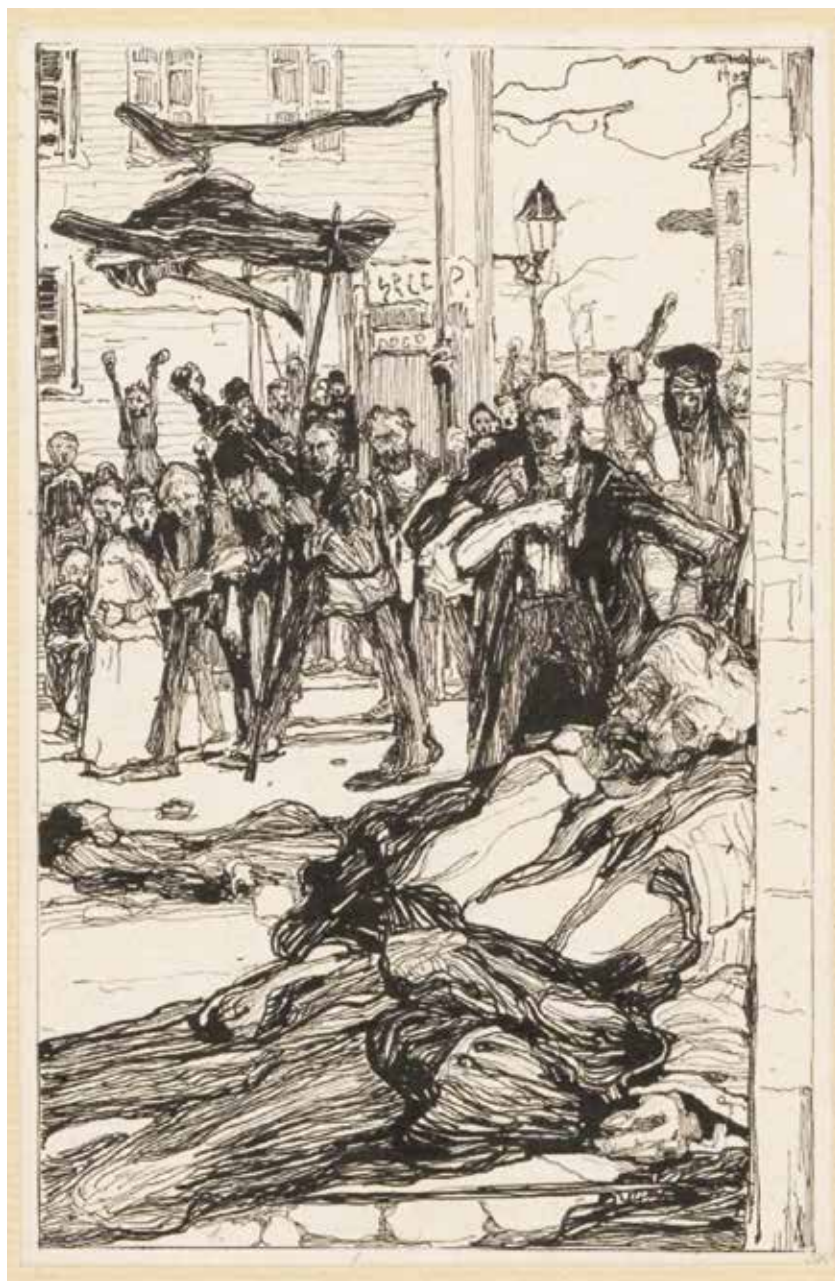
oraz kwerendy źródłowe, które mogą ujawnić kolejne, nieznane założenia oraz dostarczyć nowych danych na temat już istniejących. Naszkicowany wyżej obraz siedzib mazowieckiej szlachty na przełomie średniowiecza i nowożytności każe postrzegać ją jako w dużej mierze tradycyjną, przywiązaną do średniowiecznych wzorców i posługującą się głównie drewnem jako budulcem. Niemniej w ciągu XVI stulecia doszło na omawianym obszarze do wykształcenia pełnego spektrum siedzib,

jakie posiadali bogaci posesjonaci Korony, łącznie z murowanymi zamkami o rozbudowanych funkcjach reprezentacyjnych i obronnych. Wprawdzie poszczególne obiekty wciąż potrzebują badań, lecz obraz całości, jaki wyłania się z dotychczasowych studiów, każe postrzegać Mazowsze w jego „złotym” wieku XVI już nie jako „w całości drewniane” i „zapóźnione”. Niestety, upływ czasu i niekorzystny zbieg dziejowych okoliczności sprawił, że na Mazowszu zarówno murowane zamki czy dwory, jak i drewniane dwory zniknęły z powierzchni ziemi, czyniąc obraz siedzib szlacheckich tego regionu dalece niepełny. ❧

Warszawa, widok od strony Wisły. Rycina z dzieła Georga Brauna i Fransa Hogenberga *Civitates orbis terrarum collaborantibus Francisco Hogenbergio calcographo et Georgio Hoefnagel*, t. VI, Kolonia 1618 r. Fragment z wieżową siedzibą wzniesioną przez Kaspra Sadłochę



Witaj jutrzeńko swobody, Zbawienia za tobą słońce!



Anna Kuligowska-
-Korzeniewska

Właśnie tymi strofami *Ody do młodości* rozpoczęto 26 listopada 1805 r. w Teatrze Rozmaitości (obecnie Teatr Narodowy) niezwykle obchód. Była to po raz pierwszy za czasów carskich uroczystość pięćdziesięciolecia zgonu wieszczka. Ta data stanowiła jednocześnie zwycięskie zakończenie strajku aktorów warszawskich, którzy wzięli udział w proteście – jak całe miasto – przeciwko krwawemu stłumieniu przez konną żandarmerię tłumów gromadzących się 1 listopada na placu Teatralnym. Od tego dnia żaden z teatrów warszawskich nie dał publicznego przedstawienia, chociaż artyści, spodziewając się uwolnienia od cenzury, ćwiczyli nowy repertuar, m.in. dzieła Mickiewicza i Słowackiego. Stąd dzień śmierci Mickiewicza stał się przełomem dla scen stołecznych.

*Ofiary manifestacji ulicznej 1905 r.,
rys. Witold Wojtkiewicz*



Revolucja 1905 r., demonstracja na ul. Nowy Świat, Warszawa

Wniedzielnny poranek (26 XI 1905 r.) aktorzy, tak jak młodzież szkolna, przedstawiciele zasłużonych rodów, literaci, artyści, przekupki staromiejskie, nawet dorożkarze, a także „Izraelici i szlachetnie myślący Rosjanie”, zebrali się na nabożeństwie żałobnym urządzonej przez „Lutnię” w katedrze św. Jana. Wieczorem Teatr Rozmaitości

„złożył hołd pamięci Adama Mickiewicza. O godz. 8-ej orkiestra odegrała poloneza Kurpińskiego: «Witaj»... Za podniesieniem kurtyny na scenę wystąpili wszyscy artyści dramatyczni, otoczywszy półkolem posąg marmurowy Wieszcza”

– relacjonował „Kurier Warszawski”. Scena była przystrojona „krzewami i kwieciami”, popiersie Mickiewicza stało na wysokiej kolumnie, zaś aktorzy grający – w kostiumach, reszta w balowych strojach. „Na ten widok publiczność powstała ze swoich miejsc. W sali rozległ się grzmot oklasków przeciągłych, długotrwałych. Były to oklaski od słów wymowniejsze. Kiedy się uciśzyło, z szeregu artystów wysunął się na przód sceny reżyser główny Józef Śliwicki i wygłosił *Odę do młodości Mickiewicza*”. Recytacja sprawiła na publiczności wielkie wrażenie.

„Porywające słowa poety płynęły jak muzyka, jak melodia najpiękniejsza i przez wszystkich ukochana, a kiedy zabrzmiała ostatnia strofa:

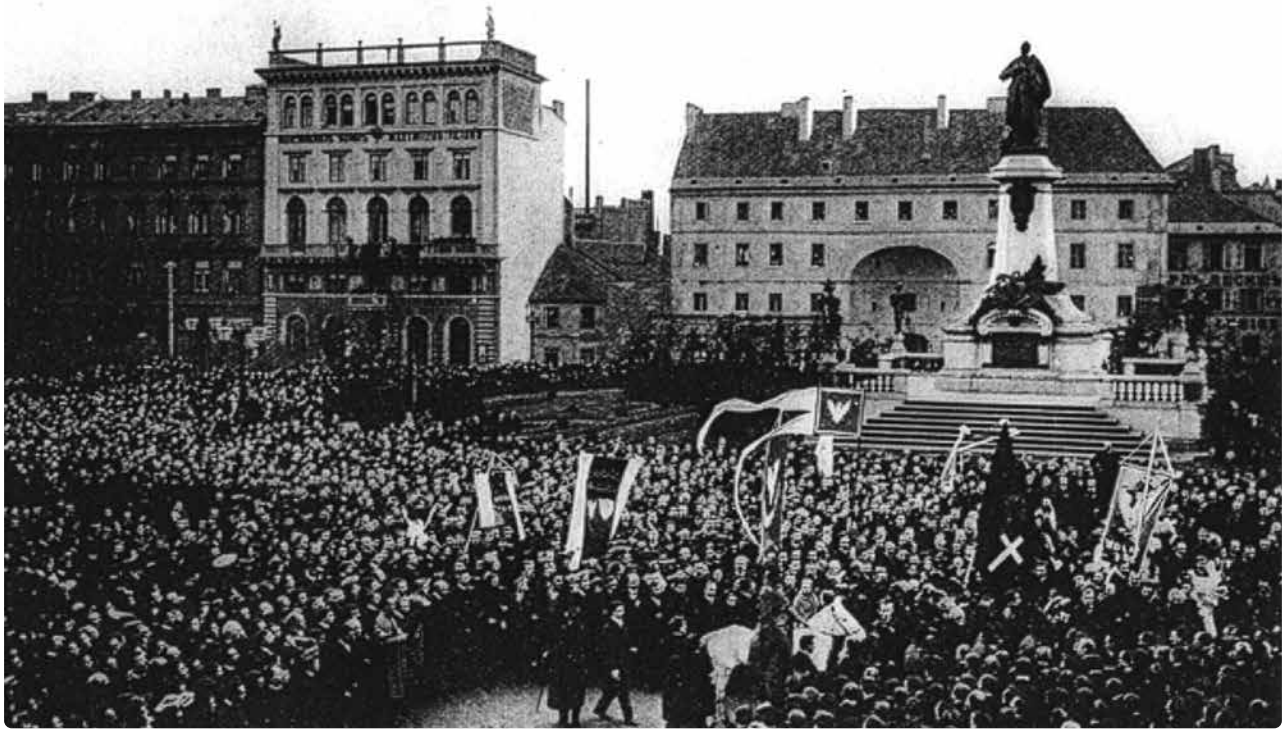
Witaj jutrzeńko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

oklaski wznowiły się z większą jeszcze siłą i towarzyszyły Walerii Niewiarowskiej i Wandzie Barszczewskiej, które przyniosły wspaniały wieniec z wawrzynu do stóp poety”.

Wieniec miał wstęgi o barwach narodowych i napis: „Adamowi Mickiewiczowi – artyści dramatu”. „Znowu rozległy się oklaski – notowała «Gazeta Warszawska» – które po trzykroć się ponawiały... po trzykroć też podnoszono kurtynę...”. I prasa, i Śliwicki szczególnie mocno podkreślali, że podczas deklamowania *Ody* i składania wienca publiczność stała, a wraz z nią stali obecni na przedstawieniu oficer żandarmerii i komisarz policji.

Następnego dnia, 27 listopada, o godzinie wpół do drugiej, delegacja aktorów ze Śliwickim na czele złożyła pod pomnikiem Mickiewicza przy Krakowskim Przedmieściu ów wieniec, który służył wcześniej apoteozie poety. „Zgromadzona tłumnie publiczność – relacjonował «Kurier Warszawski» – przypatrywała się z uznaniem temu aktowi hołdu dla wieszcza narodowego”. Według Mieczysława Rulikowskiego, który opisał „obywatelską pracę” Śliwickiego w latach rewolucji, właśnie uroczystość ku czci Mickiewicza miała „bez przesady epokowe znaczenie dla sprawy przeobrażenia psychiki aktorów warszawskich”, przed strajkiem biorących nikły udział w życiu społecznym.

Wypowiedziawszy publicznie *Odę do młodości*, Śliwicki krok za krokiem zdobywał pozycje cenzury. W nowej sytuacji, stwierdzał „Kurier Narodowy” z 4 grudnia 1905 r., „teatromani czekają na «nowy» repertuar «nowych» sztuk, które im się zresztą słusznie należą. ➔



Pod Pomnikiem Mickiewicza, 1905 r.

Trudno dziś chodzić na repertuar dawnej daty”. Repertuarem dawnej daty określano utwory, jakie zespół Dramatu i Komedii prezentował na przełomie listopada i grudnia 1905 r.: *Śluby panieńskie* i *Przyjaciół* Fredry, *Panią kasztelanową* Józefa Korzeniowskiego, *Grochowy wieniec* Antoniego Małeckiego. Tylko *Dyrektorowi Flaschmanowi* Ottona Ernsta (27 i 30 listopada, 3 grudnia 1905 r.) nie brakowało

„doprawdy aktualnych aluzji i wymownych przesłanek do sytuacji teatralnej. Są pewne nawet zwroty, jakby żywcem przeniesione z wydarzeń chwili przełomowej dla scen warszawskich, kiedy aktorzy domagali się, aby teatry – dotąd rządowe stały się narodowe. Jednocześnie trwał strajk szkolny, w którym młodzież domagała się nauczania w języku ojców.

Nowego blasku nabrało także przedstawienie baletowe *Pana Twardowskiego* Adolfa Sonnenfelda w Teatrze Wielkim. 26 listopada mazur w akcie II wywoływał co chwila burzę oklasków, którymi też skłoniono artystów do powtórzenia bezsprzecznie najpiękniejszego naszego mazura kontuszonego. Reżyser opery Józef Chodakowski, korzystając z zelżenia dotychczasowych ograniczeń, 2 grudnia przywrócił pierwotny kształt prologu w *Strasznym dworze* Moniuszki. W oryginale odbywa się on w obozie husarii polskiej. Ze względów etycznych, religijnych i politycznych cenzura zamieniła obóz na karczmę, pozbawiając po części operę uroku i sensu. Teraz wokół zapalonych ognisk „malowniczo grupowali się towarzysze pancerni”.

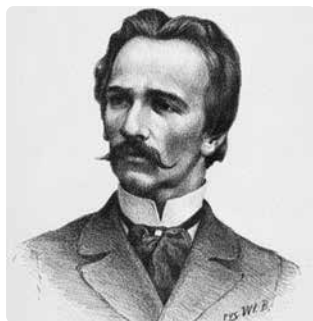
W Teatrze Nowości pojawił się utwór węgierski, ale wychwalający narodowe tradycje – *Wąsy* czy *peruka* Jerzego Vörö (15 grudnia 1905 r.), co prasa przyjęła z uznaniem:

„W repertuarze operetkowym z doby ostatniej daje się zauważyć zwrot znamieny. Po widowiskach, przypominających żywo groteskowe błazeńskie produkcje niewytwornych *variétés*, zaczynają pojawiać się od czasu do czasu świeże dziełka, oparte w opracowaniu części muzycznej na poglądach artystycznych, a osnute na treści przyzwoitej, nie przybranej w drastyczne pikanterie”.

Jeszcze przed wznowieniem widowisk, 24 listopada, Teatr Rozmaitości informował, że aktorzy rozpoczęli próby *Powrotu posła* Niemcewicza. W następnych dniach posypały się niegrane dotąd tytuły: *Pan Tadeusz* Kazimierza Laskowskiego wg Mickiewicza, w którym przy muzyce Jankla odtańczony będzie polonez *Trzeciego maja*, a następnie *Bogusławski i jego scena* Rapackiego, *Bracia Lerche* Adama Asnyka, *Dzika różyczka* Józefa Bliżińskiego, a także *Nowa Dejanira* Juliusza Słowackiego.

Na temat repertuaru dramatycznego wypowiedział się w obszernym wywodzie Józef Kotarbiński, który sformułował zadania dla scen warszawskich:

Siła nowych czasów, siła potężnej konieczności – dowodził – musi przeistoczyć je do gruntu, od podstawy do szczytu. [...] Dziejowym przeznaczeniem miasta Warszawy jest odegranie w przyszłości może niedalekiej roli dominującej jako nowego ogniska odrodzonej, pełnej, rozlewnej kultury



Artur Oppman ps. Or-Ot



Józef Kotarbiński



Józef Śliwicki



Bolesław Leszczyński

narodowej, rozwijającej się na tle bujnego demokratycznego życia.

Aby teatr warszawski zajął należne mu miejsce „w rozwoju naszej rodzimej kultury”, winien jak scena krakowska (którą do 1905 r. kierował właśnie Kotarbiński)

...utworzyć piękną siedzibę dla wielkiej poezji naszej, która ma tak olbrzymią zasługę, która podnosiła nas i krzepiła, obracając oczy ku ideałom odległym, ale podniosłym, która w czasach niemocy i zwątpienia zastępowała wielkie programy polityczne, podtrzymując w nieustannym napięciu narodową świadomość. Poezja sama była jako słupy ogniste, wiodące Izraela przez Morze Czerwone, ukazywała w odległych marzeniach ziemię obiecaną... odrodzenia i swobody”.

W najburzliwszych dniach rewolucji, kiedy Kotarbiński upominał się o należne miejsce dla poezji dramatycznej, Śliwicki 9 grudnia przemawiał wierszem ze sceny Rozmaitości. Były to strofy Or-Ota (Artura Oppmana), który w specjalnie napisanym prologu *Po stu latach poeta do publiczności* objaśniał treść *Powrotu posła*, gdy dramat był „żywą rzeczywistością”. Or-Ot wzywał, „abyśmy się ze czcią i miłością pokłonili tej wielkiej przeszłości – «my, co w świat idziemy»”. Sam utwór Niemcewicza pisany był wierszem dość poprawnym i łatwym do propagandy reformatorskich poglądów. Służyła temu celowi również dołączona do *Powrotu posła* „błahostka sceniczna” wierszem, *Pierwiosnki* Kornela Ujejskiego, ale mająca tę zaletę, że się rzecz dzieje na Litwie za czasów Stanisława Augusta, „nie zachęcały – według Kazimierza Zalewskiego – do roboty literackiej”. Mimo to, co także potwierdził Zalewski, „wzbudziły zapał w publiczności, [...] oczekującej niecierpliwie na [...] sposobność do manifestowania uczuć”. Wreszcie i wykonawcy, jak chociażby Bolesław Leszczyński (Podkomorzy) i Seweryn Nowicki (Walery), „z wzruszeniem, którego pohamować nie mogli, a które im zaszczyt przynosi, wypowiadali tyrady o reformie narodu i szczęściu ojczyzny”, a więc „sprawiali się tak, jak aktorzy polscy sprawać się powinni, gdy im świat narodowego teatru zabłysnął”. Ta chwalebna, patriotyczna postawa aktorów wymagała jednak, zdaniem Zalewskiego, politycznego ukierunkowania:

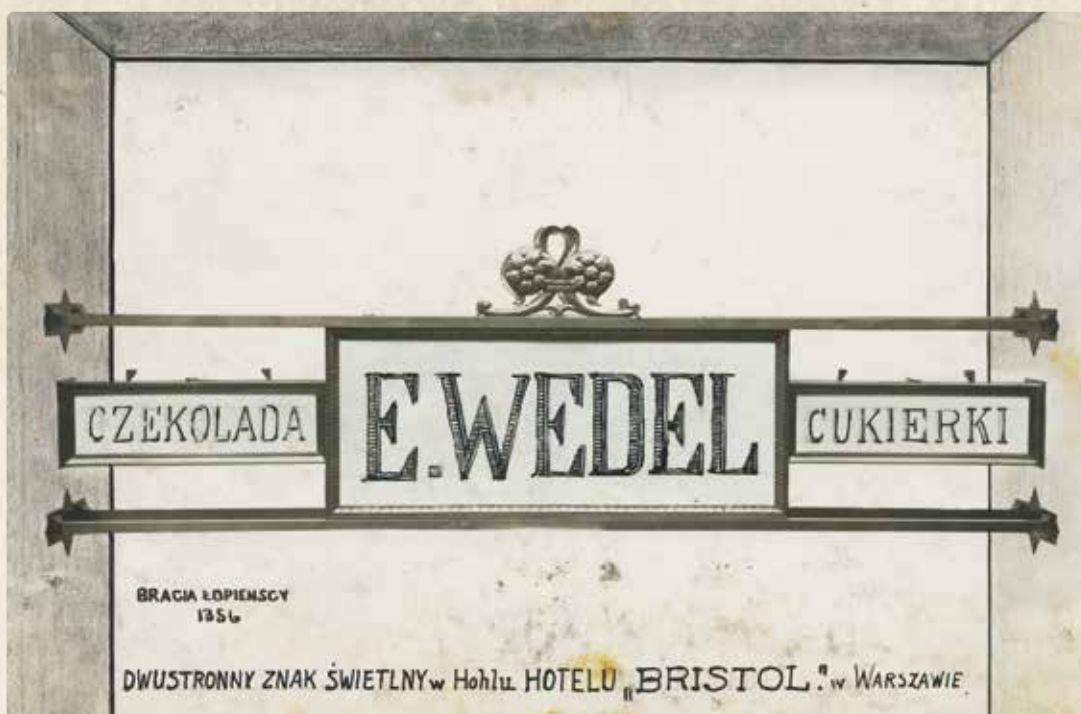
„teatr musi iść w pierwszych szeregach, albo zamknąć wrota na cały czas przełomu. Nie zamykajcie, a więc stawajcie do szeregu obywatel-artyści! I śmiało naprzód z narodowymi hasłami; nie oglądając się na to, czy się to komuś podoba, czy nie podoba. Wy macie najlepsze prawo za sobą. Słuchajcie go, jego jednego, żadnych innych!...”.

Kolejne dramaty przygotowane przez Śliwickiego: *Bogusławski i jego scena* Rapackiego (30 grudnia 1905 r.), *Bracia Lerche* Adama Asnyka (13 stycznia 1906 r.), *Obrońca Częstochowy* Elizy Bośniackiej (2 lutego 1906 r.), *Górą nasi* Zalewskiego (20 marca 1906 r.) – aż do czasu wystawienia *Nowej Dejaniry* (28 kwietnia 1906 r.) i *Lilli Wenedy* (6 października 1906 r.) Słowackiego oraz *Konrada Wallenroda* Mickiewicza (14 lipca 1906 r.) – nie dorównywały pod względem frekwencji dydaktycznej komedii Niemcewicza, ale – jak się tego domagał Zalewski – utwory te „krzepiły ducha narodowego”. Położenie teatru w tej dobie trafnie przedstawił Jan Lorentowicz:

„Po ogłoszeniu tzw. konstytucji [30 października 1905 r.] prasa warszawska odmówiła posyłania dzienników do cenzury, pomimo rad i nakazów urzędowych; opór ten nie wywołał represji. Natomiast teatry musiały w dalszym ciągu posyłać do cenzury egzemplarze nowych sztuk. Dawne rygory co do treści utworów osłabły, bo władze rosyjskie, w ogólnym zamęcie politycznym, nie orientowały się, co wolno, a czego «nie wolno». Odrzucano utwory wyraźnie «antypaństwowe», ale zezwalano na wystawienia sztuk przepełnionych duchem patriotycznym”.

Stąd powszechnie recytowano poezję Mickiewicza, pamiętając o ważnej dla pobudzenia narodowego rocznicy jego śmierci. Ciekawe, jak w roku 2025 Polacy będą pamiętali swego największego poetę? Czy doczekamy się nowej inscenizacji *Dziadów*? 🍷

Prof. dr hab. Anna Kuligowska-Korzeniewska wykorzystała materiały prasowe umieszczone w swojej książce *Czwarty akt „Wesela”. Teatr Polski wobec rewolucji 1905 roku*.



Warszawscy „fabricatoris”

Wojciech Lipczyk

Łacińskie *fabricatoris* to po polsku „twórcy, sprawcy jakiegoś dzieła vel zręczni wykonawcy”.

W 1763 r. James Watt zmodernizował silnik parowy wynaleziony w 1712, a w 1804 ruszyła po torach pierwsza lokomotywa, zwiastująca gigantyczne zmiany w całym systemie transportu i narodziny nowej ery w dziejach ludzkości – również wobec faktu wynalezienia w 1800 r. przez Aleksandra Volta ogniwa galwanicznego. Rewolucja przemysłowa, której początki sięgają XVIII w. (Anglia, Szkocja), opanowała niemal cały świat i to niezwykle szybko. Zmiany gospodarcze i społeczne następowały jedna po drugiej w XIX stuleciu, nazywanym „wiekiem pary i elektryczności”.

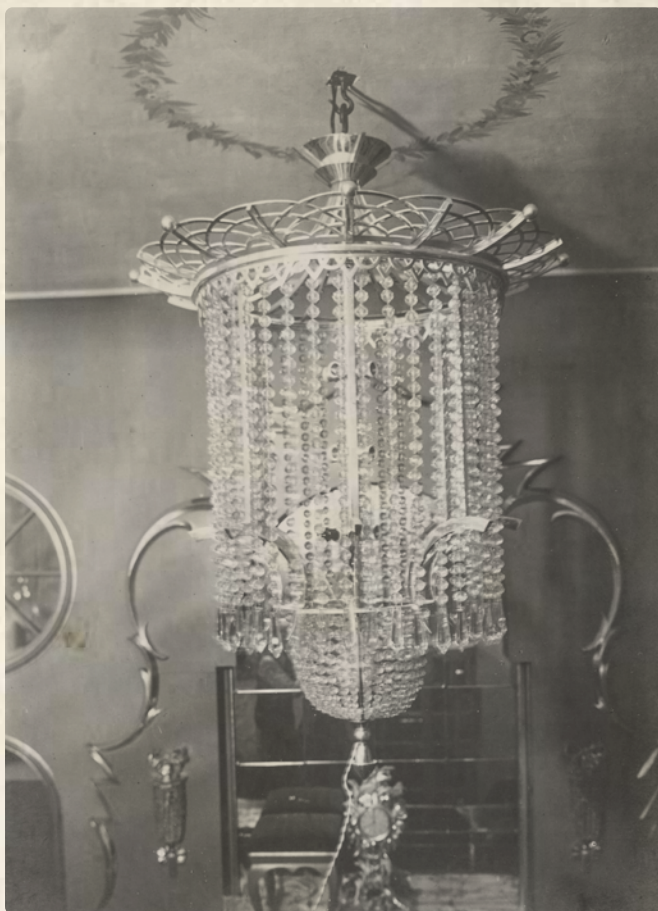
Proces masowej migracji ludności ze wsi do miast stworzył w tym czasie nową klasę społeczną, tzw. proletariat. Również na niemal wszystkich terenach polskich. W zniewolonym „Priwisłinskim Kraju” narodziła się wtedy idea pozytywistycznej pracy u podstaw. To odróżniało nas od niemal wszystkich innych nacji, stanowiło prawdziwie chlubny wyjątek w porównaniu z inercją społeczną panującą prawie na wszystkich ziemiach znajdujących się pod jarzmem cara.

Prądy zrodzone na zachodzie Europy, będące zapowiedzią nowych czasów w życiu społeczeństw, objęły także Warszawę. Zaczęło się skromnie, jakby niespodzianie

– zgodnie z panującą naówczas modą niemal każdy rzemieślnik warszawski zmieniał pośpiesznie nazwę swego warsztatu na „fabrykę”. Tak było też z Janem Łopieńskim. Kiedy po śmierci swego teścia Jana Widawskiego, w 1862 r., Łopieński rozpoczął jako sukcesor samodzielną działalność, były warsztat brązowniczy mistrza Widawskiego stał się jednoosobową „Fabryką WYROBÓW BRĄZOWYCH. Jan Łopieński. Warszawa”.

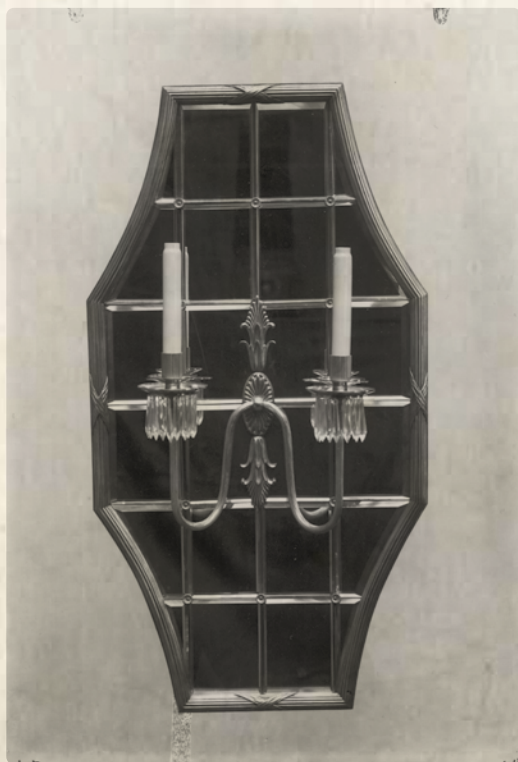
Tak kiełkowały nad Wisłą aplegierki kapitalizmu. Niektóre z tych „poetek Pana Boga”, dzięki zdolnościom i wrodzonym talentom ich właścicieli oraz przysłowiowemu szczęściu, przeradzały się z czasem w prawdziwe fabryki, zatrudniające coraz większą liczbę pracowników. Przykładem tego na gruncie warszawskim może być historia powstania i rozwoju słynnej do dzisiaj nie tylko w Polsce warszawskiej fabryki czekolady E. Wedel. W 1845 r. przybył z Berlina do Warszawy w poszukiwaniu pracy i lepszego życia młody cukiernik Karol Ernest Wedel. Rozpoczął od zatrudnienia się w firmie Karola Grohnerta, w cukierni tegoż przy ul. Piwnej 12. Wedel był zdolny i pracowity i już sześć lat później, w 1851 r., otworzył swój pierwszy sklep przy ul. Miodowej 12 oraz zlokalizowaną przy nim Parową Fabrykę Czekolady C.E. Wedel. Warszawa stała się małą ojczyzną dla Karola, a potem Emila, Jana i ich dzieci, czyli całej spolonizowanej rodziny imigranta znad Szprewy.

W 1865 r., po czeladniczej wędrówce (zgodnie z wymogami obowiązującymi także w cechu cukierników)



Projekt Romana Gronowskiego dla sklepu Wedla Marszałkowska róg Złotej, ok 1934 r.

Projekt artysty grafika Gronowskiego do sklepu Wedla, Marszałkowska róg Chmielnej



i odbyciu dwuletniej praktyki w cukierniach Paryża, Emil – syn Karola Wedla wraca do rodzinnego domu i obejmuje zgodnie z wolą ojca kierownictwo coraz bardziej znanego w mieście zakładu. W 1872 r., wykazawszy się talentem organizacyjnym w prowadzeniu firmy i niebanalnymi sukcesami, dostaje od ojca w prezencie ślubnym już całą dynamicznie działającą fabrykę, przeniesioną wcześniej, bo ok. 1869 r., na posesję w narożniku Szpitalnej i ówczesnej ul. Hortensji (po 1937 r. i do dzisiaj Górskiego). W 1893 r. Emil wystawia tutaj także okazałą, czteropiętrową kamienicę, według projektu Franciszka Braumana, w której parterze otwiera firmowy sklep i pijalnię czekolady [o kamienicy oraz *Staroświeckim sklepie* i jego wystroju czyt. także w STOLICY nr 3-4/2023]. Lokal stał się niezwykle lubianym przez warszawiaków miejscem. W 1874 r. pojawiło się chronione logo firmy, umieszczane na wszystkich wyrobach produkowanych przy ul. Szpitalnej 8, będące odwzorowaniem odręcznego podpisu „E. Wedel”. W latach 1919–1923 tą jedną z najsłynniejszych firm Warszawy kierowała Eugenia Wedel, wdowa po Emilu. Ich syn, Jan Wedel, po śmierci matki przejął firmę, w 1923 r., a dziewięć lat później spółka Emil Wedel i Syn zmieniła nazwę na Fabryka Czekolady E. Wedel SA.



Projekt Braci Łopieńskich żyrandola do gabinetu dyrektora dr Jana Wedla w firmie na Zamoyskiego. Sterczyzny żyrandola to postacie szlachty polskiej dokładnie takie jak pierniki wedlowskie produkowane w tej nowej fabryce.

Pod rządami Jana Wedla rodzinna firma zmieniała się ogromnie. Zatrudnienie w niej wzrosło pięciokrotnie. Jan zdecydował o przyjmowaniu do pracy przede wszystkim kobiet, z oferowaniem im niespotykanych wówczas warunków socjalno-bytowych. To właśnie wtedy Feliks Łopieński skierował do niego list – który ocalał! – z prośbą o przyjęcie do pracy w nowej siedzibie Wedla swej podopiecznej Elżbiety Chodzikiwicz jako biegłej i godnej zaufania buchalterki. W powstałej na Kamionku przy ul. Zamoyskiego 28 nowej fabryce Wedla, przeniesionej tam w 1931 r., były żłobek i przychodnia, kino, stołówka, przedszkole, gabinet dentystyczny, łaźnia i sala teatralno-widowiskowa. Jan organizował dla dzieci – zwłaszcza z ubogich praskich rodzin robotniczych – wycieczki do fabryki, gdzie mogły zjeść tyle słodczy, ile dusza zapragnie! Przy fabryce działała orkiestra dęta, a w Świdrze zorganizowano ośrodek wypoczynkowy dla pracowników i ich rodzin. Sklepy firmowe działały też w Krakowie, Zakopanem, Poznaniu, Gdyni, Wilnie i Lwowie, a nawet w Paryżu.

Jan wraz z całą rodziną przeprowadził się w 1936 r. na ul. Puławską 28, do kolejnego domu Wedlów (wcześniej była jeszcze kamienica przy ul. Foksal 13). Budynek uważano wówczas za jeden z najnowocześniejszych w Warszawie. W jego parterze zlokalizowano sklep ze słodczymi. To właśnie tam po raz pierwszy zaprezentowano stołecznej klienteli sławne potem nie tylko w Polsce Ptasia Mleczko.

Warto wspomnieć, że w 1937 r. Jan Wedel kupił od Wojska Polskiego samolot, którym dostarczał swoje słodkości do Paryża, Kopenhagi i Gdyni. Z tego samolotu zrzucały też cukierki dla dzieci uczestniczących w festynach dla maluchów, organizowanych tuż obok terenów fabrycznych przy Jeziorku Kamionkowskim. Przypomnijmy też, że Wedel był pomysłodawcą pierwszych samoobsługowych automatów, w których można było kupić firmowe produkty – ustawiono je przy bramie do Parku Skaryszewskiego. Słodkości uprzyjemniały spacerowiczom czas spędzany w parku, w którym można było zobaczyć np. rzeźbę *Tancerka* dłuta Stanisława Jackowskiego, wykonaną w brązie przez Braci Łopieńskich, czy stojącą nad Jeziorkiem „urokliwą i magnetyczną” rzeźbę Olgi Newskiej

Szkice rzeźby (bozeto) S. Lewandowskiego na grób rodziny Wedlów



Drugi projekt Chrystusa – rzeźbiarz uwzględniając życzenia rodziny opuścił znacznie ułożenie rąk tworząc „swoisty gest powitania i zaproszenia do siebie” czyniony przez Chrystusa. Tak korzystnie poprawiona figura została odlana przez Braci Łopieńskich ▶

Po kąpeli, również wykonaną przez Łopieńskich.

Jan Wedel jako gorący patriota polski zapisał piękną kartę w okupacyjnych losach swej ojczyzny. Już we wrześniu 1939 r. otworzył fabryczne magazyny dla wspomżenia głodujących warszawiaków. Odmówił podpisania Reichslisty, został pozbawiony przez okupantów willi w Konstancinie, a w jego fabryce zaczął urządować niemiecki zarządca. A jednak nadal obejmował Wedel swym patronatem Szpital Ujazdowski i wspierał żywnościowo niemałą grupę polskich intelektualistów i artystów, a także Żydów, z Januszem Korczakiem na czele. Niemal do wybuchu Powstania Warszawskiego organizował wysyłkę paczek żywnościowych do obozów jenieckich.

Na początku sierpnia 1944 r. w zaprzyjaźnionej z Janem Wedlem firmie Bracia Łopieńscy zaczęto odlewać korpusy granatów dla powstańców warszawskich ze zgrupowania AK Zaręba-Piorun. „Uwięziony” na Mokotowie Wedel dosłał na ul. Hożą 55 partię cukru konieczną do wykonania przez Mieczysława Wincenta Łopuskiego materiału wybuchowego do granatów. Bliska współpraca firm E. Wedel i Bracia Łopieńscy datuje się niemal od początku istnienia tej ostatniej – choć pierwsza stała się bardzo szybko najprawdziwszą fabryką, a druga działała w zasadzie jako manufaktura. Obie firmy współpracowały ze sobą aż do ich przymusowej „ludowej” nacjonalizacji (Wedel w 1949 r., Łopieńscy w 1950 r.).

To u Łopieńskich powstały niemal wszystkie elementy wystroju sklepu i pijalni czekolady przy ul. Szpitalnej 8, a także innych sklepów Wedla: w hotelu Bristol, przy Nowym Świecie 52, ul. Wierzbowej 8 i Marszałkowskiej 147, czy wreszcie przy Zamoyskiego 28 (te ostatnie wg projektu arch. L. Dębnickiego). To Bracia Łopieńscy wykonali wszystkie brązy na grób rodziny Wedłów na cmentarzu ewangelicko-augsburskim, z figurą Miłosiernego Chrystusa dłuta Stanisława Lewandowskiego, w kwaterze nr 31 w alei A. Tam złożono m.in.



prochy siostry Jana Wedla, Eleonory, która wyszła za Charlesa Whiteheada. Jej najstarszy syn, Franciszek, był wybrany przez bezdzietnego Jana Wedla na sukcesora firmy, drugi syn Eleonory, Jerzy, miał być przedstawicielem firmy E. Wedel w Nowym Jorku, a trzeci, Ryszard, miał poprowadzić firmową farmę mleczarską Wedłów w Markach k. Warszawy. Niestety, II wojna przekreśliła wszystkie plany każdego z warszawskich „fabricatoris”. ❄

Wojciech Lipczyk – artysta plastyk, specjalizuje się w rzeźbieniu miniatur, animalista, autor wierszy, humoresek i tekstów piosenek, były stały współpracownik Kabaretu Olgi Lipińskiej, autor tomików wierszy; wraz z żoną Anną Łopieńską-Lipczyk prowadzą najstarszą istniejącą rodzinną firmę Warszawy – Pracownię Sztuki Dekoracyjnej d. Bracia Łopieńscy, rok zał. 1862.



Stefan Żeromski – w 100-lecie śmierci

Piotr Łopuszański

Sto lat temu, 20 listopada 1925 r., zmarł Stefan Żeromski. Powszechnie zdawano sobie sprawę, że odszedł wybitny pisarz, sumienie Polaków, kandydat do Nagrody Nobla. Miał 61 lat.

Tadeusz Boy-Żeleński nazajutrz napisał w „Kurierze Porannym”: „Stefan Żeromski nie żyje. Wieść ta obiegła Warszawę. Mimo iż od dawna wiadomo było, że stan wielkiego pisarza jest ciężki, a polepszenie nie może być trwałe, zgon ten sprawił piorunujące wrażenie”. Kilka dni później w kondukcje żałobnym orderzy pisarza nieśli młodzi skamandryci: Kazimierz Wierzyński, Leszek Serafinowicz znany jako Jan Lechoń i Jarosław Iwaszkiewicz.

Inny skamandryta, Antoni Słonimski, w „Wiadomościach Literackich” pisał: „Umarł największy bodaj pisarz współczesnej Europy”. Była to przesada. Warto pamiętać, że wówczas żyli inni wielcy: Thomas Mann, Hermann Hesse, Romain Rolland.

Zaraz po śmierci autora *Ludzi bezdomnych* zaczęto tworzyć jego legendę. Dla wielu środowisk miał stać się autorytetem i człowiekiem bez skazy, chociaż życie Żeromskiego nie sprzyjało jego ubrązowaniu. Dla kilku pokoleń pisarz miał stać się postacią pomnikową.

Zakładamy więc biografię pisarza. Kochanka Żeromskiego Anna Zawadzka i ich córka Monika pisały o rzekomych włoskich korzeniach rodziny i o związkach z Janem Czeczotem, przyjacielem Mickiewicza. To były zmyślenia, podobnie jak podawane w wielu publikacjach nieprawdy, jakoby Anna Zawadzka (nazywana też Żeromską!) była drugą żoną pisarza. Niektórzy (np. Jan



Oktawia, Stefan, Adam Żeromscy i inni w Zakopanem

Zygmunt Jakubowski) pisali nawet o roku ślubu (1913). Tyle że Stefan Żeromski był żonaty tylko raz, z Oktawią Rodkiewiczową, i nigdy się z nią nie rozwiódł. Nie zmienił też wyznania.

Gdy związał się z Zawadzką, prowadził dwa domy: jeden z żoną i synem Adamem, drugi z kochanką i nieślubną córką. Kiedy w 1918 r. syn umarł na gruźlicę, Żeromski porzucił żonę pogrążoną w rozpacz po utracie dziecka.

W 1915 r., na dwa miesiące przed śmiercią, Żeromski napisał list do żony z prośbą o zgodę na rozwód. Listu tego Oktawia jednak nie otrzymała za życia pisarza i nie mogła odpowiedzieć. Kochanka go nie przekazała adresatce, natomiast pokazywała osobom postronnym, np. Hannie Mortkowicz-Olczakowej. Oktawia dostała ów list dopiero kilka miesięcy po śmierci męża. Zatem Żeromski umarł jako mąż Oktawii. Małżeństwo istniało do końca życia pisarza i nie zostało w żaden sposób unieważnione. ➔



Anna Zawadzka, 1911 r.

Po śmierci Żeromskiego pominięto wdowę w sprawie spadkowej. Wilę w Konstancinie i prawa do utworów Żeromskiego przejęła kochanka, mimo iż wdowa żyła i na mocy prawa powinna otrzymać przynajmniej zachówek.

Wdowa chciała, aby niezwłocznie powstało muzeum Żeromskiego w Nałęczowie i aby wydano wszystkie utwory jej męża, w tym *Dzienniki*. Zaprottestowała... kochanka. I to z winy Anny Zawadzkiej w 20-leciu międzywojennym ich nie wydano. W PRL-u dwukrotnie podjęto próbę wydania *Dzienników*. W latach 50. wyszły trzy tomy zmasakrowane przez cenzurę i wydawcę. Stanisław Adamczewski, edytor, sprzeciwił się integralnemu wydaniu, gdyż wiele fragmentów rzucało negatywne światło na postać Żeromskiego. W latach 60. wydano *Dzienniki* w opracowaniu Jerzego Kądzioły, który pragnął pełnego wydania. Jednakże wydawnictwo Czytelnik usunęło opisy stosunków seksualnych z siostrą macochy. Sporo ingerencji w tekstcie dokonała cenzura, która usunęła wzmianki o Rosji, o zbrodniach dokonywanych przez władze rosyjskie na unitach z Podlasia, wcielanych siłą do cerkwi moskiewskiej. Cenzura usunęła na przykład taki fragment: „Drodzy Moskale! Przyjaciele Moskale!, Opiekunowie Moskale! Bracia Moskale! Oby was syfilis jadł, a cholera

zamykała powieki, bodaj każde dziecko wasze rodziło się bez mózgu, bodaj wasze żony szczenięta rodziły”.

W XXI w. przystąpiono do edycji pełnej. Okazało się, że brakuje kilku zeszytów zawierających rękopisy dzienników, które wcześniej istniały. Dopiero w 2021 r. Zdzisław Jerzy Adamczyk wydał pierwszy tom zapisów Żeromskiego. Niestety, profesor zmarł i prace stanęły. A mogły wszystkie *Dzienniki* Żeromskiego ukazać się już sto lat temu!

Ojciec pisarza pochodził ze zubożałej szlachty i był dzierżawcą majątków Wola Kopcowa, Krajno i Strawczyn, gdzie przyszedł na świat późniejszy pisarz. To 15 km od Oblęgorka, który związany jest z kolei z Henrykiem Sienkiewiczem.

Jerzy Kądzioła i Jerzy Paszek twierdzili, że matka pisarza, Franciszka Józefa z domu Katerla, miała mieć domieszkę krwi włoskiej. Jednakże żaden z biografów nie przeprowadził badań genealogicznych. Zaufali oni informacjom Moniki, córki pisarza, która chciała dodać swoim przodkom splendoru. Katerla to nazwisko polskie, notowane w herbarzach. Kazimiera Zapałowa, która jeździła po Świętokrzyskiem w poszukiwaniu śladów rodziny pisarza, zajęła się genealogią Katerlów. Ustaliła, że żył doktor królewski Paweł Katerla, który kupił dom w Warszawie, był Jan Katerla, kapitan wojsk koronnych, którego syn Józef był dziadkiem pisarza. Ożenił się z Agnieszką z Jackowskich, która urodziła mu dziewięć dzieci. Zapałowa pisała, że chociaż pisze się o włoskim albo niemieckim pochodzeniu nazwiska, to Włochów ani Niemców wśród przodków pisarza nie znalazła.

Stefan Żeromski urodził się na Kielecczyźnie. W Ciekotach spędził dzieciństwo, potem chodził do zrusyfikowanego gimnazjum znajdującego się naprzeciwko kieleckiej katedry. Stefan swoje przeżycia z lat szkolnych

Anna Zawadzka, Monika i Stefan Żeromski



opisał później w *Szyfowych pracach*. Nie lubił Kielc, nazywał je Obrzydłówkiem.

W gimnazjum Żeromski miał problemy z nauką. Uczył się na trójczynach. Powtarzał pierwszą, drugą i szóstą klasę. Nie zdał do klasy siódmej. Później oblał maturę. O powodach, dla których Żeromski nie zdał egzaminów, pisano kłamstwa. Jedni twierdzili, że był nakaz kuratora Apuchtina, by „ścinać” polskich abiturientów, Jan Zygmunt Jakubowski pisał, iż Żeromski nie miał matury z powodu gruźlicy. Krzysztof Piwowarczyk, prawnuk siostry pisarza Bolesławy Endrychowej, pisał niedawno: „trudności finansowe i początki gruźlicy spowodowały, że Żeromski gimnazjum ukończył bez uzyskania matury”.

Było inaczej: młody Żeromski przystąpił do egzaminu maturalnego. Po udanym egzaminie pisemnym z rosyjskiego poszedł uczcić ten fakt do... domu publicznego. Niebawem okazało się, że od prostytutki zaraził się chorobą weneryczną. Bolały go jądra, musiał leżeć i zażywać bizmut. Zrezygnował wtedy z dalszych egzaminów. Prawda nie pasowała do pomnikowego wizerunku autoru trytetu moralnego, jakim chciano uczynić Żeromskiego.

Z *Dzienników* pisarza wiemy, że gdy poszedł do spowiedzi i wyznał swoje grzechy cielesne, niebawem całe miasto wiedziało o jego przypadłościach. 7 maja 1886 r. Żeromski zanotował: „Uciekaj, Stefeczku, z Kielc cnotliwych, albowiem ekskomunika ci grozi”.

Wyjechał do Warszawy, by kształcić się w Instytucie Weterynarii (nazywanym też Szkołą Weterynaryjną).

Instytut nie wymagał matury, więc młody Żeromski w 1886 r. podjął w nim naukę. Uczelnia mieściła się przy nieistniejącej ulicy Smolnej Dolnej 3, która schodziła po skarpie wiślanej w okolicy obecnej stacji kolejowej Warszawa Powiśle i skręcała w stronę ulicy Książęcej, biegnąc przez teren obecnego parku Rydza-Śmigłego. Żeromski weterynarzem nie został. Ze studiów zrezygnował w 1888 r. Ciągnęło go do literatury.

Zamieszkał w hoteliku Słowiańskim, który był tani. Mieścił się przy Podwalu 17. Potem młody student przeniósł się na Długą 42, gdzie dorabiał jako nauczyciel domowy. Następnie mieszkał przy Chmielnej 36 (róg Marszałkowskiej), a potem przy ul. Widok 14. Realia życia studenckiego opisał w swoich *Dziennikach*. Możemy w nich przeczytać o niewyobrażalnej nędzy młodego Żeromskiego, który – bywało – przez trzy dni nie jadł obiadu, ale jakoś przeżył, ba! nawet chodził do teatru. Dużo czytał (Klementynę z Tańskich Hoffmannową, Konopnicką, Świętochowskiego), a *Dzienniki* były wprawką literacką. Po lekturze *Życia Jezusa* Renana

Żeromski z synem Adamem



i prac pozytywistów młody adept weterynarii stracił wiarę. W 1886 r. pisał o sobie: „Wątpię o wszystkim – nie wierzę w nic”.

Stale brakowało mu pieniędzy. Chodził w brudnym palcie i rozpadających się butach. Miewał depresję związaną z dojmującym głodem. 9 maja 1887 r. notował: „Nie mam grosza przy duszy i żadnego widoku na przyszłość”. Czasem za pożyczone 20 kopiejek jadał obiad w Taniej Kuchni. W czerwcu 1887 r. pisał, że chodzi „w najzwyczajniej dziurawych butach”. 15 czerwca stwierdził: „Nędza, w jakiej żyję od dni paru, nie da się z niczym porównać”.

W *Dziennikach* opisał pierwszą noc z siostrą swojej macochy i romans z Heleną Radziszewską. 26 września 1885 r. zanotował: „Postępowałem jak lubieżne dziecko, pragnące się nasycić ciałem ładnej kobiety”. Pisał także o okolicznościach zarażenia się rzeżączką.

Czytamy w zapiskach młodego Żeromskiego o orgiach ze szwaczkami, Manią z ulicy Zgoda, Zosią, Walerką z Bielańskiej. Autor z lubością pisał o namiętnym cieple Władki, która miała pełne kształty, jędrne ciało i wyniosłe piersi osiemnastolatki. O jednej z orgii z dwiema dziewczynami Żeromski napisał: „Ośmnaście razy summa summarum – czyli dziewięć na jedną”. Wspominał też o wizytach w domach publicznych, o fascynacji widzianymi na ulicy kobietami. Co ciekawe, Stanisław Piółun-Noyszewski, krewny i biograf Żeromskiego, twierdził, że intymne notatki Żeromskiego były „dość niewinne” i „pełne idealizmu”. Chyba krewny pisarza czytał inne *Dzienniki*.

Gdy w Nałęczowie Żeromski poznał swoją późniejszą żonę Oktawię z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczową, wręczył jej swoje młodzieńcze zapiski, aby mogła go lepiej poznać, zanim się pobiorą. Po ich lekturze Oktawia przeżyła szok i zerwała narzeczeństwo. Po dwóch latach uznała jednak, że powinna związać się z młodym nauczycielem i początkującym pisarzem, aby sprowadzić go na dobrą drogę. Mimo przestróg zakochanego w niej Bolesława Prusa Oktawia wyszła za Żeromskiego i stała się jego podporą, opiekunką, menedżerką. To ona negocjowała z wydawcami warunki wydania książek. Gdy mąż chorował, to ona pracowała za niego w bibliotece w Pałacu Błękitnym.

Działalność społeczna Oktawii w Nałęczowie stała się kanwą powieści *Ludzie bezdomni*, a ona sama pierwowzorem Joasi. Po latach niektóre perypetie z kobietami, na przykład romans z Heleną, Żeromski opisał w powieściach, wykorzystując całe akapity zapisków



z *Dzienników*. Epizody z *Popiołów*, *Dziejów grzechu*, *Przedwiośnia* to reminiscencje przeżyć z Chmielnika, Oleśnicy i Łysowa.

W Warszawie Żeromski próbował drukować swoje opowiadania. „Kurier Codzienny” odrzucił jego *Siłaczkę*. Redakcja napisała, iż jest to „utwór nieudolny i zupełnie nie nadający się do druku”. Tygodnik „Wędrowiec” zwrócił autorowi opowiadanie *Zapomnienie*. Adam Wiślicki zgorszył się opowiadaniem Żeromskiego, w którym młody autor opisał autentyczne spotkanie brata z siostrą w burdelu. Redaktor „Przeglądu Tygodniowego” spytał Żeromskiego: „Czemu młodzi zabierający się do pióra, lubują się bezpożytecznie w brudach?”. Wreszcie Wiktor Gomulicki w „Tygodniku Powszechnym” zamieścił dwie nowe.

Na początku lat 90. XIX w. Żeromski związał się towarzysko z przyszłymi działaczami Ligi Polskiej i Ligi Narodowej. Nawiązał też współpracę z tygodnikiem „Głos”, gdzie ogłaszał swoje opowiadania. Młody autor opisywał rzeczywistość w sposób naturalistyczny, brutalny.

Jan Lorentowicz pisał, że redakcja „Głosu” „nie płaciła honorariów”, a jednemu z literatów zapłaciła w postaci... egzemplarza dzieł Herberta Spencera, wydawanych jako dodatek do pisma. Żeromski za jedno opowiadanie dostał honorarium osiem rubli. Niestety, cenzura rosyjska wycięła większość tekstu. Z redakcją współpracowali Ludwik Krzywicki i Wacław Nałkowski. Gdy pismo związało się z Ligą Polską, odszedł Krzywicki, w skład redakcji wszedł Roman Dmowski. Nowy redaktor Zygmunt Wasilewski zaprosił Żeromskiego do dalszej współpracy z redakcją „Głosu”. Żeromski się zgodził: „Z «Głosem» zespolę się teraz mocniej, ponieważ porządnie” – napisał w liście.

Na łamach „Głosu” ukazały się *Ananke*, *Zapomnienie*. W czerwcu 1891 r. została opublikowana *Siłaczka*, która wywołała wielką dyskusję literacko-społeczną. W 1892 ukazał się *Zmierzch*, a dwa lata później *Doktor Piotr*. Odezwy były duże. Do redakcji przychodziły listy od czytelników. Żeromski stał się głosem nowego pokolenia w literaturze.

Utwory, które miały wymowę antyrosyjską, pisarz wydawał w zaborze austriackim pod pseudonimami (Maurycy Zych, Józef Katerla). Niektórzy recenzenci radzili młodemu Żeromskiemu, by pisał jak... Maurycy Zych.

Z czasem Żeromski związał się z socjalistami, poznał Józefa Piłsudskiego, ale nie należał do wyznawców Ziuka, późniejszego Komendanta i Naczelnika. Trzymał się na uboczu.

Ogromne wrażenie wywołało wydanie *Ludzi bezdomnych*, interpretowanych jako powieść o ludziach żyjących pod zaborami. W 1900 r. za wznowienie książki Jan Fiszer zaproponował Żeromskiemu 300 rubli. Kiedy się dowiedział, że firma Gebethner i Wolff oferuje pisarzowi 1000 rubli, Fiszer bez namysłu zgodził się na taką samą kwotę, co Żeromski skomentował: „To znaczy, że p. Jan Fiszer chciał na mnie w ciągu jednego dnia zarobić 700 rubli”.

To skandal z nadbijaniem nakładu utworów Żeromskiego sprawił, że pisarze założyli organizację broniącą ich praw. W 1908 r. ukazała się *Duma o hetmanie*. Według pisarza wydawca zamiast uzgodnionych 2 tys. egzemplarzy, za które zapłacił, wydał 29. Za 27 tys. nie zapłacił autorowi ani grosza. Żeromski rozpowszechnił tę informację w środowisku literackim. Jan Lorentowicz na łamach „Nowej Gazety” upublicznił problem i napisał, że już czas, aby literat polski przestał odmawiać sobie wszystkiego, gdy wydawca żyje pełną gębą.

Księgarze i wydawcy byli oburzeni tym artykułem. Twierdzili wręcz, że fakt nadbicia nakładu z chęci zysku „nigdzie i nigdy nie miał miejsca”. Sprawą zajął się Sąd Honorowy, który ustalił, że liczba 29 tys. egzemplarzy jest nieprawdziwa. W rzeczywistości wydano 900 egzemplarzy ponad umowę.

„Nowa Gazeta” pisała: „konieczne są reformy”, w tym „ściśle prawo kontroli”. „Autorowie muszą się zorganizować, obmyśleć [...] środki obrony swych praw”. Deklarację podpisało 194 pisarzy, w tym Wacław Berent, Wiktor Gomulicki, Jan Kasprowicz, Bolesław Leśmian, Tadeusz Miciński, Zofia Rygier-Nałkowska, Adolf Nowaczyński, Władysław Orkan, Stanisław Przybyszewski, Wacław Sieroszewski, Leopold Staff, Aleksander Świętochowski i sam Stefan Żeromski.

Niebawem powstało Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy Polskich, które zostało zarejestrowane w Warszawie 20 marca 1909 r. Znamy jego statut. Zapisano w nim, że Towarzystwo „ma na celu obronę interesów zawodowych, materialnych i moralnych literatów i dziennikarzy

Monika Żeromska



polskich”, ale też prowadzenie biblioteki, urządzanie odczytów. Towarzystwem kierowali m.in. Jan Lorentowicz, Bolesław Prus, Ignacy Matuszewski – senior. Siedziba Towarzystwa mieściła się w kamienicy przy Brackiej 5.

W czasie I wojny światowej Żeromski wstąpił do Legionów, ale szybko odszedł i w Zakopanem tworzył Organizację Narodową. W listopadzie 1918 r. pełnił funkcję prezydenta utworzonej wówczas Rzeczypospolitej Zakopiańskiej. Do Warszawy wrócił w 1919 i zamieszkał przy Żurawiej 15. Wkrótce kupił willę Świt w Konstancinie, gdzie las sosnowy dobrze wpływał na jego płuca. Sprawy wydawnicze, konieczność bywania w stolicy sprawiły, że szukał mieszkania w Warszawie. Dostał je w prestiżowym miejscu: na Zamku Królewskim. Ale Żeromski narzekał, że trwa remont i słyszy hałasy.

W 1918 r. pisarz wezwał do utworzenia Akademii Literatury Polskiej. Dwa lata później został na krótko prezesem powołanego wtedy Związku Zawodowego Literatów Polskich, a w 1925 w jego mieszkaniu na Zamku Królewskim utworzono Polski Klub Literacki, czyli polski PEN Club.

Brał udział w inspekcji terenów plebiscytowych na Pojezierzu Iławskim i Powiślu. Prosił Józefa Piłsudskiego o przysłanie wojska na te tereny. W okresie wojny polsko-bolszewickiej napisał reportaż *Na probostwie w Wyszkowie*. Opisał członków rządu bolszewików: Marchlewskiego, który jako wydawca nie zapłacił mu honorarium, Kohna, którego widział na procesie krytyka Stanisława Brzozowskiego. Dzierżyńskiego nie spotkał, nie dotknął jego ręki „krwią obmazanej po łokieć”, ale napisał, że „to imię i nazwisko, wymówione w mojej obecności, sprawia na mnie obmierzłe wrażenie...”. Tymczasem Monika Żeromska kłamała, że jej ojciec był zwolennikiem komunizmu. Nie był. Córka pisarza twierdziła też, że pisał powieść *Wiosna*, kontynuację *Przedwiośnia*, gdzie rzekomo miał poprzeć komunizm. Niczego takiego nie napisał.

W *Elegiach* jest *Odpowiedź Arcybaszewowi i innym*, gdzie Żeromski przeciwstawił się komunizmowi. Pisał, że Polska musi wypracować i wdrożyć „idee, które by przewyższyły moskiewskie” i dały „ziemię i dom bezrolnym i bezdomnym” i które umieściłyby wywalczoną Polskę „na wyżynie świata, gdzie jest jej miejsce”.

Nazywany sumieniem narodu, ale i pornografem, oskarżany o demoralizację czytelników, był głosem pokolenia urodzonego w niewoli. Jego popularność dorównywała niemal Sienkiewiczowi. Jego utwory czytano i o nich dyskutowano. Przeprowadzono nawet... sąd nad bohaterką powieści *Dzieje grzechu*. Wielkie poruszenie nastąpiło po publikacji *Przedwiośnia*. Narodowcy zarzucali pisarzowi (błędnie) gloryfikację komunizmu. Komuniści twierdzili, że Żeromski nie zrozumiał idei komunistycznej. Powieść



Żeromski na Zamku

kończy się marszem tłumu na Belweder. Pałac był wtedy siedzibą prezydenta Wojciechowskiego. Dwa lata później zamachu stanu dokona Marszałek Józef Piłsudski, który zamieszka w Belwederze. Żeromski tego nie dożył.

W PRL-u nie wydano *Biczów z piasku*, gdzie znalazł się reportaż *Na probostwie w Wyszkowie* o pobycie niedoszłego rządu bolszewickiego w 1920 r. Nie wznawiano także książki *Snobizm i postęp*, w której pisarz skrytykował poetów awangardy.

Zmistyfikowano także sprawę Nagrody Nobla. Jak wiemy, w 1924 r. otrzymał ją Władysław Reymont. Wcześniej kandydował Żeromski, ale szwedzka akademia uznała, że utwory Żeromskiego są pesymistyczne, a *Wiatr od morza* nacjonalistyczny. W okresie PRL-u pisano, że to Narodowa Demokracja storpedowała kandydaturę Żeromskiego. W rzeczywistości Żeromskiego utracił jeden z członków komitetu noblowskiego, Fredrik Böök, który po lekturze artykułów o Żeromskim w prasie niemieckiej zarzucił mu „germanofobię” i „polski imperializm”. Szwedzki krytyk napisał swoją opinię, nie znając *Wiatru od morza*. Pikanterii dodaje fakt, że później się okazało, że Böök sam był nacjonalistą i agentem niemieckim. W czasie II wojny światowej kolaborował z Niemcami. I to taki autorytet uznał utwór polskiego autora za nacjonalistyczny.

Warto poznać prawdziwe życie Żeromskiego, pełne nieoczekiwanych zdarzeń. Pisarz nie był postacią pomnikową, ale na pewno był patriotą. Chciał, aby Polska stała się nowoczesna, stąd jego pomysł szklanych domów, które dziś dominują w Warszawie. Nadal czekamy na pełne wydanie *Dzienników* pisarza i wznowienia utworów pomijanych w PRL-u. ❄

Piotr Łopuszański – autor wielu książek biograficznych i dotyczących historii literatury polskiej, m.in. kilku pozycji o Bolesławie Leśmianie, *Gustaw Holoubek – filozof życia*, *Mikołaj Kopernik. Nowe oblicze geniusza*.

Mińska 65 –

największa w Polsce powojenna
Drukarnia Naukowo-Techniczna
wpisana do rejestru zabytków

Małgorzata Kubicka

Decyzją Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków Marcina Dawidowicza historyczny zespół budowlany dawnych Zakładów Poligraficznych im. Rewolucji Październikowej, znanych później jako Drukarnia Naukowo-Techniczna PAP, w Warszawie przy ulicy Mińskiej 65 został wpisany do rejestru zabytków i podlega teraz ścisłej ochronie.

Budynek biurowy przy ul. Mińskiej



Ten modernistyczny kompleks architektoniczny wzniesiono w latach 1948–1958 według projektu Jerzego Brandysiewicza przy współudziale Stanisława Zaleskiego odpowiedzialnego za konstrukcję.

Wpis do rejestru obejmuje aż pięć budynków: drukarnię, budynek mieszkalny, portiernię, garaże i remizę oraz stację transformatorową, a także całe otoczenie i zagospodarowanie terenu, co czyni decyzję MWKZ jedną z najistotniejszych w ostatnich latach dla ochrony stołecznego dziedzictwa przemysłowego. Niestety, wpis nie obejmuje wnętrza obiektu.

Konserwator precyzyjnie określił charakter ochrony jako przestrzenny (obszarowy), co oznacza, że ochronie podlegają głównie zewnętrzne cechy obiektów: ich gabaryty, charakter wykończenia oraz zastosowane rozwiązania materiałowe. Pozwala to zabezpieczyć nie tylko pojedyncze budynki, ale również widoki architektoniczne i relacje przestrzenne istniejące między poszczególnymi elementami historycznego kombinatu poligraficznego. Jak wyjaśnia konserwator, zastosowano takie rozwiązanie, gdyż zespół przy Mińskiej 65 stanowi unikatowy w skali Warszawy i całego kraju przykład kompleksowo zaprojektowanej i zrealizowanej po 1945 r. drukarni wraz z pełnym zapleczem, która zachowała się do dziś bez większych przekształceń.

Powojenna odbudowa przemysłu w Polsce była jednym z priorytetowych zadań realizowanych w ramach trzyletniego Planu Odbudowy Gospodarczej (1947–1949), choć drukarnie nie znajdowały się dość wysoko na tej liście. Oczywiście rola, jaką odgrywało słowo pisane w propagandzie ideologii komunistycznej, była jedną z kluczowych i dlatego mimo wszystko na budowę nie szczędzono nakładów finansowych.



Współczesny widok zabudowań dawnych Zakładów Poligraficznych przy ul. Mińskiej

Przy wyborze miejsca kierowano się przede wszystkim tradycjami robotniczymi Kamionka. Drukarnia została wzniesiona na terenie przedwojennych Centralnych Zakładów Samochodowych, na działce o powierzchni prawie 63 tys. m kw., w sąsiedztwie działającej już od 1945 r. drukarni (późniejszej Warszawskiej Drukarni Akcydensowej) przy ul. Podskarbińskiej. Na wiele lat kombinat poligraficzny zdeterminował charakter tej części dzielnicy. Wysoki poziom druków był wielokrotnie honorowany na wystawach krajowych i zagranicznych, a zakłady dbały o wysokie kwalifikacje pracowników i wyposażenie techniczne. W latach 50. Drukarnia im. Rewolucji Październikowej była jedną z największych w Europie. „W tym stanie rzeczy wyłoniła się koncepcja budowy kombinatu poligraficznego obejmującego dużą drukarnię książkową ze specjalnym działem dla druku wydawnictw naukowo-technicznych, centralne warsztaty napraw maszyn drukarskich, ośrodek szkoleniowy obejmujący średnią szkołę graficzną oraz pierwszą w Polsce wyższą szkołę graficzną” – pisał w „Architekturze” (nr 10 z 1958 r.) Jerzy Brandysiewicz, architekt zespołu.

Niezwykle wysoka jest wartość artystyczna kompleksu. Jak podkreśla konserwator, jest to przykład przemysłowej i niezwykle dojrzałej architektonicznej kompozycji, czerpiącej pełnymi garściami z osiągnięć

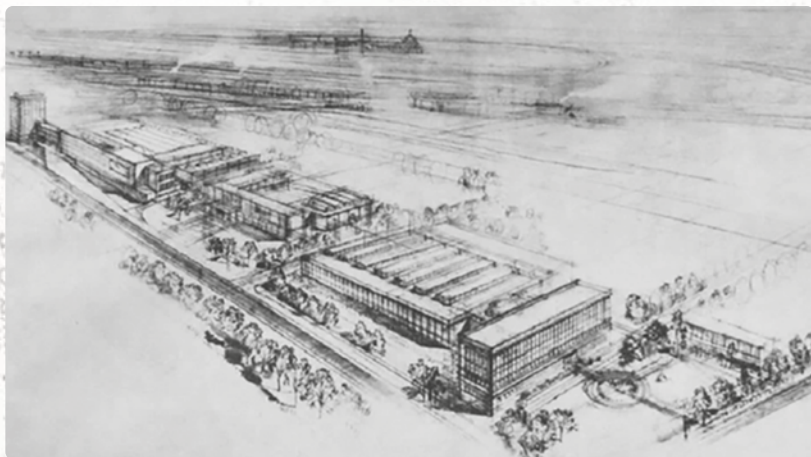
przedwojennego modernizmu. A zaprojektowanie tak dużego przedsięwzięcia wzdłuż Mińskiej nie było łatwe, działka mimo że potężna, była przy tym dość wąska, dodatkowo pomniejszona o bocznice kolejową. Autorzy drukarni odeszli od przyjętego standardu i zamiast w pionie, zaprojektowali ją w poziomie, usprawniając jednocześnie produkcję. I tak na parterze znalazły się magazyny i pokoje socjalne, na piętrze zecernia, maszyny i introligatornie, a na kolejnej kondygnacji działły przygotowawcze. Urządzenia obsługujące instalacje wyprowadzono do pomieszczeń nieoświetlonych. Zadbano też o pracowników. Ich trasy do własnych działów zaplanowano możliwie jak najkrótsze, a wzdłuż ściany nisko położonej świetlicy wykonano wykop, tworząc zieleniec wypoczynkowy i wkomponowując w niego basen przeciwpożarowy. W najwyższym budynku znalazły się biura i mieszkania. W hali maszyn zastosowano najbardziej rozpoznawalny dziś i charakterystyczny element: wielkie ośmioboczne świetliki umieszczone na suficie. „Dla doświetlenia pomieszczeń zastosowano 38 kopuł-świetlików żelbetowych, które doskonale spełniają zadania. Trzeba podkreślić, że na dobre oświetlenie budynku zwrócono baczną uwagę, i wydaje się, że pod tym względem warunki drukarzy zostały spełnione” – pisał Brandysiewicz. Drukarnia wyposażona w nowoczesny park maszynowy, którego większość była produkcji

Mińska 65

Od góry:

1. magazyn z rampą,
- 2, 3. świetliki nad halami produkcyjnymi,
4. wnętrze zecerni,
5. strona pld zakładu

▼ Szkic przedstawiający Zakłady Poligraficzne



radzieckiej, od samego początku specjalizowała się w druku wydawnictw naukowych, technicznych i druków wielobarwnych.

Z drukarni przez lata działalności wyjechały miliony książek. Już w latach 50. XX w. realizowała eksport dla angielskiego Pergamon Pressu czy wydawnictw szwedzkich, zachodnioniemieckich i fińskich. Potwierdzeniem wysokiej jakości był wydany w języku angielskim *Atlas hematologiczny*, który w 1959 r. na I Międzynarodowej Wystawie w Lipsku zdobył srebrny medal. W 1974 r. zakład zatrudniający około 1200 osób posiadał przyzakładowe ambulatorium i przedszkole. Pracowników witał charakterystyczny niebieski neon DRUKARNIA IM. REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ zamontowany na dachu. 12 grudnia 1990 r., po przemianie ustrojowej, drukarnia zmieniła nazwę na Przedsiębiorstwo Państwowe Drukarnia Naukowo-Techniczna. Końcówka neonu siłą rzeczy została zdemontowana i trafiła na złom. 3 lutego 1999 r. zakład został skomercjalizowany. W tym czasie wiele maszyn wyeksploatowanych przez lata zostało zastąpionych nowym, wysokowydajnym sprzętem. Zakupiono m.in. nowe maszyny, w tym offsetową, 4-kolorową maszynę drukarską firmy MAN Roland, maszynę do foliowania, maszynę do szycia nićmi. Jednak sytuacja finansowa stale się pogarszała. Realizując plan restrukturyzacyjny, w ciągu czterech lat Drukarnia Naukowo-Techniczna SA stała się drugim w kraju,





Współczesny widok zabudowań dawnych Zakładów Poligraficznych przy ul. Mińskiej

po Olsztyńskich Zakładach Graficznych, producentem książek w twardych okładkach. W 2004 r. we współpracy z Quality Management Centre Sp. z o.o. został wdrożony system zarządzania jakością ISO 9001:2000. Wprowadzono także system ewidencji odpadów zgodny z wymogami ustawy o ochronie środowiska. 18 sierpnia 2005 r. zakład został włączony w strukturę Polskiej Agencji Prasowej. W roku 2008 władze PAP ogłosiły plany zbudowania w ciągu trzech lat najnowocześniejszej drukarni dzielowej w Polsce, opartej na nowoczesnych maszynach, sprawnym zarządzaniu i doświadczonej załodze. W 2010 r. uroczyście obchodzono 60-lecie istnienia drukarni. Niestety, z powodów ekonomicznych PAP zdecydowała o likwidacji zakładu. W 2010 r. strata DNT wyniosła ponad 1,7 mln zł, a w ciągu pierwszych jedenastu miesięcy 2011 ponad 1,3 mln. W ostatniej fazie działalności zakład dysponował parkiem maszynowym wyposażonym m.in. w trzy maszyny zwojowe 2+2 oraz maszyny arkuszowe i nowoczesne studio graficzne. Wydział introligatorni wyposażony był w najnowocześniejszą maszynę introligatorską o wydajności 60 egz./min oraz linię do opraw broszurowych o wydajności 5 tys. egz./godz. Drukowano głównie albumy, słowniki,

książki naukowo-techniczne i beletrystyczne, podręczniki, książki dla dzieci oraz kalendarze, czasopisma i druki reklamowe. Obecnie pod adresem Mińska 65 swoją siedzibę mają przeróżne firmy, a w halach produkcyjnych organizowane są eventy, sesje zdjęciowe i konferencje.

Projekt Brandysiewicza to kompozycja unikatowa w skali miasta i kraju. Charakteryzuje ją architektoniczna gra kontrastów: dominanta w postaci administracyjno-biurowego wysokościowca połączona z niskim budynkiem drukarni o rozczłonkowanej i urozmaiconej bryle. Całość, uzupełniona budynkami technicznymi i zagospodarowaniem, stworzyła perfekcyjnie dopracowany funkcjonalnie zespół zabudowy. Na wysoką wartość artystyczną składają się zastosowane rozwiązania – wykusze, ryzality, zróżnicowana forma przeszkleń i dachów oraz umiejętne zestawienia materiałowe (okładzina kamienna, klinkierowa, tynki). W ocenie konserwatora te rozwiązania są przykładem żywych wśród warszawskich architektów związków z tradycją architektoniczną słynnego Le Corbusiera. Wpis do rejestru gwarantuje, że unikatowa forma architektoniczna zostanie zachowana dla przyszłych pokoleń. 🏠

ŹRÓDŁA:

Jerzy Brandysiewicz, *Drukarnia im. Rewolucji Październikowej w Warszawie wraz ze zdjęciami* Z. Gamskiego ze str. 395–396 i 398 [w:] „Architektura” (nr 10, 1958 r.), warszawskiedrukarnie.pl, WUOZ, [<https://cyfrowemazowsze.pl/dlibra/publication/82777/edition/80133#description>] Reszta zdjęć – zbiory własne.

Zdorożki do samochodu wyścigowego

Michał Bruliński

Gdyby Chopinowi dać możliwość gry na Fazioli lub Steinwayu, zapewne byłby zszokowany. Tę sytuację moglibyśmy porównać do przejażdżki samochodem wyścigowym kogoś, kto wcześniej jeździł tylko dorożką.



Co powiedziałby Chopin, gdyby zaproponowano mu wykonanie na współczesnym instrumencie koncertowym – jednym z takich, jakie słyszeliśmy niedawno podczas XIX edycji konkursu? Pośród gąszczu wątków, przez który próbowałem w ostatnich tygodniach przedzierać się jako radiowy i telewizyjny komentator pianistycznej olimpiady, to właśnie pytanie utkwiło mi w uszach szczególnie. Gorączkując się przed radioodbiornikami oraz telewizorami, stojąc przed filharmonią w kolejce po konkursowe wejściówki czy rozkoszując się dźwiękami fortepianów w sali koncertowej przy ul. Jasnej, co pięć lat stajemy przed zestawem podobnych pytań: jak grać Chopina?, czym właściwie jest ów nieuchwytny „idiom chopinowski”?, czy muzykę naszego narodowego kompozytora najgłębiej rozumiemy my, Polacy, czy może Kanadyjczycy, Amerykanie lub Azjaci, którzy święcą triumfy w ostatnich edycjach? Te i inne wątpliwości starał się rozwiązać tłum ekspertów, tradycyjnie zjeżdżających do Warszawy z całego świata, aby przysłuchiwać się najstarszemu i bodaj największemu turniejowi pianistycznemu. Tymczasem w kontekście ekspansji ruchu wykonawstwa historycznie świadomego pytanie o to, jak Chopin odniósłby się do dzisiejszych fortepianów, wydaje się frapujące – szczególnie w kontekście wielkiej rocznicy stulecia konkursu (2027), która zbiegnie się z III edycją Konkursu Chopinowskiego na instrumentach historycznych.

Wypada mi zacząć od uwagi być może oczywistej, ale potrzebnej. Otóż rozgraniczenie na fortepian „współczesny” i „historyczny” niesie ryzyko błędu poznawczego, wynikającego ze zbyt dużego uogólnienia: nie ma bowiem jednego typu instrumentu historycznego. Dziełnastowieczni fortepianmistrzowie prześcigali się w kolejnych innowacjach konstrukcyjnych, eksperymentując z całą gamą rozmaitych materiałów. Na ich indywidualne talenty musimy ponadto nałożyć filtr geograficzny: każdy liczący się ośrodek kulturalny ówczesnej Europy szczycił się swoimi autonomicznymi osiągnięciami na polu budowy fortepianów. Transfer technologiczny posiadał zupełnie inną dynamikę niż współcześnie. Kompletnie inną charakterystykę brzmieniową miały instrumenty wiedeńskie niż te wytwarzane w Londynie czy Paryżu; jeszcze inaczej prezentowały się wzorowane na nich instrumenty konstrukcji warszawskiej czy petersburskiej. Ówczesnym budowniczym – bez względu na szerokość i długość geograficzną

– przyświecał wspólny cel: wytworzenie instrumentu o szlachetnym brzmieniu, nośnym rezonansie i wygodnej do gry klawiaturze, na której wirtuozi mogliby czarować słuchaczy karkołomnymi akrobacjami z jednej strony i ujmującym śpiewem z drugiej. Wycieczkę do warsztatu fortepianmistrzowskiego czasów Chopina można zatem porównać do współczesnej wizyty w salonie samochodowym: każdy oglądany model krył w sobie szereg technicznych udoskonaleń i nowinek, każdy był skrojony na miarę i dostosowany do indywidualnych potrzeb, jedyny w swoim rodzaju; każdy kusił atrakcyjnym wyglądem, walorami funkcjonalnymi bezpośrednio (instrument) i pośrednio (mebel) oraz potencjalnym komfortem użytkowania (rozumianym wielorako). Wreszcie: każdy instrument zawierał w sobie jakąś unikatową opowieść, której kolejne rozdziały dopisywali kolejni użytkownicy. Jakże błado w tej perspektywie wypada perfekcyjnie zunifikowany fortepian współczesny... który, swoją drogą, nie jest wcale tak bardzo „współczesny”, jak mogłoby się wydawać: jego ramy konstrukcyjne, układ strun i charakterystyka mechanizmu nie uległa większym zmianom od serii patentów w latach 60. XIX w.

Chopin w trakcie swego względnie krótkiego życia stykał się z przeróżnymi formami instrumentów. Dojrzał w środowisku warszawskim zdominowanym przez fortepiany typu wiedeńskiego – i to im właśnie poświęcę na początek słów kilka.

Kopia fortepianu Buchholtza (1825/1826)





Fortepiany z czasów Chopina, od lewej: Conrad Graf (lata 20. XIX w.), John Broadwood & Sons (lata 30.), Pleyel (lata 40.).

Fryderyk miał trzy siostry i najprawdopodobniej wszystkie dość sprawnie grały na fortepianie, toteż w domu Chopinów instrument był artykułem pierwszej potrzeby. W źródłach znajdujemy ślady dwóch fortepianów, które posiadali Chopinowie przed wyjazdem Fryderyka. Z pierwszego młody wirtuoz korzystał przed rokiem 1828 i wiemy o nim niewiele. Z pewnością nie należał do najnowocześniejszych i nie pochodził z żadnej znanej wytwórni, gdyż nie pozwalały na to skromne dochody Mikołaja Chopina. Kompozytor wspominał o nim w liście do Tytusa Woyciechowskiego, opisując swoje mieszkanie na Nowym Świecie: „[...] na górze już jest pokój mający mi służyć ku wygodzie, z garderóbki schody do niego wyprowadzone. Tam mam mieć stary fortepian, stare biurko, tam ma być kąt schronienia dla mnie” [Fryderyk Chopin do Tytusa Woyciechowskiego z Warszawy, 27 grudnia 1828, *Korespondencja Fryderyka Chopina*] To ostatnia wzmianka źródłowa dotycząca rzeczoności instrumentu, który najpewniej zaginął po tym, jak Chopin ostatecznie opuścił ojczyznę. Gdyby ów nie przepadł w enigmatycznych okolicznościach – w posagu otrzymałaby go zapewne siostra kompozytora Ludwika, która wyszła za mąż w 1832 r. Tak się z całą pewnością nie stało, co wiemy z rodzinnej korespondencji Chopinów. Z niej także czerpiemy informacje o drugim fortepianie Fryderyka. Wspominał o nim Mikołaj Chopin w liście do syna z grudnia 1841 r., stwierdzając, że Izabela „bardzo dba o ten instrument i nie oddałaby go za nic w świecie” [Mikołaj Chopin do Fryderyka z Warszawy, 30 grudnia 1841]. To wzmiankowany instrument został najpewniej wykorzystany na pierwszym publicznym koncercie Fryderyka w Warszawie 18 marca 1830 r. Recenzenci uznali wówczas, że nazbyt cichy fortepian nie sprostał wymaganiom sali koncertowej Teatru Narodowego, choć prawdziwej przyczyny krytyki szukać należy zapewne w subtelnej pod względem dynamiki grze pianisty (odcienie *piano* zdecydowanie bardziej niż *forte*). Instrument

ten pochodził najprawdopodobniej z usytuowanego wówczas przy ul. Mazowieckiej warsztatu Fryderyka Buchholtza, którego wyroby Chopin cenił wysoko. Dodajmy – zdecydowanie wyżej niż konkurencyjne fortepiany z manufaktury Antoniego Leszczyńskiego (adresy zmienne: ul. Zakroczymska, Żabia i Targowa), które młody twórca określił w korespondencji jako „nędzne”. To właśnie instrument Buchholtza widnieje na kopii zaginionej akwareli Antoniego Kolberga z 1832 r., i to właśnie ten domowy instrument Chopina został zdefenestrowany w 1863 r. przez rosyjskich żołdaków, co uwiecznił w swoim genialnym poemacie Norwid. Notabene fortepiany Buchholtza cieszyły się w Warszawie popularnością jeszcze długo po wyjeździe Chopina z kraju, a nawet po zamknięciu przedsiębiorstwa w 1846 r. Na instrumentach o podobnym mechanizmie koncertował Chopin podczas pobytów w Wiedniu (1829 i 1830/31 r.).

Subtelna, w większości drewniana konstrukcja fortepianów wiedeńskich, zazwyczaj z młoteczkami pokrytymi skórą zamiast filcu, owocowała zdecydowanie bardziej delikatnym i zarazem jasnym, „mówiącym” brzmieniem. Fortepiany produkowane w Wiedniu miały nieco płycej osadzoną klawiaturę, przez co odczucie gry na nich było znacznie lżejsze. Nieznacznie węższa niekiedy menzura klawiszy oraz mniejsze odległości między nimi nie pozostawały bez wpływu na gestyczny obraz muzycznej interpretacji. Jak zatem zareagowałby młody Chopin, gdyby przed opuszczeniem Warszawy zaproponowano mu koncert na fortepianie współczesnym zamiast na Buchholtzu? Możemy domniemywać, że byłby głęboko zdumiony, by nie rzec – zszokowany. Ten śmiały domysł możemy wysnuwać chociażby na podstawie sytuacji odwróconej: zdumienie wydaje się adekwatną kategorią dla opisu doświadczenia wielu współczesnych pianistów, którzy po raz pierwszy zasiadają do instrumentu o mechanice wiedeńskiej. Współczesne fortepiany od praprzodków sprzed 200 lat dzieli



Pianino Pleyela, ok. 1834 r.

przepaść – zarówno w odniesieniu do brzmienia, odczucia klawiatury i doświadczenia gry. Rozzuchwaleni w naszych spekulacjach moglibyśmy sobie wyobrazić, że niespełna dwudziestoletni Chopin, przesiadając się do Steinwaya, po kilku minutach mógłby odczuć przede wszystkim poważne zmęczenie tzw. aparatu gry ze względu na wspomnianą głębokość zapadu klawisza oraz ogólny „ciężar” mechanizmu. Ślady analogicznej sytuacji znajdujemy we wcześniejszych źródłach – kiedy nauczyciel Fryderyka, Józef Elsner, sprowadził w 1805 r. do zdominowanej przez fortepiany wiedeńskie Warszawy fortepian Érarda z mechaniką angielską, ów właśnie ze względu na twardość i ciężar klawiatury „niezupełnie przypadł damom do smaku”, chociaż „z powierzchowności podobał się nadzwyczajnie i ogólnie” [J. Elsner, *Sumariusz moich utworów muzycznych z objaśnieniami o czynnościach i działaniach moich jako artysty muzycznego*, tłum. Kazimierz Lubomirski]. Z jednej strony młodego Chopina mógłby zaskoczyć potężny i wyrównany w całej skali współczesnego fortepianu dźwięk, z drugiej – brak mechanicznych moderatorów, za pomocą których mógłby modyfikować odcienie brzmienia (Buchholtz posiadał aż cztery, tymczasem w dzisiejszych fortepianach pozostał tylko pedał *una corda*). Z trzeciej – zaskoczeniem właściwie nie byłoby końca, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę intymny charakter relacji kompozytora z instrumentem. Sytuację tę moglibyśmy porównać do przejażdżki samochodem wyścigowym kogoś, kto wcześniej jeździł dorożką.

Jeszcze w okresie warszawskim Chopin zaznał się z fortepianami typu angielskiego, podziwiając w 1827 r. stołeczne występy Marii Szymanowskiej, która grała na przywiezionym z Londynu

instrumencie Johna Broadwooda – jednego z wiodących wytwórców europejskich tego okresu. Prawdopodobnie młody twórca zetknął się także z egzemplarzami konstrukcji warszawskich budowniczych, które stanowiły imitację świeżego nabytku pianistki. Z kolei już w 1830 r. miał okazję poznać i docenić fortepiany Pleyela, nieco „cięższe” w dotyku niż instrumenty, które poznał w Warszawie. Paryskie fortepiany o angielskiej mechanice posiadały odrobinę bardziej nośne, śpiewne, czy też „okrągłe” brzmienie. Od czasu osiedlenia się w Paryżu w 1831 r. Chopin grał już wyłącznie na fortepianach z mechaniką angielską, głównie rzeczonygo producenta. To właśnie wówczas pisał zachwycony do swojego przyjaciela Tytusa Wojciechowskiego: „Pleyelowskie fortepiany – non plus ultra!”. Forte-piany Pleyela cenili nie tylko ze względu na względną lekkość mechanizmu, łatwość wydobywania dźwięku i możliwość szybkiej repetycji – odpowiadało mu także delikatne brzmienie instrumentu, sprzyjające finezyjnym wykonaniom oraz cieniowaniu barw. Dzięki sukcesom estradowym młodemu Chopinowi szybko udało się zawiazać z Pleyelem niepisany kontrakt: ów dostarczał pianiście instrumenty do ćwiczeń i koncertów, w miarę możliwości udostępniając swój salon, w zamian za co młody artysta koncertował niemal wyłącznie na pleyelowskich fortepianach i z przekonaniem rekomendował je swoim uczniom.



Kopia fortepianu Pleyela z około 1830 r., Paul McNulty

Nie był to jednak wyłącznie ekonomiczny rachunek korzyści i strat – kompozytor odczuwał z instrumentami Pleyela autentyczną intymną więź, której manifestacją był często przezeń stosowany w odniesieniu do nich zaimiek przymiotny „mój”. Chopin grywał również na fortepianach Broadwooda (np. podczas angielskiego tournée) oraz Érarda. Tego drugiego szczególnie wtedy, kiedy czuł się źle, ponieważ miały one posiadać „gotowy dźwięk”, łatwiejszy do wydobywania niż na fortepianach Pleyela. Te z kolei zdaniem wirtuoza wymagały odeń poszukiwania własnego brzmienia [zob. Henri Blaze de Bury, *Musiciens contemporains*, Paryż 1856]. W latach 30. XIX w. w europejskim dyskursie muzycznym wyklarowała się socjomuzyczna dychotomia: wybuchowy Liszt piorunujący *fortissimo* na grzmiącym fortepianie Érarda i delikatny Chopin szmerzący piano na intymnym Pleyelu. Chciałoby się rzec – wczesne preludium do kultury masowej.

Fortepiany Pleyela, Érarda i Broadwooda o mechanice angielskiej, szczególnie te z lat 40., są nieco bliższe współczesnym niż opisane pokrótce fortepiany wiedeńskie, szczególnie jeżeli chodzi o dotyk klawiatury i doświadczenie gry. Ich charakterystyczną cechą jest wyraźna odmienność brzmienia we wszystkich rejestrach – w głębokim, wibrującym basie, w deklamacyjnej średnicy oraz w dyszkancie, o specyficznym, dość krótkim i niekiedy nosowym brzmieniu. Odmienność ta wynika przede wszystkim z równoległego układu strun (w odróżnieniu od konstrukcji współczesnych z układem krzyżowym). Najprościej rzecz ujmując: z fortepianów chopinowskich pianista może wydobyć mniej decybeli, za to więcej wyrafinowanych barw w poszczególnych rejestrach, co czyni poszczególne warstwy brzmieniowe danej kompozycji bardzo klarowne w odbiorze. Co zaskoczyłoby dojrzałego Chopina, gdyby ktoś podsunął mu fortepian Steinwaya zamiast Pleyela?

Przede wszystkim potęga brzmienia i perfekcyjne wyrównanie współczesnego instrumentu. Z wielu źródeł wiemy, że Chopin nie przepadał za publicznymi koncertami – unikał ich jak ognia, dał ich przez całe swoje życie zaskakująco mało. Nie lubił tłumów, stronił od hałasu i zgiełku. Z relacji jego uczniów i słuchaczy wiemy, że potrafił w niebywały sposób cieniować dynamikę piano. Możemy zatem zgadywać, że trudno byłoby mu przyzwyczaić się do potężnego, grzmiącego fortepianu skonstruowanego na użytek największych sal koncertowych, podobnie jak do atmosfery zazwyczaj w nich panującej.



Fortepian John Broadwood & Sons (lata 40. XIX w.)

Skoro – nie bez pewnej zuchwałości – zakładamy, że konfrontacja z instrumentami współczesnymi byłaby dla Chopina co najmniej zaskakująca (wierzymy, że słabe zdrowie nie przyprawiłoby go o utratę przytomności) – jak to się dzieje, że jego kompozycje brzmią na konstruowanych dziś fortepianach tak znakomicie? Intuicja podpowiada mi, że podobnie jak w przypadku Bacha, którego muzyka może brzmieć doskonale zarówno w wykonaniu orkiestry historycznej, jak i zespołu syntezatorów – jest to po prostu kwestia geniuszu. Wracając jednak do naszej myślowej spekulacji – być może (i wielce prawdopodobne), że Chopin, otrząsnąwszy się po pierwszym szoku, w równie genialny sposób eksplorowałby brzmienie fortepianów Bechstein, Yamaha, Shigeru Kawai, Fazioli czy Steinway & Sons (bo te marki mogliśmy usłyszeć na ostatnim konkursie) co Buchholtza, Pleyela czy Érarda. Pamiętajmy jednak, że tak jak kontakt z rękopisem ulubionego pisarza trwale zmienia doświadczenie odbioru jego utworów, tak dotknięcie autentycznej aury brzmieniowej czasów Chopina za pośrednictwem historycznych

fortepianów – także tych warszawskich! – może wpłynąć na nasze wyobrażenia dotyczące Chopinowskich arcydzieł w niepomiaralnym stopniu. Chopin nie zasiadł do instrumentu współczesnego, za to my możemy przysłuchiwać się do woli tym fortepianom, na których grał. I z całą pewnością będzie to szalenie odświeżające doświadczenie po intensywnym czasie konkursowym. 🍷

dr Michał Bruliński – pianista, historyk, literaturoznawca, badacz kultury; adiunkt na Wydziale Nauk o Kulturze i Sztuce Uniwersytetu Warszawskiego, wykładowca na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina, badacz społecznej historii fortepianu



UTW na Dniach Seniora w Warszawie, 2025 r.

By dodawać życia do lat

12 listopada minęła 50. rocznica powstania pierwszego w Polsce i trzeciego na świecie Uniwersytetu Trzeciego Wieku im. Haliny Szwarec w Warszawie. O działalności i specyfice podobnych placówek z członkiem zarządu UTW Magdaleną Dąbrowiecką rozmawia Marcin Mierzejewski.

Skąd wzięła się idea uniwersytetów trzeciego wieku?

Ta idea narodziła się we Francji, a jej pomysłodawcą był profesor Pierre Vellas, który założył pierwszy taki uniwersytet w Tuluzie w 1973 r. Dwa lata później, w listopadzie 1975 r., powstał nasz uniwersytet, jako pierwszy w Polsce i trzeci na świecie. Założyła go Halina Szwarec – profesor medycyny i gerontolog – której imię obecnie nosimy. Od tego czasu uniwersytet konsekwentnie realizuje motto swojej założycielki: „By dodawać życia do ➔



lat, a nie tylko lat do życia”. Pani profesor Szwarc była bardzo wymagająca jeśli chodzi o poziom merytoryczny zajęć i nie szła na żadne kompromisy. Zapraszani wykładowcy reprezentowali najwyższą klasę, jak inauguracyjną działalność UTW prof. Aleksander Gieysztor. My staramy się tę ideę kontynuować.

Ilu słuchaczy i w jakim wieku ma obecnie państwa uniwersytet?

Obecnie mamy ponad 400 słuchaczy. Najliczniej reprezentowana jest grupa osób po siedemdziesiątce i, co może być zaskakujące, to właśnie oni są najaktywniejsi zarówno jeśli chodzi o udział w zajęciach, jak i działalność wolontariacką. Mamy też słuchaczki 90+, które nadal regularnie przychodzą na wykłady i biorą udział w życiu uniwersytetu. Najmłodszymi uczestnikami są natomiast świeżo upieczeni emeryci ok. 60. roku życia.

Jaka jest tematyka wykładów?

Bardzo różnorodna. Działamy przy Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego i, niejako z definicji, dużo mówimy o zdrowiu, medycynie, profilaktyce. Ale mamy też wykłady z literatury, historii sztuki, etyki, psychologii, prawa. Lubimy wykłady o poetach i poezji, którą interpretuje i omawia z nami cudowna pani dr Eliza Kącka, laureatka tegorocznej Nagrody Nike. Prof. Andrzej Fabianowski prowadzi cykl o literaturze polskiej.

Ponieważ żyjemy tu i teraz i interesujemy się współczesnością, rozmawiamy o tym, co się dzieje w życiu, w polityce, Polsce, Europie. Naszymi stałymi wykładowcami są wnikliwi komentatorzy wydarzeń społecznych i politycznych, m.in. prof. Stanisław Obirek, teolog, antropolog kultury i historyk, oraz prof. Arkadiusz Stempin, historyk i politolog.

Tematyka jest właściwie nieograniczona. Mieliśmy cykl wykładów o kosmosie, była geografia, religioznawstwo. Staramy się też dobierać tematy w zależności od tego, co się aktualnie dzieje w kraju i na świecie. Jak były powódzie, zaprosiliśmy profesora hydrologii, jak były wybory parlamentarne – pojawił się profesor badający zachowania wyborcze Polaków. Nie zapominamy o cyberbezpieczeństwie, to dla seniorów niezwykle ważna wiedza. Oprócz wykładów są też zajęcia ruchowe, wyjścia na basen, ćwiczenia pamięci, zajęcia tai chi, próby chóru, plenery malarskie, seminaria...



▲ UTW na Dniach Seniora w Warszawie, 2025 r.

◀ Honorowa prezes UTW Irena Moskal



Na czym polegają seminaria?

To zajęcia edukacyjne w mniejszych grupach, przygotowywane nie przez nas, tylko przez takie miejsca na mapie Warszawy, jak Zamek Królewski, Polska Akademia Nauk, Muzeum Narodowe oraz inne muzea: Literatury, Warszawy, Azji i Pacyfiku. Te instytucje organizują spotkania, podczas których dzielą się wiedzą na tematy związane z ich działalnością.

Gdzie odbywają się wykłady?

Wykłady odbywają się w poniedziałki i czwartki w przepięknej auli Magna, której użycza nam nasza macierzysta uczelnia – Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. Aula została dwa lata temu wyremontowana i prezentuje się wspaniale. To duża aula o typowo uniwersyteckim charakterze. Myślę, że to ważne i dla słuchaczy, i dla wykładowców, że mamy pierwszorzędne nagłośnienie, ogromny ekran i komfortowe fotele.

Czy uczestnictwo w zajęciach uniwersytetu trzeciego wieku jest płatne?

Tak, udział jest odpłatny, a wysokość składki w tym roku uległa podwyższeniu. W nowym roku akademickim opłata wynosi 250 zł, natomiast wcześniej było to 220 zł. Jesteśmy świadomi, że dla wielu osób starszych to znacząca kwota. Te opłaty nie wystarczają jednak na pokrycie wszystkich kosztów UTW. Dlatego staramy się o dotacje. Bardzo pomaga nam tu miasto Warszawa, dużo zawdzięczamy też Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. Nie tylko udostępnia nam aulę, ale także lokal na nasze biuro i pomieszczenia na warsztaty i zajęcia ruchowe, wspiera w publikacjach, w sprawach technicznych i organizacyjnych, a przede wszystkim programowych i edukacyjnych. Gościmy na naszych wykładach wielu nauczycieli akademickich z CMKP, a prof. Wojciech Bik, pełnomocnik dyrektora CMKP ds. Uniwersytetu Trzeciego Wieku, przewodniczy naszej Radzie Programowej.

Z jaką motywacją i z jakimi oczekiwaniami przychodzą do państwa słuchacze?

Trudno na to jednoznacznie odpowiedzieć. Mogę powiedzieć, z jaką motywacją przyszedł ja, jako słuchaczka, myślę, że część osób ma podobną. A zapisałam się z trzech powodów. Przede wszystkim po to, by nie popaść w stagnację, żeby nadal się rozwijać, poszerzać horyzonty, dowiadywać się więcej o życiu i świecie. Czuję, że ta potrzeba jest we mnie nadal bardzo silna. Drugim, niezwykle ważnym dla mnie – i pewnie dla wielu słuchaczy – powodem jest możliwość dawania czegoś od siebie. Mam poczucie, że sporo od życia dostałam, i mam potrzebę, żeby to w jakiś sposób oddać. Warto wiedzieć, że wszystkie osoby w zarządzie i słuchacze, którzy organizują uniwersyteckie eventy, spotkania, wycieczki, wyjazdy to osoby, które pracują bez wynagrodzenia. I jest ich na uniwersytecie sporo, myślę, że 10–20 proc. słuchaczy to osoby społecznie zaangażowane, aktywne, które współtworzą społeczność wolontariacką i czerpią z tego satysfakcję. Wolontariusze, a właściwie wolontariuszki, bo przeważają jednak kobiety, zajmują się udziałem słuchaczy w seminariach, organizują wyjścia do teatru, wycieczki, piszą relacje, które potem umieszczamy w mediach społecznościowych. Mamy wśród słuchaczy osoby, które mają jakieś swoje hobby i próbują zainteresować nim innych albo wykorzystują swoje umiejętności zawodowe w działalności UTW. Wiele z nich przez całe życie zawodowe było aktywnych, pracowało z ludźmi, prowadziło różnego rodzaju projekty albo pełniło funkcje społeczne. Teraz te

doświadczenia po prostu przekładają na działalność na uniwersytecie.

Dzisiaj wiedzę można czerpać z różnych źródeł. Co jest takiego wyjątkowego w UTW, że chce się w jego programie uczestniczyć?

Najważniejsze, mam nadzieję, że to nie tylko moja ocena, jest poczucie wspólnoty. Oczywiście liczy się zdobywanie wiedzy czy możliwość spędzania czasu w ciekawy sposób, ale to właśnie poczucie przynależności jest czymś wyjątkowym. Przy tym ważne jest tu uczucie, że w ten poniedziałek czy czwartek wiem, dokąd idę i co będę robić, że mogę pogadać o tym, co nas zainteresowało na wykładzie, podzielić się wrażeniami, po prostu być wśród ludzi.

Dla wielu seniorów to ma ogromne znaczenie. I właśnie to sprawia, że uniwersytet staje się czymś znacznie więcej niż tylko miejscem nauki. To jest ten trzeci powód, dla którego ja związałam się z UTW po zakończeniu pracy zawodowej. Środowisko, w którym przez lata pracowałam i którego byłam częścią, z czasem przestało być dla mnie naturalnym punktem odniesienia. I w oczywisty sposób pojawiła się potrzeba, aby znaleźć coś nowego, co daje sens i satysfakcję. Myślę, że to przyciąga ludzi do uniwersytetów trzeciego wieku.

W środowisku uniwersytetu być może nieco trudniej odnaleźć się panom, którzy stanowią u nas tylko 9 proc. słuchaczy. Ale oni również tworzą swoje małe środowisko, szukają swojego miejsca, założyli np. klub brydżowy. Mamy wśród nich paru bardzo aktywnych. Niewielki udział mężczyzn jest zresztą charakterystyczny dla wszystkich uniwersytetów trzeciego wieku. Są badania, które wskazują, że kobiety częściej odczuwają potrzebę przynależności do grupy i budowania więzi.

Tort jubileuszowy z okazji 50-lecia UTW – prezes Ewa Mańkowska i honorowa prezes Irena Moskal





Plener malarski w Błędownie

Kto może zostać studentem uniwersytetu?

Kryteria nie są skomplikowane. Studentem może zostać każda osoba, która jest emerytem lub rencistą i wniesie wpisowe oraz opłatę członkowską.

Czy te niewygórowane kryteria oznaczają, że jest więcej chętnych niż miejsc?

Nie, nie mamy rekrutacji ani egzaminów wstępnych, jeśli o to pan pyta. Kiedyś było inaczej. Kiedy nasz Uniwersytet był jedynym UTW w Warszawie, czyli do połowy lat 80., rzeczywiście mieliśmy tak wielu chętnych, że tworzyła się kolejka. Dziś sytuacja wygląda inaczej. W samej Warszawie działa prawie 40 UTW i ludzie często szukają uczelni po sąsiedzku – nie chcą jeździć na zajęcia przez całe miasto. Poza tym zdarzyła się pandemia, która bardzo nas dotknęła. Straciliśmy wówczas wielu słuchaczy, część bezpowrotnie, a część zrezygnowała, bo uniwersytet zawiesił działalność i potem nie wszyscy wrócili. W najtrudniejszym momencie mieliśmy tylko 200 członków. Teraz powoli, ale konsekwentnie odbudowujemy naszą społeczność po tym kryzysie. Dziś jest nas ponad 400 i uważamy, że to świetny wynik. Podsumowując – nie prowadzimy żadnej selekcji i każdy, kto chce do nas dołączyć, jest mile widziany.

Na jaki okres są przyjmowani słuchacze?

Uczestnictwo odnawia się co roku. Wstępując do UTW, opłaca się wpisowe i składkę członkowską, która obowiązuje przez jeden rok akademicki. Potem członkostwo wystarczy przedłużyć. Mamy słuchaczy, którzy są u nas 25 lat.

Ile UTW działa dziś w Polsce?

W tym roku świętujemy 50-lecie naszego uniwersytetu, a równocześnie 50-lecie całego ruchu uniwersytetów

trzeciego wieku w Polsce. W ciągu tych lat ta idea rozwinęła się na niespotykaną gdzie indziej skalę i obecnie działa w całym kraju około 700 uniwersytetów.

Kim była Halina Szwarc, założycielka państwa uniwersytetu?

Halina Szwarc była niezwykle postacią i w naszym środowisku zajmuje miejsce wyjątkowe. W czasie II wojny światowej działała jako najmłodsza agentka konspiracyjnego wywiadu Armii Krajowej. Po wojnie przez pewien czas szukała dla siebie miejsca, działalność w AK nie była wówczas atutem, przeciwnie, zamykała wiele drzwi. Ostatecznie odnalazła swoją drogę w nauce, w medycynie, konkretnie w gerontologii, dziedzinie, która była wówczas mało znana i niedoceniana. Z jej badań naukowych wynikało, że potrzeba rozwoju nie kończy się wraz z momentem przejścia na emeryturę, że człowiek może i chce uczyć się przez całe życie. Z tego jej przekonania i z jej rozmów w Pierre'em Vellasem, twórcą idei uniwersytetów trzeciego wieku, z którym spotykała się na kongresach naukowych, zrodził się pomysł utworzenia takiej placówki w Polsce.

Idea uniwersytetów miała więc podbudowę naukową. Równie ważna była osobowość prof. Szwarc – a była osobą aktywną, energiczną, społecznie zaangażowaną. Uważała, że osoby starsze nie tylko mogą rozwijać się intelektualnie, ale także mają ogromny potencjał, by dzielić się swoim doświadczeniem i wiedzą z innymi. Że nie tylko biorą, ale mogą też dawać.

Pamiętajmy, że rok 1975 to był środek epoki gierkowskiej i inicjatywy pochodzące z Zachodu traktowano z podejrzliwością. Byliśmy wtedy raczej zapatrzeni w innym kierunku. Prof. Szwarc była jednak osobą nieustępliwą i konsekwentną i „wychodziła” sprawę uniwersytetu w różnych gabinetach ówczesnej władzy, przekonując

kolejnych urzędników do tego pomysłu. Pomogło też wsparcie prof. Bohdana Lewartowskiego, ówczesnego dyrektora Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, gdzie sama pracowała. Ta historia nie jest zresztą najlepiej opisana, znamy ją głównie z rozproszonych wspomnień uczestników tamtych wydarzeń.

Pani profesor miała świadomość, że jeden uniwersytet to za mało. Jeździła po Polsce i namawiała wiele osób, które mogły być pomocne, do podjęcia podobnej inicjatywy. W ciągu kolejnych pięciu lat, do 1980 r., powstało osiem placówek, w tym we Wrocławiu, Poznaniu, Łodzi, Szczecinie, Rzeszowie. Halina Szwarz umiała gromadzić wokół siebie ludzi, którym się chciało. Dzięki jej staraniom w 2001 r. działały w Polsce już 23 uniwersytety. Pani profesor zmarła rok później, ale zostawiła po sobie ruch, który rozwijał się dalej.

Idea uniwersytetów trzeciego wieku rozlała się po całym świecie.

To prawda, działają one dziś pod każdą szerokością geograficzną. Istnieją różne modele: brytyjski, oparty na samokształceniu, i francuski, zakładający wsparcie wyższej uczelni. Mówi się też o polskim fenomenie uniwersytetów trzeciego wieku. U nas jest ich bardzo dużo i wiele działa przy uczelniach, dzięki czemu słuchacze mają dostęp do profesorów, specjalistów i wysokiego poziomu merytorycznego. W mniejszych miejscowościach, gdzie nie ma takich możliwości, związane są z samorządami albo są inicjatywami oddolnymi. One również działają świetnie, choć trochę inaczej.

Dla nas uniwersytet trzeciego wieku, oprócz wspólnoty, to przede wszystkim miejsce rozwoju intelektualnego. Zależy nam na wysokim poziomie, na ambitnym programie, na poważnym traktowaniu słuchaczy. Aż 60 proc. naszych słuchaczy ma wyższe wykształcenie, a 40 proc. średnie. Jest to więc działalność adresowana



Profesor Halina Szwarz – założycielka pierwszego UTW w Polsce

do osób, które mają świadomość wartości edukacji i czują potrzebę dalszego rozwoju. Nasi słuchacze nie przychodzą tu z obowiązku ani dla zaliczenia – tylko po to, by naprawdę czegoś się dowiedzieć, porozmawiać, podyskutować. Profesorowie bardzo to cenią i lubią do nas wracać, bo spotykają tu ludzi ciekawych świata i gotowych do rozmowy.

I to jest właśnie sens uniwersytetu trzeciego wieku: wspólnota, rozwój i radość z bycia wśród ludzi, którzy wciąż chcą się uczyć. 🍷

Wycieczka do Pragi, 2023 r.



60 lat Pawiaka

W tym roku obchodzimy jubileusz 60-lecia działalności muzeum, które jest kustoszem pamięci o ofiarach II wojny światowej – więźniach Pawiaka.

Muzeum Więzienia Pawiak, oddział Muzeum Niepodległości w Warszawie, znajduje się przy ul. Dzielnej 24/26. W latach 1939–1944 Pawiak był największym niemieckim więzieniem politycznym na terenie okupowanej Polski. Według szacunków historyków przeszło przez nie ok. 100 tys. ludzi. Pawiak był związany z siedzibą Gestapo w al. Szucha, gdzie obecnie znajduje się filia Muzeum Więzienia Pawiak – Mauzoleum Walki i Męczeństwa.

Pawiak jest symbolem ogromnego cierpienia, terroru, ale przede wszystkim oporu wobec okupanta. Około 37 tys. więźniów rozstrzelano w zbiorowych egzekucjach na terenie Warszawy i okolic, w tzw. warszawskim pierścieniu śmierci. Ponad 60 tys. więźniów wysłano transportami kolejowymi do obozów koncentracyjnych i obozów pracy rozsianych na terenie okupowanej Polski i III Rzeszy – Auschwitz, Stutthof, Mauthausen-Gusen, Gross-Rosen, Dachau, Ravensbrück i Buchenwald.

Więźniami Pawiaka byli ludzie wywodzący się ze wszystkich środowisk społecznych i zawodowych, reprezentujący wszystkie wyznania chrześcijańskie. Wśród osadzonych nie brakowało działaczy politycznych, ludzi kultury i sztuki, oficerów Wojska Polskiego, duchowieństwa. Na Pawiak przywożono także zwykłych ludzi aresztowanych podczas tzw. łapanek. Nie sposób wymienić wszystkich, ale warto przywołać kilka osób spośród tysięcy – na Pawiaku więzieni byli m.in. Stefan Starzyński – prezydent Warszawy, Maciej Rataj – marszałek sejmu, Janusz Kusociński – lekkoatleta, złoty medalista olimpijski z Los Angeles z 1932 r., Janusz Korczak (Henryk Goldszmit) – lekarz, pedagog, zamordowany w Treblince, Stefan Jaracz – aktor filmowy i teatralny, twórca warszawskiego Teatru Ateneum. Wśród kobiet więzionych na ul. Dzielnej były m.in. Zofia Kossak-Szczucka – powieściopisarka, współzałożycielka dwóch tajnych organizacji w okupowanej Polsce: Frontu Odrodzenia Polski oraz Rady Pomocy Żydom Żegota, aktorka Alina Janowska, Natalia Hiszpańska – architekt, harcmistrzyni, zastępca szefa Wydziału Wywiadu Przemysłowego Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej. Wyjątkowe miejsce wśród więźniarek zajmuje Zofia Pociłowska-Kann – rzeźbiarka,

portrecistka, poetka, członkini ZWZ, autorka wielu rzeźb prezentowanych na ekspozycji w Muzeum Więzienia Pawiak oraz pomnika na dziedzińcu muzeum poświęconego ofiarom Pawiaka. W sierpniu 1944 r. Pawiak podzielił los całej stolicy. Po przeprowadzeniu ewakuacji więźniów Niemcy zaminowali teren i wysadzili kompleks więzienny. Do dziś pozostał fragment filara bramy wjazdowej oraz elementy ścian przyziemia. Po zakończeniu II wojny światowej przez 20 lat teren po Pawiaku był miejscem pamięci. Przychodzili tu bliscy ofiar, byli więźniowie oraz zwykli warszawiacy, aby wspólnie oddać cześć zamęczo-



nym w tych murach. 28 listopada 1965 r. staraniem byłych więźniów Pawiaka i mieszkańców Warszawy Muzeum Więzienia Pawiak zostało otwarte. Od 1990 r. muzeum wraz z filią – Mauzoleum Walki i Męczeństwa – jest oddziałem Muzeum Niepodległości w Warszawie. Wraz z przynależnym terenem zajmuje 50 proc. obszaru historycznych zabudowań Pawiaka.

W związku z jubileuszem Sali Odczytowej Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi przy Krakowskim Przedmieściu 66 odbyła się uroczysta gala, która uhonorowała przede wszystkim nielicznych już żyjących więźniów Pawiaka, w tym m.in. stułetniego Stanisława Zalewskiego – więźnia Pawiaka, obozów koncentracyjnych i prezesa zarządu głównego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Podczas uroczystości byli więźniowie otrzymali medale rocznicowe, wygłoszono okolicznościowe przemówienia oraz odbył się koncert Orkiestry Kameralnej Filharmonii Narodowej w Warszawie pod dyktando Jana Lewtaka, która wykonała utwory dawne i współczesne kompozytorów polskich i obcych. ●

Poczuj Łazienki

Dlaczego tak lubimy Park Łazienkowski? Wszyscy, warszawiacy i przyjezdni. Co nas w nich urzeka? Refleksję na ten temat proponuje wystawa czasowa *Łazienki w zachwycie* w Łazienkach Królewskich. Główną ideą jest ukazanie tego, co wpływa na nasze wrażenia podczas przebywania w Łazienkach. Wystawa prezentuje dawne królewskie ogrody, architekturę i zgromadzone tu dzieła sztuki, ale też pobudza do aktywności nasze zmysły. Ekspozycja została bowiem zaprojektowana tak, by można było poznawać ją wieloma zmysłami – wzrokiem, słuchem, dotykiem i węchem. Tworzą ją przestrzenie poświęcone istotnym elementom, które niegdyś złożyły się na historię Łazienek, a dziś budują nasze wrażenia podczas każdej wizyty w tej dawnej królewskiej rezydencji. To m.in. zapach, sztuki wizualne, literatura, teatr, muzyka, relacje, natura, ruch, a także jedzenie, gdzie pojawia się interesujący wątek królewskiego kucharza Paula Tremo. Na ekspozycji znalazły się zarówno dzieła sztuki, jak i ich repliki, których można dotykać. Można też dotykać wypukłych ornamentów i detali żyrandola z Pałacu na Wyspie, które pod wpływem dotyku rozświetlają się ciepłym, złotym światłem. Ponadto znajdziemy tu modele zwierząt do poznawania sensorycznego, fotografie oraz wiele innych eksponatów, które pomogą doświadczyć Łazienek sprzed wieków, gdy na alejkach można było usłyszeć stukot końskich kopyt. Wystawę uzupełnia



bezpłatny audioprzewodnik w językach polskim i angielskim, z którego można skorzystać przez stronę internetową muzeum. Wystawie czasowej w Podchorążówce towarzyszy plenerowa ekspozycja zdjęć wykonanych przez fotografów przyrody, przedstawiająca najciekawsze łazienkowskie zwierzęta. Wystawę można oglądać w galerii plenerowej przy Agrykoli (w pobliżu Pałacu na Wyspie) w czasie trwania wystawy głównej. **Do 15 marca 2026 r.** ●

Jeszcze raz rok 1905

Muzeum Niepodległości zaprasza do głównej siedziby w al. Solidarności na wystawę pt. *W was była Polska*. Jej tytuł wzięto od pierwszych słów wyrytych na obelisku znajdującym się w Łanietach (pow. kutnowski): „W was była Polska/ I mowa Ojczyzna/ I wiara



w przodków naszych”. W miejscowości tej w marcu 1905 r. doszło do masakry robotników folwarcznych. Życie straciło 12, a rannych zostało 15 bezbronnym uczestników protestu. Nawiązanie do tego wydarzenia ma na celu zasygnalizowanie szerszego kontekstu społecznego, którym w 1905 r. ogarnięta została nie tylko klasa robotnicza, ale też masy chłopskie, drobnomieszczaństwo, znaczne odłamy zawodowej inteligencji, czy też przedstawiciele wolnych zawodów. Ich wspólnym dążeniem był opór przeciw narodowemu uciskowi oraz pełnej rusyfikacji szkół i urzędów. Podczas działań rewolucyjnych ujawniły się zarówno więzi solidarności klasowej, jak też pozostające dotąd w ukryciu i w pełni nieuświadomione poczucie wspólnoty narodowej. Wystąpienia te w wielu opiniach kojarzą się z walką narodową. Wśród historyków często stawiane jest pytanie, czy wydarzenia 1905 r. były pierwszą rewolucją, czy też czwartym powstaniem. Na wystawie będą zaprezentowane artefakty pochodzące ze zbiorów Muzeum Niepodległości. Zasadniczą narrację stanowić będą obrazy oraz grafiki odnoszące się do wydarzeń rewolucji 1905 r. **Wystawa *W was była Polska* będzie prezentowana do wiosny 2026 r.** ●

Wielką galą transmitowaną przez TVP 1 i TVP Kultura Teatr Wielki – Opera Narodowa obchodził podwójny jubileusz – 200-lecia wmurowania kamienia węgielnego oraz 60-lecia otwarcia gmachu odbudowanego po zniszczeniach wojennych. Największą gwiazdą wieczoru była Aleksandra Kurzak, a obok niej Andrzej Filończyk, Piotr Buszewski, Rafał Siwek oraz Jakub Józef Orliński – kontratenor, który razem z Grżyną Torbicką prowadził koncert.

Laureatem tegorocznej Nagrody Klio za pozycję varsavianistyczną został Krzysztof Mordyński. *MDM. Marszałkowska Dzielnica Marzeń* jest drugą jego książką z Nagrodą Klio. W 2021 r. jury nagrodiło Sny o Warszawie. *Wizje przebudowy miasta 1945-1952*. Warto dodać, iż w tegorocznym Ogólnopolskim Przeglądzie Książki Turystycznej w kat. monografie książka o MDM-ie otrzymała III nagrodę dla wydawcy Centrum Architektury. W poprzednim numerze magazynu STOLICA opublikowaliśmy duży wywiad z autorem.

Jan Klata w Teatrze Narodowym zainaugurował swoją dyрекcję pierwszą premierą – dramatem Tadeusza Micińskiego *Termopile polskie*. Występują m.in. Danna Stena, Karolina Stępień, Jan Frycz, Jerzy Radziwiłowicz, Oskar Hamerski, Karol Pocheć. Klata już po raz drugi sięgnął po ten utwór – w 2014 r. wystawił go Teatr Polski we Wrocławiu.

Warszawska Opera Kameralna kończy rok trzema mocnymi akcentami. 20 listopada obydła się premiera *Cyrulika sewilskiego* Gioacchina Rossiniego w reż. Grzegorza Chrapkiewicza. Również w listopadzie w Basenie Artystycznym odbyła się premiera kolejnej płyty z cyklu Jazz z MACV – w roli głównej wystąpił Filip Wojciechowski. Premiera grudniowa to *Zaginione kołody* – musical familijny Jerzego Wołosia (libretto, muzyka). ●



Luna będzie nowocześniejsza

Kino studyjne Luna wróciło na mapę kulturalnej stolicy w marcu br., a już niedługo czekają je kolejne duże zmiany.

Z końcem października została podpisana umowa na przygotowanie projektu modernizacji kina. Przestrzeń zostanie przebudowana, a przede wszystkim czeka ją modernizacja infrastruktury technicznej. Budynek będzie dostępny dla osób z ograniczeniami ruchu i niepełnosprawnościami. Powstaną trzy zupełnie nowe sale kinowe. Tymczasem kino Luna działa i gra siedem dni w tygodniu. Gości liczne festiwale filmowe i zapraszana na wartościowe seanse i wydarzenia: cykle filmowe, spotkania z aktorami i twórcami, a także do wspólnego przeżywania wydarzeń specjalnych, np. mikołajek czy zimy w mieście. Luna zaprasza odbiorców z różnych grup, od maluchów na Kosmiczne Poranki po seniorów, których szczególnie zapraszamy na cykl Kino Seniora w każdy poniedziałek o 12.00. ●

500 lat kobiecej sztuki

Muzeum Sztuki Nowoczesnej otworzyło dwie wystawy poświęcone Twórczości kobiet *Kwestia kobieca* i *Miasto kobiet*. Zgromadziło prace malarskie, rzeźbiarskie, fotograficzne, także projekty instalacyjne ponad 200 artystek z całego świata – od Artemisii Gentileschi i Angeliki Kauffmann przez Tamarę Łempicką, Fridę Kahlo i Evę Hesse po Marlene Dumas i Yoko Ono. Na wystawie zostaną zaprezentowane zarówno dzieła najnowsze, jak i obrazy twórczyń renesansowych, barokowych i XIX-wiecznych, a także współczesnych – i poprzez ich prace przedstawić na nowo opowieść o historii sztuki.

Publiczność ma okazję zobaczyć nigdy wcześniej nieprezentowane w Polsce prace wypożyczone z wielu światowych instytucji: Galerii Uffizi we Florencji, katarskiego Mathaf: Arab Museum of Modern Art, Nasjonalmuseet w Oslo czy Städtische Galerie im Lenbachhaus und Kunstbau w Monachium. **Obie wystawy można oglądać do 3 maja 2026 r.** ●

Betty Tompkins, *Kobiety Słowa* (Artemisia Gentileschi #2),



Diabeł tkwi w detalach

Diabeł siedzi w szczegółach, albo – jak powiedzieliby entuzjaści zabytkowej architektury – w detalach! Rozpoznanie i inwentaryzacja balkonów, odbojów, balustrad, posadzek, sztukaterii, pieców i innych elementów wystroju warszawskich kamienic, budynków użyteczności publicznej i przemysłowych wzniesionych do 1939 r. prowadzą skupieni wokół warszawskiej Fundacji Hereditas przeszkoleni dorośli wolontariusze, działający pod kierunkiem specjalistów: historyków sztuki, architektów, konserwatorów zabytków. Pozyskana w terenie dokumentacja fotograficzna i opisowa trafia do internetowej



bazy Lapidarium Detalu Architektonicznego na stronie lapidarium.fundacja-hereditas.pl. Obecnie w bazie, prowadzonej od 2016 r. i cały czas uzupełnianej, w 2025 r. m.in. w ramach projektu „Akademia Opiekunów Dziedzictwa VI”, znajduje się blisko 17 tys. zdjęć z ok. 400 obiektów z Warszawy i kilku innych wybranych miast Mazowsza! Fundacja zaprasza do korzystania z bazy oraz do współpracy przy dokumentowaniu detalu wszystkich pasjonatów warszawskiej architektury. ●

Rolke w Zodiaku

Warszawskim Pawilonie Architektury Zodiak wystawa fotografii Tadeusza Rolkego pt. *Dzień bez kalendarza*. To pierwsza indywidualna prezentacja po śmierci artysty, ukazująca wybór 14 prac z jego ostatniego projektu fotograficznego. Wystawie będą towarzyszyć spotkania i wykłady poświęcone fotografii i Warszawie.



Na wystawie zgromadzono również zdjęcia Tadeusza Rolkego z lat 1956–2024 wybrane z jego archiwum i zestawione tak, jak lubił to robić – łączyć fotografie z różnych czasów i w różnych kontekstach. Dzięki takim połączeniom tworzy się dialog między obrazami, który pozwala opowiedzieć nowe historie.

Tadeusz Rolke (1929–2025) to jeden z najbardziej uznanych polskich fotografów. Pochodził z Warszawy, z którą pozostał związany przez całe życie. Studiował historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a pierwsze zawodowe doświadczenia zdobywał jako fotoreporter tygodnika „Stolica”.

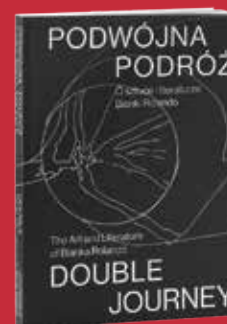
Kuratorką jest Olga Guzik-Podlowska, a organizatorami wystawy Fundacja im. Tadeusza Rolke, Festiwal ZORZA i miasto stołeczne Warszawa. **Do 18 stycznia 2026 r.** ●

sklep internetowy

sklep.mik.waw.pl
kulturalne prezenty



**20% taniej
z kodem
PREZENT**
1–14.12



Spacer szlakiem warszawskiej przyrody

Ze Stanisławem Łubieńskim, autorem książek o warszawskiej przyrodzie, rozmawia Mateusz Kaczyński

Wybraliśmy się na spacer szlakiem miejskiej przyrody, żeby porozmawiać o spotkaniach z nią. Opisujesz je w swojej najnowszej książce. Zaczniemy jednak od miejsca, w którym jesteśmy, bo chodzimy w Porcie Praskim. To taka enklawa przyrody, której w zasadzie może zaraz nie być.

Ona raczej się zachowa. Plany udostępnione przez dewelopera wskazują na to, że dużo tej przyrody zostanie zachowane. Oczywiście część terenu będzie przeznaczona pod zabudowę mieszkaniową, ale część ma być świadomie pozostawiona jako naturalny park. Bardzo cieszę się z tego, bo to trochę takie inne podejście, nie polegające na wyzyskiwaniu przestrzeni w stu procentach i stawianiu budynków od płotu do płotu, tylko właśnie pozostawieniu terenu jaki jest, zwłaszcza że on jest cenny, naprawdę cenny. To po prostu kawałek naturalnego wiślanego łęgu, czyli czegoś, z czego jesteśmy w Warszawie bardzo dumni. Takie nadrzeczne lasy z topolami i wierzbami nie zachowały się prawie nigdzie w Europie.

Port Praski to takie miejsce, w którym przecina się wiele narracji. Podobnie jest w twojej nowej książce *Drugie życie czarnego kota*, która jest nie tylko o kotach, ale też o ptakach i w ogóle o przyrodzie w mieście. Zabierasz czytelników do takich miejsc jak Port Praski, gdzie nieoczekiwanie można natknąć się na dziką naturę. Zaczniemy od Lasu Bielańskiego, bo odkryłeś przed czytelnikami jedyną istotę na świecie, która ma w swojej nazwie część Warszawy.

Tak, faktycznym odkrywcą był Aleksander Waga 150 lat temu. To jest świetna historia o takim bardzo małym bezkręgowcu, który nazywa się czworoząb bielański

i żyje w wilgotnych kłodach martwego drewna, które leżą w lasach. Nie bardzo wiadomo, jak on się tam znalazł, bo to gatunek znany z górskich lokalizacji – ja na przykład spotkałem go w Górach Sowich. Pierwszy raz opisano go na podstawie osobników znalezionych w Lesie Bielańskim i nadano mu właśnie oficjalną nazwę naukową *Tetrodontophora bielanensis*, czyli czworoząb bielański. Czworoząb tam cały czas żyje, można go zobaczyć, jak się ma trochę szczęścia. W ogóle Las Bielański jest bardzo ciekawy, bo to faktycznie niespotykany przykład puszczy w środku miasta. Słowo puszcza traktuję poważnie, czuję jego wagę, bo dużo jeżdżę do Puszczy Białowieskiej. Puszczaństwo zakłada naturalny charakter lasu, a takich lasów w Polsce zachowało się bardzo niewiele, zwłaszcza na nizinach. Las Bielański, który jest w Warszawie, nigdy nie został wycięty i posadzony na nowo, żyją tam w nim organizmy, które wskazują, że on tam trwa od tysięcy lat. Dlaczego? Polowali tam książęta i królowie, później urzędował zakon kamedułów, potem był to teren wojskowy. To uratowało go przed wykorzystaniem gospodarczym. Wspaniałe zjawisko na skalę jeśli nie światową, to na pewno europejską.

Przykładów takiej przyrody w twojej książce można znaleźć więcej, bo poza takimi enklawami jak Las Bielański wynajdujesz pradawne drzewa, które rosną na podwórkach albo malutkich skwerach i nagle okazuje się, że można je odnaleźć na przykład na mapie Lindleya sprzed stu lat.

Bardzo interesuje mnie ten styk przyrody i historii. Najbardziej się cieszę, kiedy mogę tropić jakąś historię z przeszłości. Mapy lindleyowskie są niesamowite,



Stanisław Łubieński

odwzorowały miasto – co jest naprawdę ewenementem – razem z zielenią. Można więc zobaczyć zieloną kropkę w miejscu, gdzie wciąż rośnie stare drzewo. Na przykład możemy sobie sprawdzić wiąz przy Pałacu Prymasowskim na Senatorskiej, on ciągle tam rośnie, nieprzerwanie od lat 70. XIX w. Albo dąb Geralt na Jagiellońskiej, który powinien zostać pomnikiem przyrody – rósł tam co najmniej od czasów Lindleya. Te stare drzewa to są wszechświaty. W ramach jednego organizmu powstaje niewyobrażalna ilość zależności ekologicznych, żyją w nich tysiące organizmów. Części się domyślamy, bo nie możemy zajrzeć pod korę, wysoko w koronę czy w korzenie. Każde z takich bardzo starych drzew to jest jakby taki samoistny, mikroskopijny w sumie rezerwat przyrody. Ponadto dzięki ogromnej powierzchni liści są wielkimi klimatyzatorami i filtrami powietrza.

Niesamowite jest też to, że jeżeli spojrzymy na historię Warszawy, to trudno nam sobie wyobrazić, że drzewo mogło bez szwanku przetrwać zniszczenia dwóch

wojen i stoi w nienaruszonym stanie do dzisiaj. Dalej rośnie, a budynki dookoła były kiedyś zgliszczami...

Absolutnie tak. To jest taka ciekawa perspektywa, że te drzewa są często dużo starsze niż architektura dookoła i że nie tylko przetrwały, ale one po prostu wyrosły, zanim miasto tam przyszło. Te, które przetrwały, są zatem jeszcze ciekawsze... O, pustka lata nad nami, tam nad drzewem. Przyleciała zapłować na tych ruderalnych przestrzeniach portu.

Z tej odległości po kształcie nie byłbym w stanie rozpoznać tego ptaka, ale zdam się na twoją ekspercką wiedzę. Muszę ci zaufać. Przejdźmy na chwilę do ptaków. Parę lat temu dostałeś nagrodę Nike publiczności za Dwanaście srok za ogon. Była to książka przede wszystkim o ptakach. W nowej książce sięgasz po więcej zwierząt: są i owady, różnego rodzaju insekty, mniejsze organizmy, psy i koty. Nie chcę wpisywać cię w jakiś szerszy trend, ale w ostatnim czasie wyszło wiele publikacji, zresztą bardzo fajnie się uzupełniających, które pokazują mikrokosmos przyrodniczego życia w mieście. Co cię skłoniło, żeby poszerzyć ten bestiariusz?

Tych publikacji nie ma aż tak wiele, jesteśmy zapóźnieni o dekady w stosunku do tradycji brytyjskiej czy niemieckiej. Interesuję się przyrodą miasta od dzieciństwa. Myślę, że tę książkę pisałem nie przez cztery czy pięć lat, tylko znacznie dłużej, wszystkie te obserwacje i przemyślenia gdzieś mi się zapisywały w głowie. Na ptakach znam się nieźle jak na człowieka bez wykształcenia kierunkowego. W tym mieście jest dużo ciekawej przyrody na wyciągnięcie ręki. Po prostu wystarczy wyjść przed dom, żeby coś ciekawego zobaczyć. Zacząłem interesować się drzewami. Poszedłem na kurs inspektora drzew, który uczy, jak ocenić, w jakim stanie jest drzewo, jakie zabiegi pielęgnacyjne można zalecić. Egzaminu na inspektora nie zdałem, ale strasznie się w te drzewa wkręciłem.

Zacząłem się bardziej rozglądać. Teraz łatwo się uczyć przyrody, bo są różne podręczne aplikacje, atlasy można kupić na jakimś serwisie aukcyjnym za grosze, zwłaszcza te starsze... zacząłem gromadzić książki. To, co lubię w pisaniu książek, to możliwość nauki. Samo pisanie, powiedziałbym, jest dyskusyjną przyjemnością, raczej kojarzy mi się z męczarnią. Jednak sam fakt, że dużo przy tej okazji czytasz i głowa ci po prostu paruje od tej wiedzy, którą zdobywasz, to bardzo ciekawy proces. I kiedy dowiadujesz się o grzybach, bezkręgowcach, tajemniczych śluzowcach, dużo wyraźniej widzisz te zależności, które łączą wszystkie organizmy. To daje dużo głębszy, bardziej trójwymiarowy obraz, kiedy nałożysz je na perspektywy tych organizmów. Zrobiłem taki krok naprzód, bo ptaki to była moja strefa komfortu. Pomyślałem, że spróbuję jednak wejść trochę w nie swoje buty i zobaczyć, jak się w nich poczuje.

Myszę, że wyszło ci to bardzo dobrze. Pytam o tę historię, bo teraz kiedy rozmawiamy, kończę właśnie studia varsavianistyczne. Praktycznie wszystkie wątki przyrodnicze, które poruszasz w swojej książce, są podparte odniesieniami do historii. I to jest bardzo ciekawa perspektywa, że można powiązać faunę i florę bezpośrednio z przyrodnikami i z konkretnymi postaciami czy wydarzeniami z dziejów Warszawy. Jednocześnie dajesz też inne spojrzenie – perspektywę codziennych scenek. Przyroda, która wyłazi ze szczelin w mieście, przyczynia się do interakcji międzyludzkich, np. drzewo rosnące w podwórku na Ochocie i zajmująca się nim wspólnota mieszkaniowa.

W *Dwunastu srokach za ogon* próbowałem połączyć perspektywę przyrodniczą z perspektywą kulturalną: wciągać tych, co się interesują ptakami, ale nie zwracają uwagi na malarstwo, i w drugą stronę; tym, co czytają literaturę, pokazywać przyrodę. W *Drugim życiu...* odkryłem ją jako łącznik z historią. Dużo ludzi się interesuje historią, dużo ludzi interesuje się miejscem, w którym żyją, ale są trochę ślepi na przyrodę. Po prostu zupełnie nie mamy w zwyczaju łączyć jednego z drugim, a przyroda dużo nam mówi o przeszłości.

Czy masz jakiś gatunek, który twoim zdaniem najlepiej opisuje stołeczną przyrodę na początku XXI w.?

Ciekawe pytanie. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale gdybym miał tak powiedzieć z głowy, to myślę, że takim gatunkiem jest wrona siwa. Superoczywisty ptak dla każdego warszawiaka, ale nie tak rozpowszechniony w innych miastach Polski. W niektórych regionach jest ich dużo mniej. A Warszawa, jak mówił mi doktor Michał Redlisiak, jest prawdopodobnie miejscem, gdzie występuje największa populacja wrony siwej ze wszystkich miast na świecie.

Na świecie?

To nie tak, że występuje ona na całym świecie. Żyje w pasie od Europy Centralnej po Ural i podobno w tej przestrzeni Warszawa jest najbardziej wronią metropolią.

Największe skupisko w Warszawie, czyli mamy jakiś kolejny przyrodniczy rekord, jeśli chodzi o Warszawę.

Pewnie znalazłoby się więcej. Wrony są pasjonujące, bo na ich przykładzie świetnie widać, jak inteligentne, elastyczne są krukowate i jak sprytnie potrafią korzystać z miasta.

Widziałem ostatnio filmik, w którym kruk niesamowicie radził sobie z narzędziami. Kombinował i był w stanie używać ich celowo, tak jakby ich używał człowiek, i to naprawdę...

A jakie to były narzędzia?

To znaczy on tam musiał włożyć patyczek, żeby wyciągnąć inny patyczek.

To jest ta wrona kaledońska.

To jest coś niesamowitego, bo kiedy myślimy o takim użyciu patyków, to do głowy przychodzi ten oklepany rysunek szympansa, który za pomocą patyczka wygrzebuje mrówki z dziury w ziemi. To było w wielu podręcznikach, a tu nagle...

...a tu nagle ptaszysko jakieś. Te ptaki są po prostu zjawiskowe, one naprawdę na wielu poziomach rozumieją zależności, potrafią myśleć abstrakcyjnie, planować i projektować. Wrona kaledońska to jest ptak, którego nie spotkamy w Polsce, ale są też filmy, jak sroka rozpoznaje swoje odbicie w lustrze albo jak gawron bierze drut i zagina sobie w haczyk, żeby po coś sięgnąć. No i ten stopniowy test, w którym uzyskujesz narzędzie, żeby uzyskać kolejne narzędzie, i że to po prostu wymaga planowania ileś kroków do przodu.

Ta warszawska wrona jest symbolem po prostu tego, jaki sukces odnoszą ptaki krukowate dzięki swojej inteligencji. Miasto stale się zmienia, pojawiają się nowe możliwości i tylko ci elastyczni potrafią się tak szybko dostosować.

Doszliśmy do ciekawego miejsca. Przed nami znajduje się martwy las wierzbowy. Zeszliśmy kawałek na dół cyplem przy kanałach i właśnie stoimy przy martwych wierzbach, które do połowy są zanurzone w wodzie. Możesz kilka słów jeszcze o tym opowiedzieć?

Nie wiem, jak to się wydarzyło, były na końcu tego cypla i sobie rosły przez lata, ale ewidentnie podniósł się poziom wody i one obumarły. Jest tu taki niesamowity księżycowy krajobraz. Niektóre z tych suchych drzew mają jeszcze korę, wisi też jakaś stara budka. Wierzby zostały odcięte od ładu i stworzyła się taka ciekawa enklawa – kłody leżą w wodzie, tu lubią sobie przysiadac kaczkę, na drzewach często przesiadują czaple i kormorany, a po drugiej stronie widzimy nowe apartamentowce, enklawę luksusu. Mam nadzieję, że to miejsce zachowa swój charakter, jak zacznie się zabudowa terenu.

Tak, tam widać apartamentowce. Miasto się zagęszcza, a tutaj apartamentowce Portu Praskiego w zasadzie docierają już do granicy wody – mamy tu taką namiastkę lasu namorzynowego.

Bardzo lubię tego rodzaju analogię – gdyby wyciąć to miasto z pola widzenia, to mielibyśmy poczucie, że jesteśmy w najdzikszych miejscu na świecie, gdzie ludzka stopa nigdy nie stała. Tymczasem to niemal środek miasta i to pokazuje potencjał przyrody, żeby się żywiołowo odradzać w każdym dostępnym miejscu. Dla mnie to pocieszająca perspektywa.

Może jeszcze warszawska przyroda nie jest zupełnie stracona. 🍷

Wskrzeszona Smocza

Mateusz Kaczyński

Kiedy ostatnim razem byłem w Warszawie, podszedł do mnie młody chłopak. Kupił akurat moją książkę i powiedział, że sam mieszka na ulicy Smoczej. Powiedział, że chciał poznać swoich «dawnych sąsiadów». Bardzo mnie to poruszyło, ponieważ uchwycił intencję książki, czyli zapoznanie się z dawnym mieszkańcami tej ulicy – przede wszystkim polskimi Żydami o różnorodnej proveniencji: chasydzkiej, świeckiej, bundystowskiej, robotniczej, krawieckiej, literackiej... a nawet takiej jak Amelia Reiff, właścicielka kamienicy przy Smoczej 28. Była to nie-Żydówka, ale Polka o niemieckich korzeniach, która zwoływała sąsiadów na podwórko i przemawiała do nich w jidysz. Moja książka kontynuuje dialog między polskimi Żydami i chrześcijanami, między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością... a ten toczy się dziś w Polsce w fascynujący i inspirujący sposób”.

Tak przedstawia swoją książkę specjalnie dla czytelników STOLICY autor. *Smocza. Biografia żydowskiej ulicy w Warszawie* (Wydawnictwo Czarne) autorstwa Benny’ego Mera to próba rekonstrukcji świata, który przeminął. Dzisiejsze oblicze Muranowa i Nowolipek jest całkiem inne niż to znane przed II wojną światową. Ta różnica uderzyła autora, który w 2017 r. odwiedził stolicę Polski. Po dawnym żydowskim życiu, jakie kiedyś kwitło w Dzielnicy Północnej, nie ma dziś właściwie śladu. W swojej książce Benny Mer próbuje przywrócić pamięć o tym, jak wyglądała ta część Warszawy. Trzeba przyznać, że robi to bardzo skrupulatnie.

Benny Mer przedstawia losy wszystkich domów istniejących przy ulicy Smoczej w okresie międzywojnia. Posuwa się nawet o krok dalej i próbuje przybliżyć lub odtworzyć (tam, gdzie się da) losy poszczególnych mieszkańców. W rezultacie otrzymujemy opowieść o całym przekroju żydowskiej społeczności, misternie utkaną z relacji prasowych, fragmentów dzieł literatury jidysz czy osobistych wspomnień. Śledzimy losy ortodoksyjnych Żydów, dzieci z sierocińców, drobnych rzemieślników (przede wszystkim krawców i szewców), robotniczych działaczy, a także przedstawicieli półświatka.



Benny Mer
Smocza
Biografia żydowskiej ulicy w Warszawie

Benny Mer,
Smocza
Biografia żydowskiej ulicy
w Warszawie,
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2025

Autor traktuje ulicę Smoczą jak mikrokosmos, w którym wszystko ma swoje miejsce i jest ze sobą powiązane. Dzięki metodycznemu podejściu jego książka plasuje się gdzieś między *Biografiami ulic* Jacka Leociaka a *Rudą, córką Cwiego* Adama Dylewskiego. Choć Mer skupia się tylko na Smoczej, to jednak prezentuje ją w kontekście pozostałych ulic Dzielnicy Północnej. Dzięki temu jesteśmy w stanie dostrzec jej odrębność – Smocza była nie tylko adresem, pod którym mieszkała biedota, ale również miejscem, w którym działały liczne fabryki, synagoga, teatr, a także kilka cukierni.

Najważniejsi są jednak ludzie. Dzięki obfitym relacjom z prasy, literatury i wspomnień autor przybliża czytelnikom konkretne postaci. Co ciekawe, przytacza także fragmenty rozmów z jeszcze żyjącymi ludźmi, którzy pamiętają ulicę Smoczą ze swojego dzieciństwa. To sprawia, że jego opowieść nabiera dodatkowej wartości. Mamy do czynienia nie tylko z historyczno-literacką kwerendą, ale z namacalnym świadectwem minionego świata.

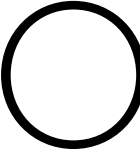
Smocza. Biografia żydowskiej ulicy w Warszawie to pozycja, po którą warto sięgnąć, aby poznać różnorodną, niepowtarzalną część przedwojennej Warszawy. Mamy tu do czynienia z historią tylko jednej ulicy, jednak materiał jest wystarczająco fascynujący, aby zaciekać każdego. Lektura nasuwa wiele pytań – kto został, kto wyjechał, kto przetrwał, a kto zginął... Mimo starań autora historia nie daje odpowiedzi na wiele z nich. Liczy się to, że Benny Mer przedstawia burzliwe dzieje życia (a nie śmierci), które tętniło na Smoczej. Naprawdę warto. 📖

Świąteczna Warszawa

– scenografia czy *dramatis personae*

Rafał Dajbor

Boże Narodzenie dla filmowców bywa tematem dającym możliwość pokazywania relacji międzyludzkich w kontekście świąt uważanych za wyjątkowo rodzinne. W niejednym polskim filmie akcja dzieje się właśnie podczas świąt. I co ciekawe – znakomita część polskich filmów świątecznych rozgrywa się na ulicach stolicy.

 d wielu już lat wielką popularnością cieszy się seria filmów *Listy do M. Do M.* – czyli oczywiście do Mikołaja. Pierwszy film z tego cyklu wyreżyserował w 2011 r. Mitja Okorn, drugi (2015) zrealizował Maciej Dejczer, potem kolejne Tomasz Konecki (2017), Patrick Yoka (2020), Łukasz Jaworski (2022), *Listy do M. Pożegnania i powroty* (2024) – także Łukasz Jaworski. Bohaterami cyklu są typowi współcześni warszawiacy, a więc m.in. dziennikarz radiowy i samotny ojciec w jednej osobie, szef dużej firmy, nicpoń i podrywacz żyjący od przygody do przygody, małżeństwo z wieloletnim stażem, które żyje ze sobą już bardziej z przyzwyczajenia niż z powodu głębokich uczuć. Wszyscy oni czekają na święta, ale dla każdego Boże Narodzenie oznacza coś innego. Wszyscy chcieliby jednak jakiejś odmiany w życiu. Cykl *Listy do M.* jest cyklem komediowym, co nie oznacza, że dramaty w życiu głównych bohaterów są potraktowane niepoważnie. I chyba właśnie równowaga między powagą a komizmem decyduje o sukcesie tych filmów. Podobnie jak doborowa obsada, w której można znaleźć aktorów właściwie wszystkich pokoleń. Dla bohaterów *Listów do M.* święta są okazją do przewartościowania swojego życia i niejednokrotnie zmiany postępowania. Momentem, który niejako

katalizuje w sobie nabrzmiewające niepokoje, przecucia mówiące, że życie uważane za szczęśliwe i udane być może wcale takie nie jest. A dla widza – możliwością obejrzenia stołecznych ulic w świątecznej oprawie, o którą twórcy serii wyjątkowo dbają, czasami aż... za bardzo, bo tak zaśnieżonej stolicy jak w *Listach...* nie oglądaliśmy za oknami od lat.

Warszawskie Boże Narodzenie bywało tematem wielu wcześniejszych niż *Listy do M.* filmów, w tym filmów wybitnych, filmów zwanych kultowymi, a także po prostu z różnych powodów interesujących. Jednym z pierwszych był *Wieczór przedświąteczny* (przez lata w piśmiennictwie filmowym sygnowany tytułem *Przedświąteczny wieczór*) z 1966 r. w reżyserii małżeństwa Heleny Amiradżibi-Stawińskiej i Jerzego Stefana Stawińskiego. Jest to poetycka opowieść o warszawianku Andrzeju (Krzysztof Chamiec), który w wigilijny wieczór usiłuje odnaleźć szczęście i kobietę idealną, którą mógłby obdarzyć miłością, wreszcie – odnaleźć samego siebie. Spotyka się z lekarzem psychiatrą (Jerzy Duszyński), swoją atrakcyjną kochanką (Ewa Krzyżewska), towarzyszami broni z lat wojny (Zbigniew Cybulski, Emil Karewicz, Marian Łącz, Zdzisław Maklakiewicz)... Film był jednym z efektów zjawiska, które przeszło do historii polskiego kina jako bunt scenarzystów. W latach 60. XX w. scenarzyści stojący za sukcesami filmów nurtu szkoły polskiej (głównie Aleksander Ścibor-Rylski i właśnie Jerzy Stefan Stawiński) doszli do wniosku, że to niesprawiedliwe, iż oni piszą scenariusze, a potem na ich podstawie reżyserzy tworzą filmy i zgarniają wszystkie laury. Postanowili sami stanąć za kamerą. Niestety, żaden z nich nie nakręcił wybitnego filmu, co dobitnie pokazało, że scenariusz to jedynie tworzywo, z którego dopiero reżyser tworzy dzieło, i że nie wystarczy wymyślać i przelewać na papier interesujące historie, by



Dekoracje świąteczne, choinka z lampek przed Juniosem, 1974 r.

stać się wielkim twórcą kina... *Wieczór przedświąteczny* jest dziś filmem zapomnianym, choć można potraktować go jako interesujący dokument swojej epoki oraz okazję do zobaczenia Warszawy połowy lat 60. Święta – obchodzone oczywiście w sposób świecki – są w filmie małżeństwa Stawińskich pewnym pretekstem, swego rodzaju scenografią. Rzecz jasna w tamtej dekadzie żaden film ukazujący Boże Narodzenie w jego bardziej religijnym wymiarze powstać nie mógł.

Bareja

Za życia niedoceniany, czasami wręcz niesłusznie pogardzany jako artysta, po śmierci odkryty i z czasem uznany za wybitnego mistrza polskiej komedii. Stanisław Bareja w latach 60., we współpracy z przedwojennymi jeszcze literatami (Jerzym Jurandotem, Romanem Niewiarowiczem) rzeczywiście tworzył komedie lekkie i słodkie – jak sam przyznawał, w pewnym momencie zaczęło go od tej słodczy mdlić. W latach 70. zawiązał dwie fenomenalne spółki scenopisarskie z młodszymi od niego satyrykami – Jackiem Fedorowiczem i Stanisławem Tymem. Zwłaszcza współpraca z tym drugim zaowocowała niezapomnianymi filmami, a zaczęła się od *Bruneta wieczorową porą*, komedii z pozoru kryminalnej, a w rzeczywistości satyrycznej, w której główny bohater Michał Roman (Krzysztof Kowalewski) przeżywał w zimowej scenerii Warszawy przedziwne przygody

wynikające tyleż z kryminalnej intrygi, w którą został wplątany, co z wszechogarniającego absurdu otaczającej go rzeczywistości. To właśnie w *Brunecie wieczorową porą* mamy scenę z kołędnikami, którzy niemal siłą wchodzą na próg domu Michała Romana, by z warsiaską akcentacją odśpiewać „Przybieżeli do Betlejem pasterze, grajom dziecięcteczku na lyrze”, a następnie zainkasować od Michała kwotę wyższą niż pierwotnie chcieli i usprawiedliwić to słowami „może być”. Bareja pokazywał, że w coraz bardziej kuriozalnej rzeczywistości schyłkowego Gierka wszystko, włącznie ze świąteczną tradycją, zeświecczoną i odgórnie pozbawianą religijnego wymiaru, staje się obiektem wszechogarniającego absurdu, ulega deformacji i staje się domeną różnej maści cwaniaków. *Brunet wieczorową porą* to film, który warto obejrzeć także z varsavianistycznego punktu widzenia, by zobaczyć, jak zmieniła się stolica. I to nie tylko tak emblematyczne (i uwiecznione w *Brunecie...*) miejsca jak plac Konstytucji, Trasa Łazienkowska, przejście podziemne przy Dworcu Centralnym czy okolice Pałacu Kultury. Warto na przykład spojrzeć na Bielany i ulicę Bajana, przy której u Barei mieści się warsztat samochodowy. Rozpoznanie tej okolicy dzisiaj na podstawie tego, jak wyglądała w *Brunecie wieczorową porą*, może się okazać trudnym zadaniem.

W jakiś sposób bożonarodzeniowym filmem jest także *Miś* z 1980 r. A zwłaszcza jego zakończenie, ➔



Warszawskie dekoracje bożonarodzeniowe z czasów PRL-u

w którym Ewa Bem śpiewa pastorałkę. To zakończenie, niespodziewanie zrealizowane zupełnie niekomediowo, w tonacji wręcz podniosłej, przez lata powodowało konfuzję u krytyków, którzy zarzucali Barei bezsensowny przeskok gatunkowy w finale *Misia*. Jednak ma ono swój głęboki sens. Bareja, pokazując ohydą kukłę, która wbijając się w ziemię, obryzguje błotem świętujących Boże Narodzenie ludzi, stawiał smutną diagnozę ówczesnej rzeczywistości, w której jeszcze nie było widać nadziei na lepsze. Tę nadzieję ujrzał Bareja dopiero w swoim ostatnim filmie – serialu *Zmiennicy*, w którym Przemysław Gintrowski śpiewał, że „coś być musi, do cholery, za zakrętem”, a główny bohater Jacek Żytkiewicz (Mieczysław Hryniiewicz) prorokował, że to wszystko się zawali „i to z jakim hukiem”. Warto jeszcze dodać, iż finałowa scena *Misia* z udziałem Ewy Bem nakręcona została na gliniankach Sznajdra na Bemowie.

Twardy gliniarz, który całym sobą oddany jest pracy, a do tego nie ma rodziny, więc nikt na niego w domu nie czeka, to dla szefostwa idealny funkcjonariusz do wyznaczenia mu służby w święta. Nic więc dziwnego,

że na ulice Warszawy trafia w tym czasie porucznik Borewicz (Bronisław Cieślak), główny bohater serialu Krzysztofa Szmagiera *07 zgłoś się*. Borewicza na wigilijnym patrolowaniu ulic stolicy spotykamy w odcinku *Morderca działa nocą* z 1984 r., gdy podwozi na cmentarz doktor Lubowiecką (Jolanta Wołłejko). W tym odcinku widz zwiedza wraz z Borewiczem kilka dzielnic Warszawy (mamy tu i śródmiejską Marszałkowską, i ul. Lindleya na Ochocie, i Szpital Praski na Pradze-Północ, i Park Olszyna na Marymoncie), a na koniec odkrywa wraz z porucznikiem, że za zabójstwami atrakcyjnych blondynek popełnianymi w różnych miejscach miasta stoi nie wampir płci męskiej, ale szaleńczo zakochana w dyrektorzce zakładów odzieżowych (Leon Niemczyk) brunetka (Eleonora Wallner). W serialu Szmagiera Boże Narodzenie zostaje pokazane z punktu widzenia samotnego mężczyzny (niewierzącego, rzecz jasna) jako czas, w którym samotność doskwiera w szczególnie sposób, a jedną z metod, by czuć ją trochę mniej – jest rzucenie się w wir pracy.

Drugim reżyserem większości odcinków (i reżyserem odcinka *Strzał na dancingu*) był Kazimierz Tarnas, który

w 1986 r. nakręcił telewizyjny film *Dwie wigilie*. Tytułowe wigilie rozdziela jeden rok, podczas którego główni bohaterowie filmu – Maciek (Aleksander Machalica), Jadwiga (Jolanta Piętek-Górecka), Jacek (Marek Oberzyn) i Danka (Anna Gornostaj) – wiele przeżyli, wiele w swoim życiu zmienili, a teraz, w przedświąteczny wieczór rozmyślają o minionym roku, dokonują bilansu zysków i strat, zastanawiają się nad celowością podjętych decyzji. Film rozgrywał się na ulicach ówczesnej Warszawy, zaś fakt, iż jedna z bohaterek była studentką szkoły teatralnej (wówczas noszącej nazwę Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, dziś to Akademia Teatralna) dawał możliwość pokazania jej wnętrza, co dziś stanowi interesujący materiał z dziejów tej stołecznej uczelni. Dla Tarnasa, podobnie jak dla twórców *Listów do M.*, Boże Narodzenie było pretekstem do postawienia bohaterów w sytuacji zmuszającej ich do przemyśleń i przewartościowania swojego życia. A do widza należało ocenie, na ile bohaterowie sprostali temu zadaniu.

Kieślowski

Dekalog Krzysztofa Kieślowskiego z 1988 r. jedni uważają za serial telewizyjny, inni – za cykl filmowy. Nikt nie ma jednak wątpliwości, że ów zestaw 10 filmów to jedno z najwybitniejszych osiągnięć polskiej kinematografii lat 80. Początkowo, gdy Kieślowski i Krzysztof Piesiewicz zabierali się za scenariusze, niektórzy pukali się w czoło i pytali, co to w ogóle za pomysł – ekranizować dziesięć przykazań? Jednak efekt zamknął usta malkontentom. Powstało dzieło, które poznał cały świat i które sprawiło, iż Krzysztof Kieślowski z dnia na dzień został zaliczony do grona najwybitniejszych reżyserów już nie tylko polskiego, ale europejskiego, a nawet światowego kina.



Daniel Olbrychski w filmie *Dekalog III* Krzysztofa Kieślowskiego

Bożonarodzeniowym odcinkiem cyklu jest *Dekalog III*. Opowiada historię wigilijnego wieczoru Janusza (Daniel Olbrychski), wieczoru, który zamierzał spędzić z żoną (Joanna Szczepkowska), ale w który brutalnie wkroczyła jego była kochanka Ewa (Maria Pakulnis), podstępem wyciągając Janusza z domu i skazując na całonocną peregrynację po zimowej, nocnej Warszawie, w której większość ludzi spędza właśnie czas z rodzinami. „Jest to jeden z niezliczonych wariantów opowieści o szaleństwie miłości, o miłości w jej najbardziej uciążliwej fazie, gdy utraciła już niemal wszystkie cechy pozytywne, a wciąż intensywna i gwałtowna, przekształca się w siłę destrukcyjną” – pisał jeden z krytyków. Jednak to nie Ewa, porzucona i rozpaczliwie walcząca o uczucie pokazana jest w negatywnym świetle. Jej szamotanina wydaje się zrozumiała, wywołuje zrozumienie i współczucie. To Janusz jest tu człowiekiem, którego postawa budzi moralny sprzeciw. Janusz to zakłamaný, pozornie religijny, w rzeczywistości hołdujący pustym, zewnętrznym formom religijności konformista. Obsadzenie w tej roli kojarzącego

się z bohaterskimi rolami kostiumowymi Daniela Olbrychskiego było znakomitým posunięciem obsadowym, a do tego spełnieniem zawodowych marzeń aktora, który często twierdził z goryczą, że reżyserzy nie chcą w nim widzieć negatywnego bohatera współczesnego, wciąż proponując mu role pozytywnych postaci z kart literatury. Autorzy scenariusza Krzysztof Kieślowski i Krzysztof Piesiewicz pokazali świętowanie Bożego Narodzenia jako zestaw rytualnych czynności, którym nie towarzyszy żadne religijne czy w ogóle duchowe przeżycie. Prekursorstwo tego spojrzenia podkreśla fakt, iż *Dekalog* powstał na kilka lat przed opanowaniem świątecznego klimatu przez znany nam klimat komercyjny, zamieniający święta w czas ustawiania migających dekoracji i gigantycznych zakupów, spychających na dalszy plan inne wymiary świat.

Kadr z filmu *Dekalog III* Krzysztofa Kieślowskiego, scena na Dworcu Centralnym na tle kas



Holland

W latach 80. powstał film, którego część akcji działa się na warszawskiej ulicy podczas świąt Bożego Narodzenia, a którego ani jedno ujęcie (nie licząc kadru pokazującego Pałac Kultury i Nauki) nie powstało w Warszawie. Filmem tym jest francusko-amerykański *Zabić księdza* Agnieszki Holland z 1988 r. Wbrew pozorom jest to historia nie tyle wzorowanego na postaci Jerzego Popiełuszki księdza Alka (Christopher Lambert), co ścigającego go z fanatycznym błyskiem w oku funkcjonariusza SB Stefana (Ed Harris). Holland nakręciła *Zabić księdza* we Francji jeszcze w okresie trwania PRL-u, ale fakt, że Polska Ludowa upadła chwilę po realizacji filmu sprawił, iż *Zabić księdza* można było obejrzeć w Polsce już niedługo po jego premierze światowej. W filmie tym znajdziemy scenę, w której milicyjne oddziały specjalne (w domyśle ZOMO), rozpędzają i aresztują obywateli przygotowujących się do świąt, w tym także Annę (Joanne Whalley-Kilmer), żonę przyjaciela księdza Alka Józefa (Pete Postlethwaite), wiozącą na dachu małego fiata choinkę, która przy okazji tej brutalnej akcji zostaje zniszczona. *Zabić księdza* wywołało sprzeczne emocje. Doceniano co prawda fakt, iż Holland przybliżyła światu sprawę zamordowania księdza Popiełuszki, ale nie wszyscy byli gotowi na film, którego głównym bohaterem nie jest ksiądz, ale jego oprawca... Te emocje już opadły, a z dzisiejszej perspektywy szczególnie uderza fakt, iż to właśnie w zagranicznym filmie, kręconym poza Polską przez twórczynię dziś wielokrotnie oskarżaną o promowanie w swojej twórczości idei antychrześcijańskich, zobaczymy warszawiaków (a szerzej – po prostu Polaków), dla których Boże Narodzenie jest autentycznym przeżyciem wewnętrznym, wynikającym z duchowości i religijności. Zaś scena rozjechania choinki przez pojazd wojskowy to wyraźna ocena autorki filmu tego, jak totalitarna władza niszczy nie tylko świąteczną tradycję, ale – symbolicznie – wszystko to, co Polakom bliskie. U Holland święta są chwilą autentycznie jednoczącą ludzi wokół wigilijnego stołu i wartości duchowych, a to wszystko – w obliczu zagrożenia płynącego ze strony aparatu komunistycznego państwa.

Morgenstern/Gajos

Jednym z wybitnych filmów dziejących się w okresie Bożego Narodzenia, a rozgrywającym się na ulicach Warszawy, jest *Żółty szalik* Janusza Morgensterna z cyklu *Święta polskie* z roku 2000 powstały na podstawie prozy Jerzego Pilcha. Główny bohater grany fenomenalnie przez Janusza Gajosa to pozornie człowiek sukcesu, szef dużej firmy, w rzeczywistości alkoholik ogarnięty nałogiem, niepanujący nad swoim życiem.



Danuta Szaflarska i Janusz Gajos w filmie *Żółty szalik* Janusza Morgensterna

Obiecuje swojej partnerce (Krystyna Janda), że nie będzie więcej pił, ale oczywiście znów upija się do nieprzytomności. Trzeźwieje pod opieką matki (Danuta Szaflarska), z którą spędza wigilię i od której dostaje kolejny już żółty szalik, jako talizman mający chronić go przed nałogiem. Ale gdy wychodzi od matki, ta dostrzega, że szalik został u niej na wieszaku. Film Morgensterna to tragikomedia, czy też komediodramat, w którym święta Bożego Narodzenia stają się przyczynkiem do refleksji nad złożonością ludzkiego losu. Dziś *Żółty szalik* – obok *Pętli* Wojciecha Jerzego Hasa, *Tylko strach* Barbary Sass, *Wszyscy jesteśmy Chrystusami* Marka Koterskiego i *Pod mocnym aniołem* Wojciecha Smarzowskiego – uznawany jest za jeden z najprawdziwszych filmów dotyczących choroby alkoholowej, jej realiów i destrukcyjnego wpływu na życie alkoholika oraz jego najbliższych. Morgenstern, za Pilchem, pokazuje, że święta i związany z nimi czas bliskości z rodziną może stać się momentem odmiany, ale nie musi. A dzięki wielkiej roli Janusza Gajosa widzowie mogą ujrzyć tę prawdę w całej jej głębi i pełni.

Jest swego rodzaju paradoksem, że filmami, które w naszym kraju najsilniej kojarzą się ze świętami Bożego Narodzenia, są filmy amerykańskie – komedia *Kevin sam w domu* oraz sensacyjna *Szklana pułapka*. Nie umniejszając ich wartości – warto w święta spojrzeć także na filmy polskich reżyserów, większość z nich jest całkowicie legalnie dostępna w internecie. Dla warszawiaków filmy, o których tu mowa, mają dodatkową wartość – pozwalają spojrzeć na miasto sprzed lat, zobaczyć, jak się zmieniło, a także jak inaczej obchodziliśmy Boże Narodzenie w czasach mniej zdominowanych przez komercję, która wielokrotnie przysłańia dziś rodzinny i duchowy wymiar świąt. Boże Narodzenie bywało dla filmowców pretekstem do pokazywania Polski i Polaków w różnych okolicznościach. Oglądając te filmy, możemy zobaczyć wiele różnych odcieni świętowania, wiele barw emocjonalnych towarzyszących wspólnemu siadaniu do stołu i składaniu sobie życzeń. 🍷

Warszawscy wózkarze

Jarosław Górski

Bardzo charakterystycznym elementem ulicznego krajobrazu dziewiętnastowiecznej, a później międzywojennej Warszawy były drewniane dwukołowe wózki pchane lub ciągnięte przez handlarzy oferujących produkty spożywcze – latem i jesienią owoce i warzywa, zimą nabiał – a także książki, naczynia, starzyznę.

Od wózkarzy każdy chętnie kupował, choć powszechnie narzekano na ich obecność na coraz bardziej zapchanych ulicach rozrastającego się miasta. W roku 1889 „z uwagi, iż wózki ręczne, używane przez handlujących owocami nie tylko utrudniają ruch uliczny, lecz nadto są źle urządzone, p. oberpolicmajster zabronił sprzedaży owoców w wózkach pomienionych” („Kurier Warszawski”, 26 lipca 1889). Zakaz ten nie utrzymał się długo. Wózki, które zdaniem wielu warszawiaków upodabniały nasze miasto bardziej do orientalnych niż do europejskich metropolii, przetrwały pierwszą niemiecką okupację i stały się znakiem rozpoznawczym stolicy Polski odrodzonej.

Najsolidniejsze wózki, z hamulcem, na resorach i z kołami na gumach, oferowała fabryka Jarnuszkiewiczza na Grzybowskiej 25, jednak większość warszawskiego wózkowego taboru pochodziła z produkcji własnej wózkarzy, miała koła obite żelaznymi obręczami ślizgającymi się po bruku. Manewrowanie ważącym wraz z towarem nawet kilkaset kilogramów wehikułem wymagało od wózkarza ogromnej siły fizycznej i sprawności. Oprócz tego pożądanym był mocny głos, bo trzeba było zachwalać towar i nawoływać klientów, bystre oko. Wśród gnających bardzo szybko samochodów, nierzadko prowadzonych przez kierowców „pod gazem”, wozów i dorożek konnych z podobnie „zaprawionymi” woźnicami, między pieszymi próbującymi przebiec przez ulicę w dogodnym miejscu, wózkarze krążący ze swoim kramem po większych ulicach codziennie ryzykowali życie i zdrowie. Wypadki, których ofiarami padali, zdarzały się bardzo często. Takie choćby jak ten, kiedy:

„8 kwietnia 1937 r. w Warszawie na ul. Rymarskiej przed domem Nr. 16 skutkiem nieostrożnej jazdy samochodem najechał na tragarza J. P. ciągnącego ręczny wózek, powodując u tegoż ciężkie uszkodzenie ciała, mianowicie stłuczenie klatki piersiowej i złamanie lewego żebra, co naruszyło czynności jego ciała na czas dłuższy, niż dni 20 („Auto i technika samochodowa” 1937 nr 10).

Wszelkie warszawskie wózki ręczne „z wyjątkiem wózków do przewożenia dzieci, chorych i kalek”, podlegały corocznemu obowiązkowemu przeglądowi, po którym wydawane były dowód i numer rejestracyjny. W roku 1929 wydawano w stolicy numery od 1 do 600. Ile było wózków niezarejestrowanych? Wiadomo, że było ich sporo, bo prasa często donosiła o konfiskacie nielicencjonowanego wózka i towaru. Wózkarze nielegalni pracować musieli po kilku. Jeden ciągnął wózek i sprzedawał towar, inni wypatrywali „pana władzy” i w razie zagrożenia wszczynali alarm. Jan Szulc, reporter tygodnika „Tęcza”, tak pisał w kwietniu 1931 r. o warszawskich wózkarzach-bukinistach:

„Z wózków-dwukółek krążących po jezdni wzdłuż chodników i z koszu ustawionych wprost na chodniku wyczierają barwne okładki. Za jeden złoty można kupić Wallace’a i Balzaca, Dostojewskiego i Pirandella, Rodziewiczównę i *Życie seksualne*. Ludziska zwabieni ceną tłoczą się przed wózkami i – o dziwo! – kupują. Ulica handluje na całego, ale tylko do chwili, gdy w pobliżu nie ukaże się granatowy mundur. Zoczywszy „glinę”, alias stróża bezpieczeństwa publicznego, „kupy” znikają, jak kamfora. Bo trzeba wiedzieć, że oni nie lubią





granatowych mundurów, ponieważ zapominają zazwyczaj wykupić koncesję na handel okrężny. Drobnostka oczywista takie zapomnienie, każdemu może się przytrafić. Ale władza nie grzeszy wyrozumiałością i bagatelkę taką traktuje jako uchylanie się od obowiązku opłacania świadczeń podatkowych i socjalnych. Lekkie wózki-dwukółki są bardziej już narażone na niebezpieczeństwo wsypy. Dlatego przy wózkach pracuje zazwyczaj dwóch współników. Jeden jest kupcem, drugi wartownikiem. W obliczu granatowego munduru obaj przemieniają się w tragarzy i pracownicy popychają wózek przed siebie. Po chwili przystają i... zawracają. Jeśli władza okaże nierozumny upór i kroczy wytrwale za wózkiem w nadziei, iż nakryje wreszcie wesołków – tym gorzej dla władzy.”

Wózkarze sprzedający artykuły spożywcze zaopatrywali się najczęściej na ogromnym targu owocowo-warzywnym przy Grójeckiej, na którym można było kupić towar bezpośrednio z furmanek od podwarszawskich rolników. Od lipca do października ręczne wózki tłoczyły się przy powiślańskich i praskich nabrzeżach, do których przybijały galary, zwane także kajlakami, berlinkami czy kafówkami, czyli nawet stutonowe barki wypełnione po brzegi jabłkami i innymi owocami z sadów z okolic Sandomierza, Kazimierza, Góry Kalwarii. Jabłka kupowane w hurcie po 20 gr za kilogram wózkarz mógł sprzedać na ulicy za 30-40 gr, jeśli więc udało mu się zbyć jednego dnia sto pięćdziesiąt kilogramów towaru, mógł cieszyć się

nawet trzydziestozłotowym zarobkiem. Były to niezłe pieniądze, ale zarobek był sezonowy i wymagał kilkunastogodzinnej harówki. Towar odbierało się z furmanki lub barki o czwartej rano, handlowało, dopóki dzień pozwalał. Ponieważ ówczesne gatunki owoców bardzo szybko się psuły, interes obarczony był ogromnym ryzykiem.

Wózkarze chcący kupić towar jeszcze taniej chodzili po zaopatrzenie na podwarszawską wieś. Od człowieka pchającego dwukołowy wózek wymagało to całonocnej wyprawy i przejścia kilkudziesięciu kilometrów tam i z powrotem, aby w dzień można było już handlować na ulicy. Czasem nawet dwadzieścia godzin na nogach, a po krótkim śnie kolejny dzień. Była to bowiem praca sezonowa od póź-

nej jesieni do wiosny. Dlaczego? Z jednej strony wtedy właśnie pogoda pozwalała trzymać łatwo psujące się produkty – mleko, śmietanę, sery, jajka – na wózku tak długo, aż znalazły nabywcę. Z drugiej zaś, jak mówił wózkarz w reportażu opublikowanym w „Kurjerze Warszawskim” z 26 czerwca 1935 roku:

„Przecież to podwarszawska okolica! Wszystko dookoła letniska, miasta-ogrody... Latem żaden chłop nie sprzedaje mnie, bo na miejscu od letników dostanie lepsze ceny. (...) Niech pan porówna ceny: jak tylko zaczną się wyjazdy, zaraz drożeją jajka, masło, mleko, sery. Bo wieś bierze dla letników. Mniejszy dowóz, większe ceny”.

Mozół pracy handlarza-wózkarza potęgowały osobliwe przepisy. Jeśliby przystanął choć na chwilę w sytuacji innej niż zawarcie transakcji z klientem, mógłby przez policjanta zostać potraktowany jako handlarz-straganiarz, od którego wymagano innej, droższej licencji, a także uzyskania płatnego pozwolenia na handel w tym właśnie miejscu. Mandaty za brak zezwoleń były bardzo wysokie, wózkarzowi groziło też wszczęcie postępowania skarbowego. Był więc w ciągłym ruchu, nie mógł przystanąć nawet na chwilę dla złapania oddechu. Dopiero w 1934 r. po kolejnych odwołaniach jednego z ukaranych wózkarzy Sąd Najwyższy wydał orzeczenie, w którym pozwolił wózkarzom zatrzymywać się w jednym miejscu na dłużej, byle nie na stałe i nie w pobliżu straganów czy sklepów, z którymi mógłby konkurować („Wieczór Warszawski” 20 grudnia 1934).



Warszawscy sklepikarze nienawidzili wózków, bo widzieli w nich nieuczciwą konkurencję. Jeden z właścicieli owocarni tak odpowiadał reporterowi na pytanie, dlaczego nie można u niego dostać pomarańczy, których przecież nie brakuje w hurtowniach:

„ – Przez tzw. wózków. Wózków jest to osobliwego rodzaju kupiec. Nie płaci komornego, nie płaci podatków, nie opłaca światła ani opału. Może on z kupcami konkurować nie tylko ceną, ale także brakiem odpowiedzialności, jeśli go przyłapią na sprzedaży po cenie wyższej od ustalonej. Wózków jest tedy narzędziem w ręku hurtownika. Płaci on hurtownikowi 10 zł. za skrzynkę i nie żąda rachunku. Jeśli zarobi 3 złote na skrzynce, to jest to jego czysty zysk, gdy właściciel sklepu musi znacznie więcej zarobić, żeby pokryć własne koszty” („Naprzód”, 20 stycznia 1935).

Wózki ręczne dawały dodatkowy zarobek swoim właścicielom przy przeprowadzkach, zaopatrzeniu biedniejszych sklepów, warsztatów rzemieślniczych i manufaktur. Wiślane ryby przewożono na wózkach



z łodzi rybaków na stragany Hali Mirowskiej, na wózkach z Dworca Gdańskiego wędrowały bele wyprawionej skóry do manufaktur kaletniczych na Nalewkach. Kto miał wózek, ten zawsze mógł liczyć na zarobek. Tytułowy bohater noweli *Wózek Marcina* Antoniego Gawińskiego („Kurjer Warszawski”, 28 grudnia 1930) był stróżem wysokiej warszawskiej kamienicy, pełniącym tę zaszczytną funkcję w zamian za kąpiel do spania, a gotówkę pozyskującą dzięki własnoręcznie sporządzonemu wózkowi:

„Na wózku przewoził Marcin drobne ruchomości na zamówienie; czasem jechała rozparta wesoła szafa jesionowa,



co już niejedno pamiętała. Czasem zwyczajny stół i krzesła, kiedy indziej obrazy malarza z szóstego piętra. Raz zdarzyło się, że śliczny kantorek mahoniowy przejechał się wózkiem Marcina. Z nastaniem chłódów wózkiem podróżował czarny i lśnący węgiel z najbliższego składu. Po takiej podróży Marcin miał dużo pracy, żeby doprowadzić ukochany sprzęt do dawnego, radosnego wyglądu. Jeździły wózkiem niekiedy i książki redaktora, co mieszkał na pierwszym piętrze; jeździły i kartofle, które ktoś komuś przysłał, kufry na kole i dwa wilki rarytasy w klatce, sprowadzone z puszczy jako prezent”.

W mieście, w którym praca człowieka tańsza była niż obrok dla konia czy benzyna dla auta, ładowane ręczne wózki były bardzo istotnym elementem sieci transportowej.

Epopeja warszawskich wózków znalazła swój tragiczny finał za murami getta, gdzie bezrobotni handlarze owoców, warzyw, nabiału i starzyzny znaleźli zatrudnienie dla siebie i swoich wózków przy uprzątnięciu z ulic ze zwłok ludzi zmarłych z głodu. ❧



Ośrodek „Praktyczna Pani”
przy ul. Wolskiej 111,
Ludmiła Kwiatkowska
• obsługuje magiel

Ogłosili podatek od nazwiska, czyli magiel po warszawsku

Tatiana Hardej

Dawniej w każdej dzielnicy było ich kilka – pachniały parą, krochmalem i rozmową. W maglu nie tylko prasowało się materiały – tam podgrzewano emocje, wygładzano konflikty i przekazywano wiadomości szybciej niż telegraf, telefon i internet razem wzięte.

W dawniej Warszawie magiel był miejscem tak samo oczywistym jak piekarnia, szewc czy targ, i równie często spotykanym. Tu zdobywano informacje, tu wydawano wyroki, tu wiadano wszystko o wszystkich. Maglowanie odbywało się trochę przy okazji – i umówmy się, nie było najważniejsze. Dziś to zawód rzadki i ginący. A przecież to nie tylko usługa, to instytucja społeczna, której zniknięcie opowiada o zmianie miasta.

Prasowanie kamieniami

Pierwsze warszawskie magły pojawiły się w 2. połowie XIX w. Miasto rosło, życie przyspieszało, zmieniały się standardy higieny, czystości i elegancji. W kręgu miejskich elit w dobrym tonie było posiadanie idealnie wyprasowanej, pachnącej bielizny, pościeli, obrusów – oraz zatrudnianie służącej, która nosiła te rzeczy do magła. Takie usługi działały głównie w piwnicach kamienic, w suterenach, w podwórkach. Początkowo były to wielkie i ciężkie urządzenia, napędzane siłą rąk, skrzypiące i jęczące jak stary tramwaj. „Magiel ręczny to taka bardzo długa maszyna, 4 metry na pewno – opowiadała pani Wanda z nieistniejącego już magła «elektrycznego na gorąco» na Łochowskiej. – Były tam wielkie kamienie i na takie duże koło chodziły walce. Pościel nawijało się na moty. Ale to nie prasowało, niunia. Ani to suszyło, ani nic. Na tych maglownicach się wygniotło, wygniotło, koło z kamieniami dociskało, tak jakby taką prasą. Ta baba wyjmowała prześcieradła, później takie wilgotne ważyła i się od groma pieniędzy płaciło”.

Cała procedura zajmowała mnóstwo czasu i wymagała współpracy wielu osób. Magle były domeną kobiet, ale dość często potrzebny był jakiś „mąż maglarki” do wprawienia maszyny w ruch. „Magle wiedeńskie i chłop kręcący, cena niska” – głosił napis na szyldzie, o którym wspominał „Kurier Warszawski” w 1891 r. Rozwiązaniem tych problemów wydawałby się magiel elektryczny. Jednak kiedy otwarto taki na Grochowie, wzbudził kontrowersje. Opłaty były bowiem naliczane w zależności od spędzanego w nim czasu. „Nie podoba się to zarządzenie gadatliwym gospośm, które wystąpiły o obliczanie za magiel od ilości bielizny, a nie od godzin, żeby przynajmniej, starym obyczajem, nagadać się można było do woli”. I to właśnie ten obyczaj sprawiał, że magle stawały się instytucją.

Nagadały baby w maglu

„Ani słownik, ani encyklopedia, ani wreszcie nasze – jakże niedoskonałe! – wyobrażenie o świecie nie dają nam nawet w przybliżeniu pojęcia, czym jest magiel. Oczywiście nie sama skromna maszyna, ręcznie czy elektrycznie poruszana, ale magiel jako instytucja”. Na czele tej instytucji stała właścicielka interesu. Od jej sprytu, charakteru, umiejętności i wiedzy, bynajmniej nie o prasowaniu, zależało zadowolenie klientów: „Maglarka, proszę pana, to jak gazyta powinna być! O każdym jednym likatorze, czyli o każdej jednej likatorce z całą



Ośrodek „Praktyczna Pani” przy ul. Wolskiej 111

ulicy wszystko powinna wiedzieć! I jeszcze mało tego! Opowiadać musi potrafić, jakby z książki czytała...”. Dlatego z niechęcią spotykał się pomysł wprowadzenia stałej ceny za te usługi, a tym bardziej powiązania jej z czasem pracy. Co prawda Związek Właścicieli Magli zawiadamiał w prasie „szanowną klientelę” o oficjalnej cenie od wałka (w 1928 r. – 65 gr magiel elektryczny, 45 gr ręczny), ale klienci wiedzieli swoje: „Magle nie wszystkie jednakowe, bo nie wszędzie derektorka, maglarka jedna jest, to i taksa jednakowa być nie może”.

W maglu każda informacja była prawdziwa. On nie istniał po to, żeby plotki weryfikować, tylko żeby je powtarzać, powielać i rozpowszechniać. Wszystko było tam równie prawdopodobne i równie ważne. Wojny i polityka, koronki i bielizna, miłość i śmierć, „doktorka spod piątki” i kawaler. „Gazety mogą nas bałamucić, jak im się podoba, ale prasa całego świata nie zbałamuci zgromadzenia przy maglu – pisał z pewnym uznaniem Kornel Makuszyński. – Tam wiedzą lepiej niż Mussolini, kiedy będzie wojna; tam wiedzą, kto, jaki, kiedy i z kim?; tam wiedzą na trzy dni naprzód, kiedy kto komu połamie kości i tam znają wszystkie tajemnice miłości”. W maglu kompetentnie dyskutowano



▲ Ulotka magla elektrycznego



► Ogłoszenie

o wymianie pieniędzy, Funduszu Pomocy Bezrobotnym i strajkach rolników, prowadzono nieformalną giełdę pracy, uprzedzano się nawzajem o przyszłych nieszczeniach, ale przede wszystkim plotkowano, plotkowano, plotkowano... O „suchych gidjach spod szesnastego”, o „koślawych szantrapach”, o „glorii z wyskubanym łbem, co w sklepiku od Bożego Narodzenia winna 30 groszy za mak”, o słonicy z zoo, która nie chciała karmić swojego 100-kilogramowego dziecka, no i, co najważniejsze, o „panach” i „paniach”. Pismo satyryczne „Mucha” naśmiewało się z tych plotek, rozsiewając własną, z obowiązkowym komentarzem: „w maglu słyszałam, jak mówili” – o wprowadzeniu nowego podatku od nazwiska. Jeśli np. ktoś się nazywa Szmul Pistolet, musi wykupić pozwolenie na broń, Jan Plac zapłaci podatek od niezabudowanych terenów, Gold i Diament – wiadomo. To informacje równie prawdopodobne jak wybuch wojny „z Arabcem i Persjanem” (w przyszłym tygodniu) albo plany rządu, by odebrać ludziom „wszyscyutko srebro na pieniądze”.

„Straszenie i biadanie oto dwie nuty, z których się wszystkie piosenki maglowe składają. (...) A im większe magiel głupstwo zmagluje, tem większą w tłumie wiarę znajduje”.

Hrabina z magla

W maglu można było poznać wszystkie plotki z okolicy, ale też na długo stracić reputację. Dlatego nie raz i nie dwa historie z sutereny przenosiły się na salę sądową. Rozalja Jagodzińska zwróciła się do sądu ze skargą, że została nazwana „hrabiną z magla”: „Jakem to usłyszała, to mnie zaraz jakby krew załała, bo to w rzeczy samej nieprawda jest, bo jak się już panu sędziemu wytłumaczyłam, z destyngowanej famieli pochodzę”. Tym razem wyrok był uniewinniający. Na miesiąc aresztu został za to skazany Stanisław Molenda, próbujący się zemścić na maglarce za przepowiednie „z egipskiego siennika”, przez które niemal stracił narzeczoną Aurelcię. Policja

Ośrodek „Praktyczna Pani” przy ul. Wolskiej 111, kosmetyczka obsługuje klientkę



Ośrodek „Praktyczna Pani” przy ul. Wolskiej 111, kosmetyczka Krystyna Sadowska obsługuje klientkę

interweniowała też w sprawie pana Wincentego, któremu nieco za bardzo przypadła do gustu służąca zatrudniona w rodzinnym interesie. W maglu elektrycznym przy ul. Zamenhoffa niejaki Dawid Różanykwiat przylapany został na wielożeństwie – i pobity na śmierć przez jedną z siedmiu (!) swoich żon.

Niezwykły wypadek zaszedł też przy Wilczej – przez nieuwagę murarzy naprawiających komin sadze „w jednej chwili zamieniły przytulny magiel w piekielną czeluść”. Cała bielizna musiała pójść do prania, ale przy okazji córka maglarki pobiła się z dozorcą. W bójce na wałki przy Elektoralnej ofiar było więcej – i tak pani

Julia otrzymała cios butelką po piwie w czubek głowy, a pan Onufry trafił do szpitala z... dziurą nad uchem. Na swoje nieszczęście „nadobna Marjanna Wiatrak” w maglu przy ul. Leszno „rozwinęła pracowitą agitację na rzecz sekty Badaczy Pisma. Odnosiła poważne sukcesy, „dopóki nie natknęła się na pewną zamaszystą Kasię, która chwyciwszy za wałek od bielizny wypisała wyznanie wiary na plecach”. Ogromne emocje budziła także polityka. Podczas jednej z gorących dyskusji na Czerniakowskiej Michalina Chojnacka „uniosła się nieco, następnie uniosła siekierę i uderzyła w głowę sąsiadkę swą, p. Annę Fabalę”.

W maglach zdarzały się oczywiście kradzieże, ale przy „odrobinie” szczęścia można też było znaleźć skarb! Wdowa po urzędniku odkryła

np. pod kamieniami skrzynkę blaszaną ze srebrnymi i złotymi monetami. „Kto ten skarb ukrył, nie wiadomo”.

Głowa w maglu

Posiadanie magła przynosiło oczywiście korzyści – także te całkiem wymierne, zwłaszcza jeśli w okolicy nie było konkurencji. „Goniec Poranny” w 1908 r. zwracał się do „drobnych kapitalistek” z informacją, że za rogatkami belwederskimi znajduje się tylko jeden taki zakład, „skutkiem czego właścicielka tegoż pobiera zbyt wygórowane opłaty za maglowanie bielizny i przytem niezbyt grzecznie obchodzi się z klientelą, drugi więc magiel mógłby liczyć na powodzenie”.

W maglu można było jednak także stracić – zdrowie i życie. Przedwojenna warszawska prasa pełna jest doniesień o dramatycznych wypadkach, które zdarzały się dosyć często. To nie była bezpieczna machina, zwłaszcza jeśli sporo uwagi poświęcało się temu, co najważniejsze, czyli plotkom. Przy ul. Gęsiej Katarzyna Fudasz „skutkiem własnej nieostrożności przygnieciona została magłem do ściany. Ze zgniecionymi piersiami i złamaną ręką F. odwieziono do szpitala starozakonných”. Nie ma problemu, jeśli kończyło się na złamaniu i po-

okolicznościach zginął pomocnik właściciela, znaleziony ze zmasakrowaną głową i zmiażdżoną ręką. „Badanie ustaliło, iż samobójstwo jest tu wykluczone”.

Nie bał się możliwych złych konsekwencji szkocki żołnierz Smith, który wracając z wojny, postanowił przywieźć żonie w prezencie właśnie magiel.

„Pani Smith ucałowała gorąco męża i zaraz wyrzuciła wszystkie meble z salonu. (...) Patrząc jak sprytna maszyna pracuje, tubylcy mówią: Ho, ho, jednak mamy z tej wojny jakąś korzyść...”

Ostatnie obroty?

Skoro magle były tak popularne, czemu zniknęły? „To jest po prostu zubożenie naszego narodu na każdym szczeblu – mówiła pani Wanda z dawnego magła przy Łochowskiej. – Każdy idzie, jak musi. A kiedyś, kochana, jak ja przychodziłam z urlopu i wchodziłam 1 sierpnia tu do pracy, to ja sobie na 2 dni obiad gotowałam, bo już wiedziałam, co będzie. Ja nie miałam się jak ruszyć, tak ludzie przynosili. Obrusy, serwety, pościel, podkoszulki, koszulki, kalesony męskie, koszulki z rękawami...”

Magle zniknęły po cichu, jakby wbrew swej naturze nie chciały robić zamieszania. Z roku na rok było ich po prostu coraz mniej. Na drzwiach pojawiało się najwyżej ogłoszenie z numerem telefonu, pod którym można odebrać paczki. Najdłużej się broniły w starych dzielnicach: na Woli, na Pradze, tam gdzie czynsze wydawały się do zniesienia, a ludzie lubili to, do czego przywykli. Dobijały je rosnące ceny prądu i malejące zainteresowanie rozmowami w realu. Pozostały nieliczne – a co ciekawe, te, które przetrwały, mają się nieźle.

„Młodzi maglują z wygody, starsi z przyzwyczajenia – mówi właścicielka zakładu wciąż działającego przy ul. Kopernika 25, wcześniej na Dobrej. – Przy okazji remontu kamienicy chcieli nas zlikwidować jako przybytek. Ale klienci zrobili listę społeczną, bo im zależało, żeby ten magiel gdzieś w okolicy został”. I został. Nadal można tu przynieść pościel, ale też przyjść, posiedzieć, posłuchać, poopowiadać. „Na zasadzie praktyki osobistej wiem, że do magła trzeba chodzić” – pisał „Express Poranny”. – „Gdybym był lekarzem Kasy Chorych, na wiele dolegliwości (...) zapisywałbym przedłużony i częsty pobyt w maglu”. Zwłaszcza przed świętami! ❄

* Cytaty pochodzą z gazet: „Express Poranny”, „Kurier Warszawski”, „Goniec Warszawski”, „Dobry Wieczór! Kurier Czerwony”, „Mucha”, „Gazeta Poranna”, „Kurier Polski”, „Kurier Codzienny”, „Goniec Poranny”, „Dziennik Żołnierza” z lat 1891-1946



Ośrodek „Praktyczna Pani” przy ul. Wolskiej 111, Henryka Frąć podczas pracy w punkcie repasacji pończoch

tluczeniu. Bywały jednak sytuacje bardziej drastyczne. „Do magli przyszło kilka kobiet, a z niemi mała 8-letnia dziewczynka. Kobiety zagadały się ze sobą, gdy nagle rozległ się krzyk dziecka. Dziewczynka, na którą nie zwrócono uwagi, chcąc zobaczyć, jak się walki toczą po maglu, położyła głowę na blacie, a ciężka skrzynka magła zmiażdżyła jej głowę”.

Magiel bywał także narzędziem zbrodni. Wiele emocji w przedwojennej Warszawie budziło śledztwo w sprawie morderstwa przy ul. Świętokrzyskiej. W niejasnych



Święta, święta

Przemysław Śmiech

Wzeszłem roku we wigilijny poranek poszłem z panem Ambrożym Keksem, mojem dozgonnym sąsiadem, do innych naszych sąsiadów, państwa Baryłków. Posiadaliśmy zamiar pomóc pani Baryłkowej w przyrządzeniu świątecznej aprowizacji. Czyli chcieliśmy wypróbować doustnie wszystkie potrawy.

Niestety, po przekroczeniu progu domostwa Baryłków okazało się, że pan Benek ma szlaban na kuchnię, bo musi naprawić stare łańcuchy choinkowe. Nie mogliśmy pana Benka zostawić samego na pastwie małżeńskiej niedoli, znakiem tego zasiedliśmy razem z nim. I tak siedzimy, kleimy, tniemy i wtedy pan Benek zagał:

– Wdzięczność wyrażam, panowie, za pomocne dłoń w tem trudnem czasie.

– No co pan, panie Benku! Kto ma panu pomóc jak nie sąsiady. Lepiej byłoby świątecznej szamy skosztować, ale jak mus to mus – zaznaczyłem.

– Apropos musu. W massmendiach różne celebryty i redactory margotają, że muszą świętować, a to ich okropnie męczy – powiedział pan Ambroży.

– W jaki desęń ich męczy? – zapytał pan Benek.

– Na przykład wtrącanie. Że tak dużo wszystkiego. Że ludzie nic tylko siedzą i rąbią barszczyk, pierogi, rybki...

– I klawo! I co w tem złego? – zapytałem.

– Może chodzi o to, sąsiedzie złoty, że te gwiazdy i redactory to bardzo subtelne osobniki. Jak ktoś wkuza karkówkę z pora, schaboszczaka z wodorostów albo bambusa na miętko, to karp smażony czy śledzik na kwaśno mu podśmierduje...

– I na niestrawność się skarża – dodał pan Ambroży.

– Na niestrawność wykonujemy ćwiarteczkie bądź dwie i szlus! I od razu jesteście letcy jak te anioły, co śpiewają aleluja Jezuskowi!

– Inna artystka oszklonego ekranu marudziła, że opłatek jej się nie podobie – kontynuował pan Ambroży. – Gdyż wszyscy naokoło życzenia sobie składają, rączki i facjaty obcmokują, a natomiast

winszują sobie zdrowia, szczęścia, pomyślności zupełnie nieszczerze...

Tu pan Benek ciut wyszed z nerw.

– Ta dana facetka ma coś nie po kolei z klepkami! Nie po to ludzie się spotykają przy wigilijnem stole, w ciuchy zagraniczne wygalantowani i odprasowani, czasem prosto z dalekiej drogi, żeby jeden drugiemu ze szczerością wyjeżdżać!

– Albo jedna drugiej! Niech ręka boska broni! Szczerość nie radość! – poparłem pana Benka. Który dodał:

– W ten jedyny wieczór wszystko nam się podobie i wszystko smakuje! Takie jest rzymskie prawo wigilijne!

– Amen! – zakończyłem.

– A jak już się człowiek nafutruje darów bożych... jak wyjdzie cugu zaczerpnąć, na niebo, co świeci gwiazdami, popiluje zwrokiem, to jak pójdzie na pasterkie... Serce ma takie szczęśliwe, że kolędy śpiewa na sto dwajścia fajerek! Aż choinki się bują w kościele, witraże dzwonią, a ksiądz proboszcz lewe brew unosi akonto zdumienia...

– Bardzo ładnie, jednakowoż redactory poniechtóre biorą ludność pod krytykę, że Boże Narodzenie to łaba i konsumacja, a pomyślunku o wieczności tyle co kot napłakał.

– Panie Ambroży. Na kotach się nie znam, a co do pomyślunku. Jak człowiek siedzi przy świątecznem stole, na którym bielusińki obrus egzystuje, zaś natomiast na obrusie schab, jak również ćwikła, jak również kielbasa, jak również klops, a także ogóreczek kiszony czy grzybek zmarnowany, wokół rodzina odpicowana na wysoki połysk, to aż chce się żyć! – rozmarzył się pan Benek.

– Chce się, chce! – poparłem pana Benka.

– I jak tak sobie człowiek siedzi, pysk swój w bombce na choince zobaczy, którą to bombkie babunia z pożogi wojennej ocaliła, to płaka ze łzami w oczach, czy nie?

Przestaliśmy nawijać, kleiliśmy drekoracje: aniołki, bydlątka i temuż podobnie, a po chwiloni pan Benek zaintonował:

Przybieżeli do Betlejem pasterze... ❧

Święta w latach pięćdziesiątych

Jacek Fedorowicz



J. Roqueblave

Święta Bożego Narodzenia na przełomie lat 40. i 50. usiłowały wmówić obywatelom PRL, że niczyjego narodzenia świętami nie są i nie będą. To było tak, że jedynie tuż po wojnie władza tzw. ludowa udawała, że jest na wskroś katolicka, prezydent Bierut demonstracyjnie uczęszczał na msze, ale dość szybko mu przeszło, zaraz po założeniu PZPR komuniści przeszli na demonstracyjny ateizm. Jeszcze w roku 1949 miałem w państwowym liceum lekcje religii, ale już w podręczniku historii widniała wzmianka, że w okresie panowania Rzymu w basenie Morza Śródziemnego powstał mit o Jezusie Chrystusie, któremu oddawano potem cześć boską. To wygląda dziś na wiadomość prawdziwą i mało oryginalną, ale wtedy brzmiało jak wyjątkowa herezja i jednocześnie pewien brak konsekwencji. Pan od historii siedział w pokoju nauczycielskim z księdzem prefektem i co? Miał się wyklócać? Potem przez ładnych kilka lat trwała walka z katolicyzmem Świąt. Chyba była jednak prowadzona trochę bez przekonania, jak gdyby w przeczuciu klęski. Polski lud może i częściowo wierzył w plan 6-letni, może się godził z koniecznością oddania Wilna i Lwowa za Szczecin, Wrocław i Gdańsk, może też pogodził się z wyborami, w których można było głosować albo na komunistów, albo na kogokolwiek, ale zawsze wychodziło, że rządzić będą komuniści, może z tym wszystkim lud się jakoś pogodził, ale żeby Boże Narodzenie miało nie być Bożym, tylko jakimś partyjnym, to nie, o nie, nie ma mowy.

Partia w pierwszym geście rewolucyjnym zamachnęła się na Świętego Mikołaja, usiłowała zwalić go z piedestału, a na jego miejscu ustawić Dziadka Mroza. To miał być teraz rozdawca dóbr uwielbiany przez dzieci i przez nie oczekiwany. Nie udało się ta podmianka zupełnie. Nie dysponuję wynikami badań, bo nie były to czasy na prowadzenie jakichkolwiek badań, jeżeli

już, to ograniczano się do lakonicznego podania wyników, że na przykład cały naród kocha swą partię, nie dysponuję więc, ale zapewnić mogę, że Dziadek Mróz się nie przebił.

Następnym świątecznym symbolem do wzięcia była choinka. W przywoływanym tu okresie przestała być choinką świąteczną, stała się zaś noworoczną. Nie pamiętam, w którym miejscu w Warszawie stanęła ta pierwsza wystawiona nie Nowonarodzonemu, tylko Nowonastającemu, czyli na cześć Nowego Roku, to mógł być plac Saski, Zbawiciela albo Trzech Krzyży, bo inne miejsca reprezentacyjne powoli stawały się placami budowy. Pamiętam, rozbierano, co ocalało, i usuwano resztki tego, co zrujnowane, z potężnego kawałka miasta, na którym miał stać Pałac Kultury. Przejeżdżałem tamtędy tramwajem do liceum na Mokotów i z powrotem codziennie przez dwa lata i widziałem tę budowę od samutkiego początku. Po ukończeniu Pałac nazywany był przez niektórych choinką, ale choinką jednak nie był. Jadąc dalej Marszałkowską, mijałem częściowo już wybudowany MDM i choinki na placu Konstytucji sobie nie przypominam. W celowaniu choinką w Nowy Rok władza nie była chyba tak stanowcza jak w celowaniu flagą narodową w 1 maja i tylko tam, w żadnym wypadku zaś nie w 3 maja. To brzmi jak żart, ale daję słowo, na własne oczy widziałem, jak drugiego



maja chodził dzielnicowy, dzwonił do furtki lub pukał do drzwi i domagał się, żeby usunąć pierwszomajową flagę najpóźniej do jutra do świtu. Na pierwszego maja flaga była obowiązkowa, trzeciego jej obowiązkiem było nie być.

O swym pełnym sukcesie w walce z tradycjami bożonarodzeniowymi mogła mówić tamta władza tylko w kwestii prezentów. Nieustanny brak w sklepach artykułów wszelkich sprawiał, że oprezentowanie podchoinkowe nielicznej nawet rodziny zmieniało Święta w koszmar. ❄️

Pożegnanie FSO

Krzysztof Olszak

W przyszłym roku 6 listopada minie 75 lat od dnia uruchomienia produkcji w Fabryce Samochodów Osobowych. Jednak do tej rocznicy dotrąją tylko relikty jednego z największych zakładów przemysłowych Warszawy. Reszta ustępuje obecnie miejsca nowej zabudowie mieszkaniowej.

Historia polskiej motoryzacji jest związana z prawobrzeżną Warszawą. W listopadzie 1918 r. niemieckie warsztaty samochodowe przy ul. Terespolskiej 34 zostały przejęte przez Wojsko Polskie. Od roku 1919 były to Centralne Warsztaty Samochodowe. W 1928 r. zostały włączone do Państwowych Zakładów Inżynierii. W 1927 r. uruchomiono produkcję samochodu osobowego CWS T-1. We wrześniu 1931 r. podpisano umowę licencyjną z firmą Fiat na produkcję samochodu Fiat 508. Produkcję uruchomiono w 1935 r. Do wybuchu wojny zakłady przy Terespolskiej wyprodukowały 3500 samochodów osobowych.

Po zakończeniu wojny powrócono do współpracy z Fiatem. Nowy zakład mający produkować na licencji Fiata 1100 ulokowano na terenie Pelcowizny między ul. Modlińską (potem Stalingradzką, obecnie Jagiellońską) i stacją Warszawa-Praga, zapewniającą dostęp do infrastruktury kolejowej. Budowę fabryki rozpoczęto w 1948 r.

Jednym z efektów żelaznej kurtyny, jaka podzieliła Europę na przełomie lat 40. i 50., było zerwanie umowy z Fiatem i uzyskanie licencji na radziecką M-20 Pobiedę. 17 stycznia 1950 r. utworzono przedsiębiorstwo państwowe Fabryka Samochodów Osobowych. Pierwszy zmontowany samochód nazwany Warszawa opuścił fabrykę 6 listopada 1951 r. Warszawy produkowano do roku 1973. W ciągu 22 lat wykonano 254 421 samochodów tej marki.

W latach 1957–1973 FSO produkowało kolejny polski samochód osobowy – Syrenę. W latach 60. podpisano umowę licencyjną z Fiatem na produkcję modelu 125p. Pociągnęło to za sobą szybkie unowocześnienie zakładu oraz jego rozbudowę. Produkcję licencyjnego auta uruchomiono 28 listopada 1967 r., a zakończono 29 czerwca 1991. Wyprodukowano 1 445 699 pojazdów. W 1983 r. po wygaśnięciu licencji nazwa Fiat 125p została zastąpiona przez FSO 125p, a następnie FSO 1300 i FSO 1500. W 1978 r. uruchomiono produkcję samochodów FSO Polonez opartych na konstrukcji Fiata 125p. Zakończono ją w 2002 r. po wyprodukowaniu 1 061 807 pojazdów. W 1996 r. do FSO wkroczył



Brama główna od strony ulicy Jagiellońskiej, 2015

koreański koncern Daewoo ze swoimi modelami aut. Od 2005 r. właścicielem fabryki był AwtoZAZ, niestety po roku 2000 sprzedaż spadała. Produkcja Chevroletów Aveo w FSO została zawieszona w 2009 r. Dwa lata później, wygasła licencja na produkcję tych pojazdów. Licencji nie przedłużono i formalnie oznaczało to koniec produkcji w Fabryce Samochodów Osobowych. Dodatkowo w 2009 r. Warszawa podwyższyła opłatę za dzierżawę wieczystą terenu fabryki z 7 do 22 mln zł rocznie.

Po kolejnych rozbudowach teren fabryki obejmował obszar 110 ha. W pobliżu w przedwojennym gmachu szkół powszechnych przy Jagiellońskiej 71 mieściły się szkoły zawodowe związane z FSO. Budynek ten już nie istnieje.

Po zakończeniu produkcji część hal rozebrano, inne wynajmowano, sprzedawano też zbędne grunty. W 2021 r. firma developerska nabyła część terenu fabryki. Hale fabryczne są stopniowo rozbierane, ustępując miejsca zabudowie mieszkaniowej.

Konserwator zabytków w roku 2024 zdecydował, że z jednego z największych zakładów przemysłowych Warszawy mają zostać zachowane: budynek dyrekcji i brama główna z lat 50., fragment hali tzw. starego montażu z dachem kolebkowym, część hali spawalni z 1955 r., część hali tłoczni autorstwa wybitnego architekta Marka Leykama oraz rampa zjazdowa z lat 70. Reszta fabryki zostanie zastąpiona budynkami mieszkalnymi. 🏠



Księgarnia stacjonarna Muzeum Niepodległości zaprasza...

**Pałac Przebendowskich/Radziwiłłów
główna siedziba Muzeum Niepodległości
al. Solidarności 62, 00-240 Warszawa**



**...zapraszamy także
do księgarni internetowej
Muzeum Niepodległości**

<https://ksiegarnia.muzeum-niepodleglosci.pl>



KSIĘGARNIA

MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE



**MUZEUM
NIEPODLEGŁOŚCI**

Mazowsze.
serce Polski

LUNA

KINO

STUDYJNE



PODARUJ FILMOWE EMOCJE

Voucher do kina Luna – uśmiech, wzruszenie, dreszcz emocji – wszystko w jednym bilecie!



Szczegóły w kasie kina i na kinoluna.waw.pl

LUNA KINO STUDYJNE, ul. Marszałkowska 28, Warszawa